

GALAKTYKA GUCIABERGA

Wiktor Kołupajew



**HUŚTAWKA PUSTELNIKA**

wby waldio055

**Wiktor Kołupajew**

# **Huśtawka Pustelnika**

**i inne opowiadania**

**Żadne z zamieszczonych w tym wyborze opowiadań (także tytułowe) nie pochodzi z książki wydanej w roku 2018**

## **Spis treści**

Huśtawka Pustelnika (Качели Отшельника)  
Prawo do powrotu (Оборотная сторона)  
Milczenie (Молчание)  
Siódmy model (Седьмая модель)  
Po co człowiek żył? (Зачем жил человек?)  
Kiosk z gazetami (Газетный киоск)  
Bilet do dzieciństwa (Билет в детство)

## Huśtawka Pustelnika<sup>1</sup>

### 1.

„Fiołek”, towarowo-pasażerski statek, oczekiwał zazwyczaj na śródgwiezdny liniowiec poza orbitą piątej planety systemu Sewana. I tym razem wszystko przebiegało normalnie. Liniowiec „Warszawa” znalazł się dokładnie w wyznaczonym miejscu, pojawiając się w trójwymiarowej przestrzeni na minutę przed planowanym terminem. Kapitan „Warszawy” od razu nadał w eter swoje koordynaty. Ale „Fiołek” przy pomocy radarów już zarejestrował pojawienie się liniowca i błyskawicznie nabierając szybkości pomknął w jego stronę.

W sterówce „Fiołka” panowało ożywienie. Ziemskie statki niezbyt często pojawiały się w okolicy Sewana. Teraz będą nowe przyrządy i wyposażenie, którego nigdy nie dość fizykom, biologom, archeologom i inżynierom Pustelnika. Będzie aktualna prasa i mnóstwo nowych informacji. Będą godziny spędzone w towarzystwie ludzi, którzy jeszcze całkiem niedawno chodzili po Ziemi.

O wydarzeniach tych kilku godzin będą potem tygodniami opowiadać tam, na Pustelniku. Załoga „Fiołka” z trudem będzie wykręcać się od zaproszeń na filiżankę kawy w każdym domku Stacji Centralnej. W każdej z dwudziestu baz nagle, pilnie potrzebny będzie ktoś z załogi w celu przeprowadzenia nieprzewidzianych prac. A jest ich na statku raptem trzech: komendant „Fiołka” — Sven Thompson, jego prawa ręka, specjalista cybernetyk — Nikołaj Trajkow i łącznościowiec Henry Wirt.

Spoglądając na rosnącą w oczach kulę „Warszawy” Sven Thompson powiedział:

— Kiedy ją widzę, mam ochotę odlecieć na Ziemię. Na Pustelniku mi to przechodzi. A tu z trudem powstrzymuję się od napisania raportu.

---

<sup>1</sup> Tłumaczenie tej mikropowieści ukazało się po raz pierwszy w formie odcinkowej w prasie w roku 1982.

— „Polarna gwiazda wzywa go i mami...” — cienkim dyszkantem zanucił Trajkow. — Nigdzie z Pustelnika nie uciekniesz. A, Anita...

— Ani słowa więcej, Nik! — zagrział Sven.

— Dobrze, dobrze, już siedzę cicho! Tylko nie składaj raportu.

— Zapomniałem na Pustelniku niebieskiej, świecącej koszuli — z przerażeniem obwieścił Henry. — Oza znów wszystko poplątała.

— Coś ty?! — grobowym głosem powiedział Nikołaj. — To przecież katastrofa!

— Tobie tylko żarty w głowie, a ja mówię poważnie. W mesie wszyscy będą w świecących koszulach, a ja...

— Weź moją — zaproponował Sven.

— Twoją? — zdziwił się Henry przymierzając się do barczystej, wysokiej sylwetki komendanta. — Owszem potrzebuję koszuli, ale nie nocnej.

— Jak chcesz — spokojnie powiedział Thompson i nagle krzyknął: — Zostały tylko trzy minuty! Precz z etykietą, tym bardziej, że i tak nigdy jej nie przestrzegaliśmy.

— Pozdrowienie Pustelnikom! — zabrzmiał z głośników głos dowódcy „Warszawy”. — Jak tam sprawy cywilizacji? Macie jakieś wyniki?

— Doskonale! — zawołał w odpowiedzi Thompson. — Niczego nie możemy w niej zrozumieć. A w mesie wszystko gotowe? Czym zadziwi nas szef kuchni?

— Załoga „Fiołka” — ponownie zabrzmiał gromki głos — przygotować się.

— Gotowi!

— Zaczynam odliczanie. Dziesięć, dziewięć, osiem... jeden, zero.

Ogromna sylwetka liniowca przysłoniła cały panoramiczny ekran „Fiołka”. Przez chwilę statki leciały burta w burtę. W następnej chwili rozsunęły się ceramiczne pokrywy i rakieta wciągnięta została do środka. Luk zatrzęsął się. „Fiołek” leżał na specjalnej platformie w obszernej ładowni liniowca.

Przestrzeń wokół rakiety zajaśniała jaskrawymi światłami. W kierunku platformy spieszyli ludzie. W porównaniu z ogromem hali, wyglądali jak mrówki. Poruszyły się masywne sylwetki automatów ładunkowych.

Thompson nacisnął klawisz. Dwudziestometrowe skrzydła „Fiołka” rozsunęły się i automaty zaczęły zapełniać pojemne wnętrza rakiety.

— Zezwalam opuścić pojazd — padło z głośnika.

Wszyscy troje, prześcigając się nawzajem, rzucili się do windy. Po minucie stali już na platformie mrużąc oczy od jaskrawego światła.

— No i co nowego na Ziemi?

„Pustelnicy” nie skorzystali z trapu. Nie zastanawiając się, skoczyli z dwumetrowej wysokości wprost w objęcia ludzi dopiero co przybyłych z Ziemi. Nieważne, że nigdy przedtem ich nie widzieli.

Ze wszystkich stron posypały się pytania — bezładne, żartobliwe i niespokojne:

— Macie teraz zimę?

— Tak.

— Jak to zimę Przecież u nas jest lato.

— A-a-a. Jasne. I lato, i zima jednocześnie. Prawidłowo.

Śmiech. Przyjacielskie poklepywania po plecach. Uściski rąk.

— Ile mikroakumulatorów przywieźliście?

— Dowiesz się jak będziesz podpisywał protokół.

— Pięćdziesiąt kilogramów papieru. Półtora miliona pozycji.

Wyszli z ładowni, rozmawiając z początku o tysiącu różnych różności, rozumiejąc się w pół słowa.

W ogromnej windzie nie pomieścili się wszyscy na raz. Wjeżdżali na górę grupami. Rzęsiście oświetlone tunele uchodziły gdzieś w dal. Można było w nich dostrzec postacie ludzi i robotów. Ludzie wznosili ręce w geście pozdrowienia, choć wątpliwe, czy wiedzieli kto akurat jechał windą. Po prostu wiedzieli: załoga „Fiołka” wjeżdża na górę. Roboty nie zwracały rzecz jasna na nikogo uwagi. Nie miały czasu na rozmyślanie o czymkolwiek. Miały zadanie do wykonania i tylko to je interesowało.

Nieskończony, zdawałoby się, wjazd skończył się wreszcie. Wirt, Thompson i Trajkow stanęli na sprężynującej pod nogami taśmie ruchomej ulicy z błękitno-szarego plastyku. Co sto metrów mijali wyloty jasno oświetlonych korytarzy. Wysokie pomieszczenia wypełnione były dziwnymi konstrukcjami z różnokolorowych kul, stożków, parabolicznych sklepień, wiszących mostków, cylindrów, metalowych szkieletów. I wszędzie wznoszeniem rąk załoga liniowca pozdrowiała pustelników.

To było ogromne laboratorium, cały naukowo-badawczy instytut. „Warszawa” nie tylko zaopatrywała planety badawcze w niezbędny sprzęt, specjalistów, przedmioty codziennego użytku i materiały budowlane. Około tysiąca pracowników naukowych prowadziło tu badania czterowymiarowej przestrzeni.

„Warszawa” w ciągu trzech ziemskich miesięcy odwiedzała dwadzieścia planet, na których prowadzone były badania. Następnie, po niedługim pobycie na Ziemi, cykl się powtarzał.

W mesie zebrało się około dziesięciu osób. Thompson całkiem poważnie omawiał z dowódcą liniowca, Antonem Beresajewem, problemy wyhodowania nowych odmian kaktusów w przestrzeni 4-wymiarowej. Nikołaj Trajkow, zebrawszy wokół siebie ponad połowę obecnych, przewracał oczami i czyniąc straszne gesty opowiadał o drapieżnikach Pustelnika. Henry Wirt, jękając się, dyskutował z dwiema dziewczynami.

Beresajew przedstawił załodze „Fiołka” Erliego Kozalesa, dziennikarza - fizyka. Erli miał lecieć z nimi na Pustelnika.

Po obiedzie wszyscy poszli do sali koncertowej, potem obejrżeli kronikę i jeszcze przez parę godzin chodzili z kajuty do kajuty dzieląc się wrażeniami i zgromadzonymi wiadomościami.

I znowu w ogromnej windzie opuszczali się, żegnając „Warszawę”, obok niezliczonych przejść, tuneli i sal. Wszystko co było przeznaczone dla Pustelnika zostało załadowane, Towarowe luki „Fiołka” zamknięto, zaś automaty załadownicze wolno, niezgrabnym krokiem oddalały się do swoich hangarów. Ostatnie słowa pożegnania, ostatnie uściski rąk.

Erli usiał w fotelu w kabinie dowodzenia. Henry skontrolował łączność, a Nikołaj wszystkie systemy cybernetyczne. I wtedy Thompson powiedział do mikrofonu:

— Gotowi!

Wydawało się, że niewidzialna dłoń wypchnęła „Fiołka” z ładowni. Dwukilometrowa kula liniowca wolno zmniejszała się.

— Gorącej plazmy!

— Szczęśliwego superprzejścia!

„Fiołek” oddalił się od „Warszawy” na kilkadziesiąt tysięcy kilometrów. Ekran rozświetlił słaby, błękitnawy błysk. To liniowiec przeszedł w czwarty wymiar.

## 2.

Dla załogi „Fiołka” siedmiodniowa podróż na Pustelnika minęła niepostrzeżenie. Wszystkie systemy pracowały wspaniale i trójka kosmonautów, rozłożywszy się w niewielkiej bibliotece, zaczytywała się książkami, pismami i mikrogazetami. Odrywali się od czytania jedynie dla spożycia posiłków, snu i kontroli automatyki.

Erli leciał na Pustelnika po materiały do książki o tej dziwnej planecie. Aby nie tracić czasu na próżno, studiował ostatnie sprawozdanie ekspedycji. Napisa-  
ne było w sposób lakoniczny, przedstawiono w nim jedynie suche fakty. Wy-  
czuwało się jednak, że kierownictwo ekspedycji nie dysponowało żadną hipote-  
zą, która wyjaśniałaby liczne zagadki planety.

Pustelnik został odkryty przed ośmiu laty. Nie występowały na nim zmiany  
pór roku. Wilgotny i gorący klimat strefy równikowej, w miarę zbliżania się do  
bieguna, stopniowo przechodził w suchy i nieco chłodniejszy. Ale nawet na bie-  
gunach temperatura w dzień nie spadała poniżej 15 stopni ciepła. Na Pustelniku  
panowało wieczne lato i wieczna wiosna. Na tysiąc kilometrów na północ i po-  
łudnie od równika ciągnęła się selwa, mroczna i złowieszcza. Świat zwierzęcy  
selwy był obrzydliwy i monotony: bezmyślne stworzenia przypominające po-  
kryte śmierdzącym luzem worki, skaczące, pełzające, zajęte tylko jednym —  
pożeraniem podobnych sobie, tylko mniejszych.

Pierwszy statek kosmiczny długo krążył nad Pustelnikiem wybierając miej-  
sce do lądowania i wypuszczając sondy. Wszędzie było to samo. I wtedy do-  
wódca podjął decyzję wypalenia ogniem silników planetarnych koliska o śred-  
nicy kilometra. Statek wylądował. Zwiadowcy wyszli na zewnątrz. Po godzinie  
wszyscy byli z powrotem, a po dwóch — niedawno wypalony krąg niczym nie  
różnił się od pozostałych terenów. Tylko strzelista sylweta statku skierowana w  
zenit naruszała mroczną monotonię krajobrazu.

Statek wystartował i skierował się w stronę Ziemi. Dowódca był przekona-  
ny, że nowo odkryta planeta jest nieprzydatna do kolonizacji, nawet po całkowi-  
tym zniszczeniu selwy. Szybkość, z jaką selwa zdobywała zabrane jej przez  
człowieka tereny, przerażała. A jednak na Pustelnika — ktoś zdążył nazwać tę  
dziką planetę Pustelnikiem — posłano drugą ekspedycję, która przeprowadzała  
obserwacje i badania z powietrza przy pomocy wirolotów. O istnieniu rozumne-  
go życia na Pustelniku nie było co myśleć. Nie było tu nie tylko ssaków, ale na-  
wet i gadów.

W piątym dniu pobytu na planecie ekspedycja natknęła się wśród selwy na  
plamy brązowego koloru. Wirolot z trzyosobową załogą opuścił się niżej i wy-  
krył kilka połączonych przejściami półkulistych budynków i białych cylindrów  
dwudziestometrowej wysokości. Odkrycie było na tyle nieoczekiwane, że wy-  
wołało burzę zachwytu i entuzjazmu wśród członków ekspedycji. Ale wejść do  
tych budynków ludzie nie mogli. Nie mogli się nawet do nich zbliżyć, gdyż gru-  
pę budowli przykrywało pole siłowe powstrzymujące napór selwy. Zorganizo-



wana została całodobowa obserwacja tego strzępka nieznannej cywilizacji. Tam jednak wszystko było martwe.

Następnego dnia, na równiku, odkryta została Stacja Centralna — tak ją od razu nazwano. Zajmowała powierzchnię koła o promieniu ponad dziesięciu kilometrów. Olbrzymi budynek stojący w środku też był pusty. Szybko wykryto jeszcze dziewiętnaście kolejnych, niewielkich, odebranych selwie polanek, pieczołowicie chronionych przez niewidzialnych stróżów — pola siłowe. Dwadzieścia osiedli pozostawionych przez obcą cywilizację nazwano po prostu bazami. Bazy te rozmieszczone były pierścieniem wokół Pustelnika co dwa tysiące kilometrów. I żadnych innych śladów cywilizacji! Ani miast, ani dróg, ani rakietodromów.

Trzeciej ekspedycji udało się odkryć mechanizm otwierania i zamykania przejść w polach siłowych i od tego zaczęło się systematyczne badanie planety oraz prace nad rozwiązaniem jej tajemnicy.

Towarowe liniowce w ciągu czterech miesięcy transportowały na Pustelnika sprzęt, wiroloty, łaziki, narzędzia, meble, całe laboratoria, budynki, żywność, ludzi... Ekspedycja została wspaniale wyposażona. Wśród dwustu czternastu jej uczestników byli archeolodzy, zoolodzy, botanicy, fizycy, technicy i inżynierowie. Nikt nie wiedział, co się kiedyś wydarzyło na planecie, dlatego w ekspedycji wzięli udział przedstawiciele wszystkich niemal dyscyplin naukowych.

Na czele ekspedycji stanął Konrad Stakowski, którego uczniem był Erli. Kiedy Erli zainteresował się dziennikarstwem, Stakowski rozsierdził się: odchodził jego ulubiony uczeń.

Ale Erli nie porzucił fizyki całkowicie i gdy już został dziennikarzem — pisał o nauce. A teraz leciał na Pustelnika zaproszony przez starego nauczyciela. Stakowski nie wyjaśnił powodów swojego wyboru i Erli gubił się w domysłach. Fakt otrzymania zaproszenia na Pustelnika byłby powodem do dumy dla każdego dziennikarza. Erli wiedział to i wyróżnienie mile polechtało jego ambicję. Ale była jeszcze jedna okoliczność. Na Pustelniku w grupie archeologów pracowała jego była żona — Ley. Czy Stakowskiemu nie przyszedł przypadkiem do głowy pomysł, aby pogodzić dwoje tak dobrze znanych mu ludzi? O tym też myślał Erli, ale odpędzał od siebie takie przypuszczenia.

Marząc o spotkaniu z Ley, sam robił wszystko, żeby do takich spotkań nie doszło. Ale teraz, niezależnie od chęci, będą musieli się spotkać. Dwieście piętnaście osób na planecie to nie tak wiele. Po prostu nie sposób się nie spotkać.

Erli rzucił na stół kopię sprawozdania o pracy na Pustelniku. Zresztą, jakie tam sprawozdanie. Ekspedycja wciąż obijała się o problemy i zagadki jak ślepe

kocię o ściany. Jedyne zoolodzy i botanicy zanotowali na swoim koncie pewne sukcesy. Ale jaka cywilizacja odwiedziła tę planetę? Gdzie się podziała? Co oznaczają dziwne budowle na Stacji Centralnej? Do czego potrzebne były bazy rozłożone w równych odległościach od siebie?

Erli wyszedł z biblioteki i pomaszerował jasno oświetlonym korytarzem zmierzając do mrówki, aby porozmawiać z dowódcą „Fiołka”. Nikolaaj Trajkow siedział w fotelu przed głównym ekranem i na wszystkie pytania Erli'ego tylko stroił miny i czasem lakonicznie odpowiadał:

— Później się dowiesz. Jeszcze zdążysz.

A Sven rzekł:

— Kompletny bałagan. Drepczemy w jednym miejscu. „Fiołek” patroluje przestrzeń wokół Pustelnika, czekamy, że lada chwila ktoś zjawi się u nas z wizytą...

— Nie z wizytą, a u siebie w domu — poprawił go Henry. — To my jesteśmy gośćmi i w dodatku nieproszonymi. — Nagle zmienił temat rozmowy. — Powiedz, Erli, jakie nowe imiona wymyślono na Ziemi? Będę miał córkę, koniecznie córkę. Oza chce ją nazwać Seoną. A ja nie wiem, jeszcze się nie zdecydowałem...

Minęły kolejne dwa dni od czasu, kiedy „Fiołek” rozstał się z „Warszawą”. A to znaczyło, że mogą już spróbować połączyć się z Centralną.

### 3.

Erli zrobił kilka kroków korytarzem i zobaczył idącego mu naprzeciw Henry'ego. Henry był wyraźnie zdenerwowany i zrównawszy się z Erlim rzucił niezadowolony:

— Coś się stało? — spytał Erli nie rozumiejąc o co chodzi radiowcowi.

— Nie chcą przed ustalonym terminem nawiązać z nami łączności. Nie wierzę, że Oza nie ma mi nic do powiedzenia. Lenistwo i tyle. Kiedy patrolujesz przestrzeń, to się zdarza. Ale przecież my idziemy po spotkaniu z „Warszawą”! Oni tam teraz liczą minuty.

— Kiedy powinni się odezwać?

— Za dwie godziny. Ale co to za różnica dla nich? Aż trzęsie mnie ze złości, jasne?

Erli przytaknął.

— Przez dwie godziny będę leżał na kol i nie zbliżę się do nadajnika — do-  
dał mściwie. — Nie podejdę i już!

Było to powiedziane z taką pewnością siebie, że Erli mimo woli pomyślał:  
„Henry nie wytrzyma nawet pięciu minut”.

Wirt poszedł do biblioteki, a Erli do kabiny dowodzenia. Sven był zajęty ja-  
kimiś wyliczeniami. Nie przestając naciskać klawiszy pokładowego komputera,  
gestem zaprosił Erli'ego, by usiadł w fotelu. Erli usiadł i zaczął obserwować  
ekran panoramiczny, ale choć usilnie się wpatrywał, nie potrafił znaleźć Pustel-  
nika na tle jasnych gwiazd.

Erli najwidoczniej usnął, gdyż nagle usłyszał zmieszany gwar.

Henry siedział przy nadajniku odwróciwszy głowę w kierunku dowódcy. Z  
cierpiętnym wyrazem twarzy stwierdził:

— Nie ma łączności.

— Co się tam u ciebie stało? — spytał Sven i zostawiwszy komputer pod-  
szedł do łącznościowca.

Erli uświadomił sobie, że przez cały czas miał nadzieję, że Ley zechce, być  
może, z nim porozmawiać. Wyszedł z pomieszczenia, obawiając się, że jego  
uczucia są zbyt widoczne dla postronnych.

Po dwóch godzinach w drzwiach biblioteki pojawili się dowódca i radio-  
wiec. Henry był blady, Sven — nienaturalnie spokojny.

— Pustelnik nie odpowiada. Coś się tam musiało stać — poważnym głosem  
oznajmił Thompson.

Trajkow odezwał się od czytania.

— Co się tam mogło stać? Przechodzenie fal radiowych...

— Z tym wszystko w porządku. Radiolatarnia kosmodromu odbiera nas i  
podaje nam namiar. Ale radiolatarnia, to automat.

Erli'emu pociemniało w oczach.

— Co zrobimy? — spytał Nikołaj.

— Za dziesięć minut wszyscy mają być gotowi. Pójdziemy trzykrotnym  
przeciążeniem, albo... — tu Sven spojrział z niepokojem na Erli'ego — albo i na  
granicy. Nawet jeśli ktoś się źle poczuje.

Trajkow uruchomił swoich cybernetycznych pomocników i po kilku minu-  
tach wszystko było na statku przygotowane do wyjątkowej sytuacji.

Cała czwórka zajęła miejsca w fotelach deceleracyjnych. Stała załoga miała  
obowiązki, które trzeba było wypełniać w warunkach przeciążenia i tylko Erli  
nie miał nic do roboty.

Sven włączył silniki. „Fiołek” rzucił się do przodu, ludzi wcisnęło w fotele. Jeszcze przez kilka minut próbowali rozmawiać, dyskutować, co mogło się stać z ludźmi na Pustelniku. Zepsuł się nadajnik? Ale przez ten czas sto razy można go było naprawić. Na Centralną wdarła się selwa? To było mało prawdopodobne, ale możliwe. Zwłaszcza, że inne wyjaśnienia nie przychodziły po prostu do głowy.

— To mogła być tylko selwa — powiedział Sven.

— Bazy udzieliłyby im pomocy — zaprzeczył bez przekonania Henry.

— Mogli ewakuować się z Centralnej do którejkolwiek bazy — podsunął Erli.

— Nie — ledwo otwierając usta odezwał się Nikołaj. — Selwa to bzdura. To musiało być coś innego...

W tym momencie komputer uruchomił silniki hamujące. Zwalił się na wszystkich ogromny ciężar. Ruszenie palcem, czy utrzymanie podbródka wymagało wielkiego wysiłku.

Szczęka przez cały czas zwisała. Pod oczami pojawiły się worki. Szczególnie ciężko przychodziło to znieść Erli'emu. Ostatnią jego myślą było: „Co za ludzie z tych kosmonautów!?” — po czym stracił przytomność.

Ocknął się po ośmiu godzinach, gdy na krótki czas nastąpił stan nieważkości. Z fotela wstał tylko Nikołaj Trajkow, aby osłabionemu dziennikarzowi wlać w usta kilka łyków gorącego bulionu

— Co się ze mną stało? — szepnął Erli.

— Byłeś nieprzytomny. Ale tak jest lepiej. W ten sposób łatwiej zdołasz to znieść Wszystko będzie dobrze.

Pozostali nie mieli siły jeść ani pić. W ten sposób zaczęło się hamowanie. Jeszcze osiem godzin z trzykrotnym co najmniej przeciążeniem.

W czasie całego lotu łączności z Pustelnikiem nie udało się nawiązać.

Kiedy przeciążenia skończyły się, Pustelnik, podobny do ogromnego arbuza, zajmował ćwierć ekranu.

Centralna leżała na samym równiku. „Fiołek” zbliżał się do niej od strony północnej, zaciągniętej półprzezroczystym oparem. Opar ten, wydawało się, składał się ze sztucznych, tęczowych pierścieni o przebiegu równoleżnikowym.

Do powierzchni pozostawało jeszcze dwa tysiące kilometrów, do bazy ok. czterech tysięcy.

I nagle zaczęło się dziać coś dziwnego. Pierwszy zauważył to Sven, wyczuwający najłżejsze drgnienie swojego statku. Nos „Fiołka” zaczął się powoli

wznosić. I znów powróciły przeciążenia; statek ostro hamował. Nie poddając się woli człowieka „Fiołek” zupełnie jakby wpadł w miękką, porowatą gumę.

Wszystko zdarzyło się tak szybko i tak nagle, że nikt z ludzi nie zdążył nic zrobić. Nikt, nawet Sven, nie zdążył się wtrącić. Na wysokości około półtora tysiąca kilometrów statek zawisł niczym nie podtrzymywany, ponieważ silniki były wyłączone. Zawisł na moment, a potem zaczął spadać, ale nie pionowo w dół, lecz gdzieś w bok, pod kątem około 45 stopni do powierzchni Pustelnika. To był bezładny upadek, jakby „Fiołek” toczył się z góry.

Sven wyczuł jednak odpowiedni moment i włączył silniki rakiety. „Fiołek” rzucił się świecą w górę i po stu kilometrach zaczął zwalniać.

Ludziom nic się nie stało. Nawet Erli nie zemdlał.

— Z czym to udało się nam tak miło zderzyć? — zawołał Sven.

— Z niczym się nie zderzyliśmy — pewnym głosem odparł Nikołaj. — Na tej wysokości nad Pustelnikiem nie może być przecież żadnych przeszkód.

— Meteor? — ot tak sobie, do nikogo rzucił Henry.

— Nie. W systemie Sewana prawie nie ma strumieni meteorów.

— Prawie... To znaczy, że jednak są. „Fiołek” nie ma uszkodzeń zewnętrznych — rzekł Nikołaj. — Przed chwilą sprawdziłem. System kontrolny nie wykrył żadnych uszkodzeń.

— Trzeba lądować — powiedział milczący do tej pory Erli. — „Fiołkiem” zajmujemy się później.

— Do diabła! — wyrwało się Henry'emu i odwrócił się. — Nie mogę uwierzyć, że im coś się stało.

Sven skierował statek na południe, w kierunku równika. Zawisnąwszy nad samą Centralną na wysokości półtora tysiąca kilometrów, powoli, bardzo powoli zaczął sprowadzać statek na powierzchnię planety.

Łączności z Centralną nie było w dalszym ciągu. Henry prowadził nasłuch na wszystkich częstotliwościach używanych w lokalnej łączności na Pustelniku, ale eter milczał.

Statek opuszczał się. Dwustumetrowe cygaro wibrowało. Do powierzchni pozostawało pięćset kilometrów... trzysta... sto... Centralną już było widać gołym okiem. Pięćdziesiąt... dwadzieścia... dziesięć... trzy... Można było odróżnić poszczególne budynki Centralnej. Kilometr... 200 metrów... Z tej wysokości można już było wypatrywać ludzi... Korpus statku drgnął. Z „Fiołka” wysunęły się amortyzatory i statek ułożył się w pozycji poziomej.

Kosmodrom był pusty. Nikt nie witał „Fiołka”.

4.

— Siedzimy — głucho powiedział Sven. — Co dalej?

Nikt mu nie odpowiedział. Erli dotknął jednego z ledwie wystających spod oparcia kolorowych przycisków. Amortyzatory rozsunęły się i fotel miękko opadł. Erli wstał. W głowie mu szumiało, ból uciskał skronie. Niezgrabnie na sztywnych, nieposłusznych nogach, nie oglądając się na Svena. Erli poszedł w kierunku drzwi sterowni, a za nim wyruszył Henry.

— Nikołaj! — krzyknął Sven. — Niech wszyscy włożą skafandry i wezmą blastery...

— Blastery? — zachnął się Trajkow. — Tu wszędzie pusto. Po co nam broń... ?

— Tego nie wiem. Czy ktoś wie, co się tutaj zdarzyło? — spytał Sven. — Najwidoczniej nie. Podnośnik zablokowałem. Na początek pobierzemy sobie próbki powietrza.

Po minucie Trajkow oświadczył:

— Skład powietrza jest normalny. Wyjdziemy wszyscy razem. Niczego nie robić na własną rękę. Nie wiemy, co się stało i dlatego musimy być szczególnie ostrożni.

Henry Wirt i Nikołaj Trajkow jako pierwsi wyskoczyli z kabiny dowodzenia. Erli zrozumiał, że nie powinien pchać się do przodu. Oni przynajmniej wiedzą, jak było tu wcześniej, a on tego sobie nawet nie wyobrażał. Podłoga pod nogami odrobinę drgała. Niewyraźne plamy światełek przelatowały obok. Sven skoczył do komory, w której przechowywano broń. Ale tak dawno się nią nikt nie posługiwał, że pogrzebawszy przez kilkanaście sekund, Sven wyskoczył z powrotem na korytarz niczego ze sobą nie niosąc.

Jako pierwszy na płytę kosmodromu zeskoczył Henry.

W odległości około kilometra od „Fiołka” widniała kopuła Centralnej stacji z wymyślnymi przybudówkami, pochylniami, przejściami i ażurowymi wieżami. Wszystko to różnobarwnie przelewało się, rzucając na wszystkie strony tęcze plamy wyraźnie odcinające się na tle błękitnego nieba. Na południe i północ od centralnej kopuły ciągnęły się ogromne cylindry magazynujące energię. Jeszcze dalej można się było domyślić sylwet składów, hangarów, pomieszczeń pomocniczych i domków mieszkalnych. Jasnozielone plamy parków rozrzucone były z lewej i prawej strony, a dalej czarny z tej odległości pas selwy Pustelnika pokrywający prawie cały kontynent.

„Na zewnątrz nic się nie zmieniło” — pomyślał Sven doganiając Erli'ego. Henry i Nikołaj już znacznie ich wyprzedzili.

— Potrzebna jest jakaś robocza hipoteza — rzekł Erli, ciężko dysząc.

— Wiem... — Henry'ego całkiem zawiodły nerwy.

— Może wrócili ci, którzy zbudowali Centralną?

— Właśnie teraz? Nie sto lat wcześniej ani sto lat później? Zresztą, to też możliwe. Tylko, co w takiej sytuacji robić?

Zazwyczaj do „Fiołka” podjeżdżały łąziki, do oporu naładowane chichoczącymi i wrzeszczącymi fizykami, technikami, botanikami, matematykami i biologami. Powrót statku bagażowego był świętem dla wszystkich.

A tu martwa cisza. Żadnych oznak obecności ludzi.

Dwa łąziki i teraz stały koło Centralnej, a trzeci z otwartymi lukami znajdował się w pół drogi między stacją a statkiem. Henry przebiegł obok niego. Nikołaj zatrzymał się, wdrapał na wieżę i wskoczył do środka. Włączył oświetlenie. Wskaźniki na tablicy rozdzielczej zajaśniały i stanęły na pozycjach roboczych. Trajkw błyskawicznie skontrolował przyrządy i dźwignie sterownicze. Wszystko było w porządku. Zapasy energii niemal maksymalne. Zajrzał do części mieszkalnej, ale tam też nikogo nie było.

— Ciekawe do czego były im potrzebne łąziki? — krzyknął Sven zaglądając przez luk.

— Może chcieli gdzieś jechać?

— Nie rozumiem dokąd mogli nimi jechać. Szybkości małe, do bazy się nie dostaniesz... od tego są wiroloty...

Erli także wdrapał się na wieżę łązika. Nikołaj nacisnął starter, motor ryknął i maszyna pomknęła do przodu.

— Daj rękę! — krzyknął Erli, kiedy dogonili Henry'ego.

Drzwi wejściowe do Centralnej były otwarte na oścież. Henry jednym skokiem przebył granitowe stopnie.

— Selwa nie ma tu nic do rzeczy — krzyknął Sven, a Henry tylko kiwnął głową jakby mówiąc: „Rozumiem, widzę”. — A ty dokąd?

— Do biologów.

— Poczekaj na Nika i Erli'ego.

— Zobaczę tylko, co w sektorze Ozy! — krzyknął Henry zatrzymując się w drzwiach.

— Weź ze sobą Nika!

— Dobrze!

Wirt i Trajkw skryli się w korytarzu prowadzącym do zewnętrznego pierścienia Centralnej Stacji. Głośny stukot butów ucichł za zakrętem Swen gestem zaprosił Erli'ego, by szedł za nim. Windą pojechali na samą górę Centralnej, gdzie znajdował się sztab ekspedycji oraz pracownia naukowa Konrada Stakowskiego i jego pomocników — Ezry i Jumma. Drzwi pomieszczenia były zamknięte. Sven i Erli kilka razy próbowali je otworzyć, ale te nie poddawały się.

— Nikogo tu nie ma. Selwa się nie przedarła. Żadnych śladów katastrofy — rzekł Erli. — Ale gdzie mogli podziać się ludzie?

— Ludzie mogli odlecieć na bazy, często tak bywa. Ale mimo wszystko ktoś tu powinien zostać. Przynajmniej pięć osób. A na przyłot „Fiołka” wszyscy się tu zbierają. Wprawdzie na bazach ochrona przed selwą jest znacznie słabsza... Jednak wszystkie dwadzieścia od razu?! Co by to nie było, konieczni musimy się dostać do sztabu. Tam stale ktoś dyżuruje. Powinien też być tam dziennik ekspedycji. Przynajmniej czegoś się dowiemy.

Chwilę pomilczeli, po czym Sven rzekł:

— Poszukam czegoś ciężkiego.

Pomknął w dół przeskakując po trzy stopnie.

Erli wolno poszedł dookólnym korytarzem. Z jednej strony wznosiła się ściana pomieszczenia sztabowego albo jak je inaczej nazywano, głównego pulpitu ekspedycji. Druga strona — kopuła Stacji Centralnej — była przezroczysta. Przezroczysty był też sufit niedużego, około pięćdziesięciu metrów obwodu, korytarza. Erli obszedł go kilka razy, zbierając myśli. Svena nie było zbyt długo. Wzbudziło to czujność Erli'ego. Co się tam mogło stać? W końcu nie wytrzymał i pobiegnął schodami na dół.

— Sven! Sven!

Nikt nie odpowiedział. Erli pobiegnął kilkadziesiąt metrów korytarzem III pierścienia i znowu krzyknął. I znowu nikt nie odpowiedział. Rzucił się w stronę podziemnego przejścia do II pierścienia, gdzie znajdowały się pomieszczenia gospodarcze. Rozumiał, że może zabłądzić w tym labiryncie korytarzy, przejść i schodów, ale pozostawać na miejscu także nie mógł. Z lewej strony ciągnął się sznur światełek.

Z prawej było ciemno. Erli odruchowo skierował się do światła i równocześnie uświadomił sobie, że lampy te musiał włączyć Sven.

A to znaczy, że szedł tędy.

Świecąca linia skręciła nagle w bok, w stronę przeciwną niż pomieszczenia gospodarcze i po dziesięciu metrach skończyła się przy schodach numer pięć



trzeciego pierścienia. Erli wszedł na górę i znalazł się około dwustu metrów od miejsca, w którym wędrówkę swoją rozpoczął.

— Sven! — zawołał Erli.

— Tu jestem — odpowiedział głos tuż obok i za najbliższym zakrętem Erli ujrzał Svena z uchem przy drzwiach.

— Co się stało?

— Tam ktoś płacze.

— Cooo? — z radością i zdziwieniem w głosie wykrzyknął Erli.

— Cicho, cicho — szepnął Sven. — Słuchaj.

Erli na palcach podszedł bliżej. Za matową ścianą pokoju rzeczywiście ktoś płakał. Erli po cichutku nacisnął klamkę. I te drzwi też były zamknięte.

— Usłyszałem jeszcze na dole i przybiegłem tu — rzekł Sven. — Ktoś płacze i nie otwiera drzwi. Trzeba będzie wyłamać. Co innego możemy zrobić?

— Poczekaj! — Erli postukał w drzwi pięścią.

Płacz nagle ustał.

— Proszę otworzyć!

— Neeee! Neeee! — głos był schrypnięty rwący się, żaloszny.

— Wyłamuj! — krzyknął Erli.

Sven nacisnął drzwi ramieniem, ale te poddały się nie od razu.

— Nie trzeba! Nie chcę! — to był głos zaszczutego, śmiertelnie przerażonego człowieka.

Drzwi z łomotem runęły na podłogę. Sven i Erli wpadli do pokoju.

— Erli, przecież to Eva! — krzyknął Sven.

— Eva?

— Nie, nie znam was. Nie znam was — ledwo dosłyszalnie szeptała dziewczyna, cofając się wolno między stołami. Zaczepiła ręką o jakiś przedmiot, który z łoskotem upadł na podłogę. Dziewczyna przyłgnęła do ściany, jakby starając się wcisnąć w nią swoje ciało.

— Eva, to ja Sven. Dowódca „Fiołka”. Co ci się stało? — Sven wolno podchodził do dziewczyny, wyciągnąwszy przed siebie rękę.

— Nie, to niemożliwe.

— Uspokój się Eva. Uspokój się.

— Nie... Nie ...

Sven dotknął ramienia dziewczyny. Ta patrzyła na niego przerażonymi oczami zaszczutego zwierzątka. Sven potrząsnął nią.

— Co się stało?

— Sven. No oczywiście, Sven — niespodziewanie spokojnym, cichym głosem powiedziała nagle dziewczyna. — To ty. Jak tu strasznie.

— Eva!

— Cicho, Sven... — przytuliła się policzkiem do jego szerokiej piersi.

— Gdzie Stakowski? Gdzie pozostali? — próbując oderwać ją od siebie pytał Sven.

Ciało dziewczyny nagle zwiotczało i Sven ledwo zdołał ją utrzymać.

— Erli, ona zemdląca. Trzeba ją stąd zabrać. Wiesz gdzie jest jej domek?

Erli wzruszył ramionami, a potem pochylił się nad dziewczyną.

— Śpi.

— Pierwszy rząd, numer osiem. Pomóc ci?

— Znajdę — Erli ostrożnie wziął dziewczynę na ręce i wyszedł z pokoju.

Sven usiadł przy najbliższym stole i na tarczy łączności wewnętrznej wybrał kod wywoławczy Henry'ego Wirta. Wirt nie zgłosił się. Sven wezwał Trajkowa.

— Słucham — Nikołaj odpowiedział od razu.

— Dlaczego Wirt nie odpowiada?

— Siedzi w laboratorium Ozy. Nie przeszkadzaj mu przez kilka minut. Ma nadzieję, że coś znajdzie. Kartkę od Ozy albo jeszcze coś...

— Dobrze, Nik. Znaleźliśmy tu Evę!

— Jak... Evę? Czy tu ktoś jest w ogóle?

— Jak dotąd tylko ona.

— Eva! — radośnie krzyknął Trajkow. — Czy coś powiedziała?

— Nie. Jest nieprzytomna. Idźcie szybko do jej domu. Wiesz gdzie to jest?

— Oczywiście, wiem.

— Idźcie jak najszybciej.

— Idziemy.

## 5.

Erli ostrożnie wyniósł dziewczynę na ganek Centralnej. Sewan stał niemal w zenicie i dopiero teraz Erli zauważył jak było gorąco. Domki znajdowały się około trzystu metrów od głównego wejścia i żeby skrócić sobie drogę, Erli przeszedł na przełaj przez trawę. Znajoma, ziemiska trawa miękko szeleściła pod nogami. Gałęzie drzew czepiały się twarzy i ubrania. Ich dotyk był zadziwiająco miękkie i delikatny. Erli przyłapał się na tym, że nie myśli o katastrofie, która się

tu zdarzyła, że zapomniał o Ley, zapomniał o wszystkim i że troszczy się tylko o jedno — żeby niezręcznym ruchem nie zmaćć snu dziewczyny.

Ocknął się z zamyślenia i od razu zrobiło mu się gorzej. Czas! Ile czasu przeszło od momentu gdy wylądowali na Pustelniku? Około trzydziestu minut a jeszcze nic nie wiadomo. Co z Ley? Co się stało ze wszystkimi! Cała nadzieja w Evie i w tym, że w sztabie ekspedycji znajdą jakieś zapisy... Powinni coś znaleźć.

Popatrzył uważnie na twarz Evy. Co ona tu przeżyła?

Erli znalazł domek i kopnięciem otworzył drzwi. Minał jeden pokój, drugi. Gdzie jest sypialnia? Niech szlag trafi tych architektów. Tu i zabłądzić nietrudno. Wreszcie zobaczył szeroki niski tapczan i położył na mm dziewczynę. Spała. Oddech miała spokojny, a serce biło spokojnie i rbnwomieilnie. Erli wyjrzał przez okno.

Nikołaj Trajkow, zeskoczywszy z ganku Centralnej, biegł w kierunku domku. Sven i Henry szli wolno. Kilka razy zatrzymali się. Widać było, że Thompson tłumaczy coś Wirtowi, który tylko przecząco kręcił głową.

— Co z nią? — spytał Nikołaj.

— Śpi — zwięźle odpowiedział Erli.

— Czyżby nic nie powiedziała?

— Powiedziała: „Jak tu strasznie”.

— Co to mogło znaczyć?

— Albo to co się stało ze wszystkimi, albo to, co ona sama przeżyła, albo jedno i drugie razem. Trzeba będzie zastosować stymulator ND. Nie mamy czasu. Teraz musi się ocknąć... Pośni sobie potem.

— Dobrze — odparł Nikołaj i wyszedł do łazienki, gdzie zazwyczaj przechowywane były wszelkie lekarstwa.

Do pokoju weszli Sven i Henry.

— Henry prosi, żeby dać mu wirolot — już od progu rzekł Sven.

— Ja tylko dolecę do Ozy wrócę. To zaledwie cztery godziny — pospiesznie wyrzucił z siebie Henry. — I tak trzeba będzie lecieć do bazy. A Oza jest w najbliższej. Dajcie mi wirolot.

— Ale przecież ty nawet nie umiesz pilotować — mruknął Sven i odwrócił się. Trudno mu było wytrzymać błagalny wzrok Henry'ego.

— To wcale nie jest skomplikowane.

— Nie, Henry. Nie. Jest nas tylko pięcioro. I minęło już trzydzieści pięć minut od kiedy tu jesteśmy, a wciąż jeszcze nic nie wiemy! Nic! Rozumiesz? — i cicho dodał. — Poczekaj trochę. Zaraz obudzi się Eva.

Henry podskoczył do Svena i chwycił go za zamek przy kurtce...

— Jakim prawem tu dowodzisz?! Tu nie „Fiołek”! Kto ty jesteś? Stakowski? Tu są po dwa wiroloty na każdego z nas. Możecie zajmować się czym chcecie, a ja polecę do Ozy. Muszę, koniecznie muszę wiedzieć, co się z nią stało. Muszę to wiedzieć teraz, zaraz, rozumiesz? Nie mam zamiaru czekać, aż wy się zorientujecie.

— No cóż — cicho powiedział Sven. — Niech decyduje większość.

Wszedł Nikolaј trzymając w wyciągniętej ręce strzykawkę. Watką umoczoną w spirytusie przetał Evie rękę powyżej łokcia i zrobił zastrzyk. Henry milcząc usiadł nagle w fotelu. Zamknął oczy, odchylił się na oparcie i zaczął wolno kołysać się razem z fotelem, z całej siły zaciskając dłonie na poręczach.

Eva otworzyła oczy, niedowierzająco rozejrzała się po pokoju i ledwo dosłyszalnie wyszeptała:

— Chłopcy...

— Uspokój się Eva — Sven podszedł do niej, pomógł podnieść się i gestem ręki wskazał Erli'ego. — Erli Kozales, dziennikarz-fizyk. Przyleciał z nami...

Dziewczyna usiadła, podwinęła nogi pod siebie i oparła się na prawej ręce.

— To znaczy, że nie zwariowałam?..

— Co tu się stało? — twardo spytał Sven.

— Gdybym to wiedziała...

— Eva, co tu się stało? — powtórzył Sven.

— Nie mam pojęcia co się stało... Ale opowiem wszystko, co wiem. Cztery dni po tym jak wystartowaliście z Pustelnika, Stakowski ogłosił, żeby wszyscy przygotowali się do odlotu na bazy. Zdarzało się to i wcześniej, więc nikt się nie zdziwił. Zaczęły się wyjazdy. Dziesiątego na Centralnej zostali tylko Ezra, Jumm i ja. Pozostali odlecieli.

— Wszyscy prócz was trojga?

— Tak.

— I Oza odleciała na swoją bazę? — pozornie beznamiętnie zapytał Henry.

— Tak. Namawiali ją, żeby została, ale bardzo nastawała, by ją też wysłać.

— A kiedy powinni byli wrócić?

— Dwunastego. Oprócz tych, którzy stale mieszkali na bazach.

— Co miał zamiar zrobić Stakowski?

— Nie wiem. Słyszałam, jak Ezra mówił Jummowi, że Stakowski chce pokazać, co to takiego huśtawka.

— Huśtawka? — zdziwił się Sven.

— Co za huśtawka? — spytał Erli.

— Nie wiem — Eva wzruszyła ramionami. — Ezra i Jumm siedzieli przy centralnym pulpicie, w sztabie. Stamtąd przecież jest łączność ze wszystkimi bazami. I komputer też tam jest. Posłali mnie po kawę. Zeszłam na dół. Kawa stała w termosach w barze. Wzięłam jeden i weszłam na górę. To wszystko zajęło mi nie więcej niż dwie minuty, tak mi się wydawało. Weszłam do sztabu. Ezry i Jumma tam nie było. W miejscach, gdzie siedzieli zobaczyłam dwa szkielety i strzępy spalonej odzieży...

Eva zakryła rękami twarz i pokręciła głową.

— To coś strasznego.

Sven przysiadł na brzeżku tapczanu i odciągnął ręce dziewczyny od zapłakanych oczu.

— Co było dalej?

— Przestraszyłam się. Nie mogłam sobie wytłumaczyć, co się stało. I to właśnie było najgorsze. Wywołałam wszystkie bazy naraz. Nikt nie odpowiedział. Cała aparatura była popsuta. Wybiegłam z kopuły zatrzaskując drzwi. Może uda się ich wywołać z centralnej **łączności** zewnętrznej — myślałam z nadzieją. — Przecież ona dubluje łączność pulpitu. Ale tam też nikt nie odpowiedział. I wtedy sobie wyobraziłam, że zostałam sama jedna na całej planecie. Nie wiedziałam, co się stało ze wszystkimi, co stanie się ze mną teraz, za moment, za minutę.

Zostałam sama. To było przerażające. Zmusiłam się, by pójść do sztabu. Trzeba było doprowadzić do porządku materiały. Przecież wy mieliście przylecieć na Pustelnika! Musiałam jakoś ułatwić wam zadanie. Chociaż w czymś pomóc. Ale okazało się, że pamięć komputera jest czysta — żadnej informacji. Zupełnie jakby umyślnie ktoś ją starł. Taśmy z aparatów rejestrujących zniknęły. Wszystko tam zardzewiało, połamało się, popsulo. Nie został żaden dokument, na podstawie którego można by było sądzić, co działo się na bazach w ostatnich godzinach przed katastrofą. Nie znajdziecie tam nic.

Eva zamilkła.

— Mów dalej, Evo. Teraz jest nas pięcioro — rzekł Sven.

— Wtedy zaczęłam mieć halucynacje. Myślałam, że wariuję. Od tego zrobiło się jeszcze gorzej, jeszcze straszniej. Czasami widziałam Ezrę i Jumma, jak chodzą po Centralnej i dyskutują. Ale przecież ich nie ma. Przecież oni umarli. Ale mimo wszystko oni chodzą. To szaleństwo? Człowiek nie może tyle znieść. Który dziś mamy?

— Dwudziesty czwarty.

— To znaczy, że minęło dwanaście dni. Wyglądam na obłąkaną?

— Jesteś zdrowa, Eva — powiedział Nikolaï. — Jesteś tylko bardzo zmęczona.

— Boję się.

— Teraz już się niczego nie musisz bać — Sven położył rękę na jej ramieniu. — Nie pominęłaś niczego istotnego?

— Nie... Zmęczyłam się. Zmęczyłam się tym wszystkim.

— Eva, teraz zaśniesz. Musisz odpocząć.

— Nie zostawicie mnie samej? Prawda?

— Eva, będziesz sama. My nie możemy tracić czasu. Powinnaś nas zrozumieć.

— Dobrze, zasnę. Ale nie dłużej niż na dwie godziny. To mi zupełnie wystarczy.

— Spij, Eva.

Czterech ludzi wyszło z pokoju. Dziewczyna odprowadziła ich wzrokiem pełnym nadziei. Tak, jest ich teraz pięcioro.

## 6

Erli wyszedł na ganek drewnianego domku i rozejrzał się. Dookoła było tak pięknie! Rozrzucone w nieładzie domki pośród wielkiego, cienistego parku. Biała grupa Centralnej, jakby pływająca na tle bezdennego, błękitnego nieba. Miękka, zielona trawa i dzikie kwiaty, zupełnie jak na Ziemi. Dziwne, powodujące zawrót głowy zapachy, na które wcześniej nie zwrócił uwagi — wszystko było niezwykle, nowe, nieznanome.

Obejrzał się i zgromił się w myśli za te sentymenty nie na miejscu. Przed nim leżał Pustelnik jego drzemiąca selwa i tysiące nierozwiązanych problemów. Dwieście dziesięć osób wyposażonych w najdoskonalsze środki transportu, łączności i obrony nie wróciło na Centralną.

I znów tak jak wtedy gdy niósł Evę, zrobiło mu się źle. Gdyby miał czas zanalizować to uczucie rozumiałby, że to strach. Strach, że nigdy więcej nie zobaczy Ley. Największy strach, kiedy człowiek nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, że się boi.

— Co robimy dalej? — spytał Sven Thompson. — Przecież tak nie można — i wskazał ręką na pozostałych. — Trzeba koniecznie coś zrobić.

Henry leżał na trawie twarzą do ziemi i zdaje się płakał. Nikołaj nerwowo przygryzał wargi.

— Minęła prawie godzina — stwierdził Erli — a my nadal nic nie wiemy. Trzeba sporządzić plan działania. Przecież oni nie mogli tak wszyscy naraz...

— Dlaczego nie puściliście mnie do Ozy!?! — krzyknął Henry. — Dlaczego? — i uderzył pięścią w trawę.

Sven skoczył ku niemu, gwałtownym szarpnięciem podniósł z ziemi i silnie potrząsnął.

— Henry! Uspokój się! Weź się w garść!

— Wybacz Henry — powiedział Erli. — Polecisz do Ozy. Z pewnością zaraz tak zadecydujemy. Teraz pójdziemy do Centralnej i tam wszystko postanowimy...

Henry opanował się wreszcie, wstał i wszyscy czterej skierowali się do Centralnej.

— O jakiej huśtawce mówił Stakowski? — spytał Erli Svena. — Nie wiesz przypadkiem, co miał na myśli?

— Nic mi nie przychodzi do głowy.

— Do tej pory o czymś takim nie wspominał?

— Niczego takiego nie zdarzyło mi się słyszeć.

Zatrzymali się przy centralnym pulpicie.

— Jak można przedstawić huśtawkę? — spytał nagle Nikołaj. Pozostali popatrzyli na niego zdziwionym i nie rozumiejącym wzrokiem.

— No, jak najprościej, schematycznie można przedstawić huśtawkę?

Erli narysował na papierze prostą linię przez całą kartkę, a pośrodku przeciął ją odcinkiem pod niewielkim kątem.

— Tak mniej więcej bym i ja narysował — rzekł Sven. — Ale o co chodzi. Widziałeś gdzieś taką?

— Widziałem. Zupełnie niedawno, nieraz widziałem. Może tydzień temu, może dawniej. Tylko gdzie i dlaczego? Nie mogę sobie przypomnieć. Ale postaram się.

— Od razu nie możesz? — spytał Sven.

— Nie.

— Postaraj się sobie przypomnieć. Może właśnie w tym tkwi rozwiązanie? A tymczasem przygotujmy plan działania. Nie możemy przez cały czas przebywać razem. Dlatego potrzebna nam będzie wzajemna łączność. Potrzebna nam jakaś centrala, do której spływałyby wszystkie informacje, które będziemy zbierać. Jeden z nas powinien stale znajdować się tu, w Centralnej. Najlepiej w

ośrodka łączności. Będzie to wygodne w przypadku, gdy któryś z nich nagle się odezwie. Kto zostanie? Henry oczywiście nie zechce...

— Nie.

— Więc kto? Ja jestem zmuszony lecieć z Henrym, choć mógłbym sam.

— Nie — powtórzył Henry.

— Erli nie zdołał się jeszcze we wszystkim zorientować...

— Eva — rzekł Nikołaj. — Dopóki ona śpi. ja tu będę. A kiedy się obudzi.. Dla mnie, z pewnością, znajdzie się bardziej odpowiednia robota...

— Dobrze — Sven wstał i przeszedł się po pokoju. — Każdy ma wziąć ze sobą tarczę łączności wewnętrznej i radiotelefon do łączności zewnętrznej. I nigdy się z nimi nie rozstawać. Każdy zobowiązany jest zawsze mieć przy sobie chociaż lekki blaster. Nie wiemy co się tu zdarzyło. Henry i ja polecimy wirolotem do bazy Ozy. Wystarczą nam na to cztery godziny.

— Tam nie działa radiolatarnia rzekł Henry. — Przeprowadziłem nasłuch.

— Dawniej wystarczyłyby cztery godziny. Ale bez zamiaru... Nie wiem, czy uda mi się szybko ją znaleźć na podstawie mapy.

— Ja tam bywałem — powiedział Henry. — Szybko ją odnajdziemy.

— W takim razie lecimy. A ty Erli spróbuj wyłamać drzwi sztabu.

— Eva mówiła, że ma klucz — sprzeciwił się Nikołaj.

— Rzeczywiście, jak mogłem o tym zapomnieć? Tym lepiej. No cóż, chodźmy. Co będziemy robić za kilka godzin — nie wiem.

— Nie ma sensu zastanawiać się nad tym — rzekł Nikołaj i wyszli na korytarz.

Sven powiedział:

— Jeśli to wrócili ci, którzy byli tu przed nami?... Jeśli są do nas wrogo nastawieni, nie pozostanie nam nic innego, jak odlecieć „Fiołkiem”. Od razu bym tak zrobił, gdybym był przekonany, że oprócz nas nie ma tu żadnego żywego człowieka.

Pięć minut wystarczyło im na odnalezienie kieszonkowych radiostacji i blasterów. Sven i Henry pobiegli do hangaru wirolotów. Nikołaj włączył wszystkie odbiorniki pulpitu łączności. Erli poszedł do domku Evy.

## 7.

Erli postanowił nie budzić Evy. Przez te kilka godzin obejdą się bez niej. Niech lepiej odpocznie jak należy. Wysunął z jej biurka kilka szuflad, ale klucza



tam nie było. Znalazł go natomiast na piersi dziewczyny, na łańcuszku razem z malutkim medalionem. Starając się by przypadkiem Ewy nie zbudzić, Erli rozpiął łańcuszek i delikatnie go pociągnął. Dziewczyna lekko się poruszyła i ścisnęła mu rękę, ale nie obudziła się. Wreszcie klucz znalazł się u niego. Nie tracił już czasu na zapinanie łańcuszka. Po cichutku wyszedł z pokoju.

Przed drzwiami sztabu zatrzymał się, wyrównał oddech, wywołał Trajkowa i spytał:

— Nik, czy oni już polecieci?

— Polecieci. Wszystko w porządku. Będę z nimi rozmawiał co dwadzieścia minut. Możesz zajmować się swoimi sprawami.

— No to wspaniale.

— Gdzie jesteś?

— Otwieram drzwi do sztabu. Ledwo znalazłem klucz...

Erli otworzył drzwi. Wionęło na niego stęchłym powietrzem. To go zdziwiło. Czyżby zepsuła się wentylacja! Nie zadziałał też automat uruchamiający oświetlenie. Ledwo dostrzegalnie świecił sufit. Odrobinę jaśniej od strony południowej i północnej, w środku zaś było zupełnie ciemne pasmo. Przy takim oświetleniu trudno było cokolwiek zobaczyć i Erli poruszał się niemal po omacku... Trochę pomagała struga światła, padająca przez otwarte drzwi.

Nie znał rozkładu pomieszczenia, ale oczy pomału przywykały do półmroku. Poruszał się już pewniej, ale cała jego pewność siebie znikła, kiedy dotknął ręką oparcia krzesła i płócienne obicie rozsypało się w pył pod palcami. Erli zatrzymał się. Nie, lepiej wziąć latarnię. Ale dlaczego nie działa oświetlenie? Szybko, wzdłuż świetlnego pasma podszedł do drzwi i namacał ręką wyłącznik. Nacisnął. Charakterystycznego pstryknięcia nie usłyszał, zaś elementy wyłącznika z hałasem upadły na podłogę.

— Erli — wywołał go Trajkow.

Erli, niespodziewanie wywołany drgnął i nie wiadomo dlaczego odpowiedział szeptem:

— Tak, Nik.

— Co tam u ciebie?

— Dziwne...

— Pomóc?

— Nie, Nik. Nie trzeba. Powiedz lepiej, gdzie mogę najprędzej znaleźć latarnię?

— Latarnię? Co ty, w podziemiach jesteś?

— Nie myśl, że zwariowałem. Automatyka nie działa, a wyłącznik rozsypał mi się pod palcami.

— Wątpię, czy znajdziesz bliżej, niż w pomieszczeniach gospodarczych. Przynieść ci ją?

— Sam pójdę. Nie powinieneś odchodzić od pulpitu łączności.

— Łączność dopiero za trzynaście minut. Zdążę.

— Nie, Nik. Przez cały czas powinien tam ktoś dyżurować.

Erli zszedł po schodach, znów przebiegł przez korytarz trzeciego pierścienia i zagłębił się w podziemne przejście. Kolba blastera obijała mu się o plecy. Erli pomyślał nawet, że tu w Centralnej Stacji, broń jest całkiem zbędna. Łańcuszek świateł biegł wraz z nim, odrobinę go wyprzedzając. Tu wszystko działało normalnie. W pomieszczeniach gospodarczych stała tablica informacyjna. Erli nacisnął guzik „oświetlenie awaryjne”, zapamiętał numer sekcji i pobiegł dalej. Drzwi sekcji otworzyły się same, gdy tylko się do nich zbliżył. Na zastanawianie się nie było czasu, więc chwycił niewielką latarkę i schował do kieszeni kombinezonu. Znalazł na półce dwie duże lampy akumulatorowe wziął je, potem trochę się ociągając wziął jeszcze dwie. Więcej nie mógłby już unieść.

Tak samo biegiem powrócił do pomieszczenia sztabowego. Przed drzwiami wciągnął głęboko powietrze i wszedł. Postawił lampy na podłodze, zapalił jedną z nich i podniósłszy wysoko nad głową wolno poszedł naprzód.

Była to sala o średnicy około czterdziestu metrów. Wzdłuż ścian stały zespoły komputera, bloki pamięci zewnętrznej, drukarki, plotery i cała aparatura pomocnicza. Obok nich stało piętnaście foteli operatorskich. Kiedy Konrad Stakowski zaczynał kolejne pogotowie opracowywania informacji, wszystkie one były zajęte.

Środek sali zajmowała dziesięciometrowa podkowa głównego pulpitu z różnokolorowymi szachownicami przycisków i klawiszy programowania, urządzeniami dwustronnej łączności z dwudziestoma bazami położonymi na Pustelniku, pulpit głównego komputera, tablica sygnalizacji alarmowej, aparatura wewnętrznej wideołączności. Na samym środku sali stało jeszcze kilka foteli. Zazwyczaj zajmowali je: Stakowski, Filip Ezra i Edwin Jumm.

Erli postawił lampę na pulpicie. Obszedł go dookoła, niczego nie dotykając, a następnie wszedł do środka. Pierwsze dwa fotele były puste. W trzecim i czwartym siedziały dwa ludzkie szkielety, gdzieś obciążone skórą i strzępkami odzieży.

Przez kilka sekund Erli przyglądał im się potem spazmatycznie wciągnął ciepłe, zatęchłe powietrze i ścisnął rękami skronie. Po raz trzeci ogarnęła go fala

strachu i zaczął cofać się do wyjścia, powstrzymując wyrywający się z gardła krzyk. Zawadził o róg drzwi i aż wzdrygnął się, tak to było niespodziewane. Pod wpływem jasnego światła na korytarzu trochę doszedł do siebie.

„A jak tu się musiała czuć Eva — pomyślał. — Kob1eta, sama. I jeszcze potrafiła coś nam powiedzieć. Znalazła siły, żeby upewnić się, że w blokach pamięci została starta cała informacja. Ja nawet tego nie byłem w stanie zrobić.

— Erli, co tam u ciebie? — wywołał go Trajkow.

— Pozostało nam dowiedzieć się, co się stało z pozostałymi dwustu dwudziestu ośmioma...

— To znaczy... Eva powiedziała prawdę?

— Jeszcze jaką prawdę.

— Wywołuje mnie Henry. Wyłączam się.

— Pozostało dowiedzieć się, co się stało z pozostałymi dwustu dwudziestu ośmioma — jeszcze raz szeptem powiedział Erli i ponownie wszedł do sali.

## 8.

Na lądowisku było około dziesięciu wirolotów Sven rzucił się do małego, dwumiejscowego, ale Henry zatrzymał go.

— A jeśli oni żyją i trzeba ich będzie szybko tu przetransportować?

Thompson nie sprzeciwił się i pobiegł do wielkiego, dziesięciomiejscowego wirolotu, wrzucili do środka blastery, po czym sami zajęli miejsca. Sven zajrzał jeszcze do środka przedziału bagażowego, sprawdzając, czy miotacze ognia są na miejscu. Lecieć w selwę bez nich byłoby rzeczą absolutnie nie do pomyślenia.

Sven ostro poderwał maszynę. Kopuła Centralnej Stacji uciekła w bok, zamigotały białymi płytkami pochłaniacze energii. Po minucie zniknęły ostatnie plamy jaskrawozielonych parków i ciemne punkciki domków osiedla. W dole rozpościerała się selwa.

— Henry — powiedział Sven. — Połącz się z Centralną. Trzeba zawczasu wszystko skontrolować.

— Dobrze. Nik! Jak mnie słyszysz? Odbiór.

— Znakomicie — odpowiedział głos Trajkowa. — Jak tam u was? Wszystko w porządku?

— Wszystko w normie — i dodał zwracając się do Thompsona — łączność działa, Sven. Nik! Będę wywoływał Centralną co dwadzieścia minut, tak jak było umówione.

— W porządku.

Z góry selwa wydawała się jednorodna: posępne skupisko brudnozielonej roślinności. Tylko na mgnienie oka, gdzieś tam, można było domyślić się nieśmiałych odblasków rzek i jezior. Okolica była równinna. Na Pustelniku w ogóle nie było dużych gór.

„Gdzie nie spojrzeć, wszędzie selwa! — Wirt wzruszył ramionami. — A jeśli selwa wdrze się do którejś z baz? Strach pomyśleć. Dzikie rozpasanie wyjątkowo żywotnych, ohydnych roślin — pełzaków i świat zwierzęcy, który ma tylko jeden cel — pożerać. Żadne blastery nic tu nie pomogą. Straszna ta selwa. Ale dopóki na bazach działają systemy bezpieczeństwa — jest niegroźna. Wszystko może się popsuć, ale nie system ochrony!”

Henry kątem oka zerknął na prędkościomierz. Świecąca linia doszła do końca skali.

Obaj milczeli. Sven gorliwie porównywał okolicę z mapą. Henry myślał o swoich sprawach. Nie chciał wierzyć, że z jego Ozą coś się stało.

Minęło dwadzieścia minut od startu, gdy Wirt wezwał Centralną.

— Nik, jak mnie słyszysz.?

— Wspaniale. Dlaczego tak szybko mówisz? Coś się stało?

— U nas wszystko w porządku. A u was?

— Erli dopiero co mówił ze sztabu — Nikołaj starannie rozciągał słowa. Jego głos brzmiał nisko i ochryple. — Ezry i Jumma można dalej nie szukać. Ich już nie ma.

— Jak to?

— On nic więcej nie powiedział.

— Nic, Nik?

— Nic.

— Masz taki głos, Nik... Zachrypnięty, aż mrówki chodzą po skórze.

I znów w dole jednostajna, brudnozielona selwa.

Sven spojrzął na Wirta.

— Za godzinę, o ile wszystko dobrze pójdzie, zobaczymy bazę numer dwa. Ilu tam było ludzi?

— Tam? Czwooro! — odparł Henry i Thompson zrozumiał, że niepotrzebnie powiedział „było”. — Oza, Witczek, Jurgens i Stap. Jest ich tam czwooro.

— Nie umiem. pocieszać, Henry.

— Dziękuję, tak lepiej... Czy wszystkie bazy straciły łączność równocześnie, czy nie?

— Może i niezupełnie jednocześnie. Przecież Eva nie od razu wróciła do głównego pulpitu. Dużo mogło się zdarzyć w ciągu tych minut.

— A może to selwa?

— Na wszystkich bazach równocześnie? Trudno to sobie nawet wyobrazić! Minęło jeszcze dwadzieścia minut. Wirt wezwał Centralną.

— Nik, jak mnie słyszysz?

W odpowiedzi rozległo się niskie, ochryple ryczenie. W gardle Trajkowa coś burzyło się i bulgotało.

— Nikołaj! Co się stało? Co się stało?

Ryk powoli cichł.

— Sven, rozumiesz coś z tego?

— Wracamy!

— Pytam, czy coś z tego rozumiesz?

— Coś się tam u nich stało, Henry. Trzeba wracać.

— Tu ze wszystkim jest coś nie w porządku. Nie będziemy wracać! Rozumiesz mnie Sven? Wszystko zrozumiałeś. Prawda?

— Ja wracam.

— Została niecała godzina. Dowiemy się, co zaszło w drugiej bazie.

— A jeśli tych troje w Centralnej potrzebuje naszej pomocy?

— Rób jak chcesz. — Wirt z rezygnacją odchylił się w fotelu.

Wirolot wykonał ostry wiraż.

— Henry, weź się w garść do diabła! — ryknął Sven. — I spróbuj doprowadzić łączność do porządku!

— Spróbuję — bez przekonania, szeptem odpowiedział Wirt.

Centralna nie odpowiadała na sygnały wywoławcze. Ryk i głuchy łoskot momentami przerywane były okresami względnej ciszy. Sven i Henry, w milczeniu wsłuchiwali się w dziwne, niezrozumiałe dźwięki.

## 9.

Erli znowu wszedł do sztabu i starając się nie patrzeć na te dwa fotele, rozstawił lampy tak, aby w miarę równomiernie oświetlały całą powierzchnię. Potem opracował sobie plan działania. Najpierw postanowił wyjaśnić, co się stało z automatycznymi systemami, potem obejrzeć zespoły pamięci zewnętrznej

komputera i urządzenia pomocnicze. Oględzinami szczątków dwóch uczonych postanowił zakończyć badania w tym pomieszczeniu.

W czasie oględzin wykrył, że kanały wentylacyjne są całkiem zniszczone, a sprzężarki zamieniły się w stertę złomu. Przewodu elektrycznego nie mógł znaleźć, ale wszystkie wyłączniki i kontakty okazały się niezdatne do użytku. Masa plastyczna połamała się, styki pokrywała gruba warstwa korozji. Nie było sensu nawet podejmować prób uruchomienia czegokolwiek; od jednego dotknięcia rozsypywały się gumowe węże, kable i urządzenia. Zupełnie jakby jakaś zaraza, jakaś choroba padła na materiały, z których sporządzone były przybory i mechanizmy. Tylko ściany i podłoga wykonane z termoodpornego, niemal wiecznego i praktycznie niezniszczalnego tworzywa sztucznego, wydawały się tak samo nowe.

Dźwignie urządzeń nie przekręcały się, klawisze nie dawały się wcisnąć lub, wręcz przeciwnie, zapadały się od najlżejszego dotknięcia i już nie wracały do położenia, wyjściowego.

Nic nie zostało z papierowych taśm samopisów. Bębny pamięciowe komputera skorodowały, a taśmy magnetyczne zamieniły się w proszek. Nie zachowały się żadne nośniki informacji.

Erli ostrożnie przechodził od jednego urządzenia do drugiego, starając się niczego nie potrącić, ale i tak co chwila coś z łomotem spadało na podłogę zamieniając się w szarą kupkę pyłu lub nieforemne kawały masy plastycznej i przerdzewiałego metalu.

A jednak w tym chaosie zniekształconych, okaleczonych, martwych urządzeń i przedmiotów dało się zauważyć jakąś prawidłowość. Równik planety przebiegał dokładnie przez środek pomieszczenia i wszystko, co znajdowało się w bezpośredniej bliskości tej umownej linii rozsypywało się w pył częściej niż przedmioty znajdujące się pod ścianami.

— Śmierć zaczęła się od równika — mruknął Erli sam do siebie.

Następnie wszedł w ogromną podkowę pulpitu sterującego, zatrzymał się przy fotelu, na którym, być może, siedział Filip Ezra. W chwili śmierci niewątpliwie siedział. Świadczy o tym położenie szkieletu. Ale czas nie oszczędził i jego: czaszka patrzyła teraz pustymi oczodołami spod odrapanej poręczy fotela. Erli postął nad nim około minuty ...

— Przykra historia — mruknął.

Spróbował wyobrazić sobie, co mógł robić Filip Ezra, kiedy dopadła go śmierć. Które klawisze naciskał? O czym myślał? Co chciał zrobić? A Edwin Jumm? O czym rozmawiali przed śmiercią? Co oznacza słowo „huśtawka”?

W wyniku oględzin Erli nie doszedł do żadnych wniosków. Ezry i Jumma nie ma już wśród żywych. Wszystko, co znajdowało się w pomieszczeniu głównego pulpitu sterującego nie nadawało się do użytku, rozsypało się, rozpadło. Natomiast nie wiadomo dlaczego tak się stało. Epidemia? Ale dlaczego tylko tu, w kopule Centralnej? I jaki to ma związek z linią równika?

Zaraz, skąd przyszło mu do głowy, że to zdarzyło się tylko w sztabie? Dlatego, że pierścień korytarza nie uległ zniszczeniu? Ależ tam nic nie ma. Przecież i w pomieszczeniu głównego J pulpitu podłoga też wygląda jak nowa.

Erli wyszedł na korytarz i zaczął go uważnie oglądać.

Gdyby nie to, że specjalnie szukał, z całą pewnością nie zauważyłby niczego, tak jak nie spostrzegł przedtem. Tak, na ścianach korytarza znalazł kilka pęknięć. To pękła plastikowa wykładzina ścian.

Erli otworzył okno na korytarzu. Chciał zobaczyć, co jest tam, na ziemi, na tej wyobrażonej linii równika, ale dachy Centralnej Stacji ciągnęły się na kilkaset metrów we wszystkie strony, a na ziemi, z powodu odległości nie mógł niczego rozróżnić. Co prawda po dachach przebiegało jakby ciemne pasmo.

Jakaś prawidłowość niewątpliwie istnieje, ale tymczasem nie było o co zaczepić.

— Erli — wezwał go Trajkow. — Miałem łączność z Wirtem. Co jeszcze udało ci się wyjaśnić?

— Tu wszystko jest w rozsypce. Ile czasu lecieliście?

— Dwanaście dni — zdziwionym głosem odpowiedział Trajkow.

— A co będzie, jeśli ci powiem, że nie było was na Pustelniku z pięćset lat? Co? Dlaczego milczysz?

— W pewnym sensie może i pięćset.

— Nie. W dosłownym znaczeniu. Teraz jestem przy głównym pulpicie i zapewniam cię, że minęło tu kilkaset lat. No, może kilkadziesiąt. Zresztą, co to za różni ca? A co, jeśli rzeczywiście lataliście kilkaset lat?

— Erli, zaraz przyjdę do ciebie.

— Nie trzeba, Nik. Nie zwariowałem. Na Pustelniku minęło kilkanaście dni. Przecież Eva może to potwierdzić. A tu kilkaset lat. To może być inwazja jakiegoś wirusa.

— A jeżeli to wrócili gospodarze planety?

— Tacy okrutni? Wtedy my też nie wyjdziemy z tego cała. Jest tu pewna prawidłowość.

— Jaka?

— Chcę pójść sprawdzić.

— Dobrze, wyłączam się.

Erli zszedł do trzeciego pierścienia. Postanowił pójść wzdłuż niego i ustalić, co zdarzyło się w laboratoriach, położonych tak jak i centralny pulpit, nad linią równika.

Pulpit łączności znajdował się w prawym skrzydle. Erli udał się do lewego, ale nie zdążył przejść nawet kilkudziesięciu kroków, kiedy znowu wywołał go Trajkow. Był czymś bardzo zdenerwowany, chociaż starał się mówić spokojnie.

— Erli, możesz przyjść do mnie?

— Co się stało?

— Wirt i Thompson nie odpowiadają.

Erli natychmiast zawrócił do prawego skrzydła.

— Coś tam u nich wyje. Najpierw nic nie było słyhać. Potem niewyraźnie, coś w rodzaju ultradźwięków. A teraz przenikliwe wycie.

— Co się z nimi mogło stać? Wiroloty są przecież całkowicie bezpieczne. Zresztą, wszystko było tu całkiem bezpieczne i co z tego? Obróciło się w proch.

Erli otworzył drzwi centrali łączności. Trajkow siedział plecami do niego i krzyczał w mikrofon:

— Wzywam Wirta! Tu Trajkow! Wzywam Wirta! Odbiór.

Zmienił zakres szczękający przełącznikiem i powtórzył wszystko od początku.

Erli ciężko usiadł w fotelu i zakrył twarz dłońmi.

— Nie odpowiadają — rzekł Nikołaj odwracając się.

— Nie szkodzi, wywołuj.

Nikołaj znowu zaczął wywoływać wirolot.

— Słuchaj, jakoś mi to wcześniej nie przyszło do głowy. Trzeba na wszystkich kanałach prowadzić zapis na taśmie. Co prawda nie zdołamy przesłuchać wszystkiego, ale można będzie dać do przeanalizowania komputerowi. Niech opracowuje. Może uda się nam wycisnąć z tego choć bit sensownej informacji.

— Wszystko zapisuję i co jakiś czas przesłuchuję. Nic nie ma... Wzywam Wirta! Tu Trajkow! Odbiór...

— Już dwie godziny.

— Co powiedziałaś?

— Już prawie dwie godziny jesteśmy na Pustelniku.



Już piętnaście minut lecieli w kierunku Centralnej. Na mgnienie oka powietrze przed wirolotem zamgliło się i maszynę gwałtownie szarpnęło do przodu. Zupełnie jakby wystrzelono ich z mocno naciągniętej procy. Czuło się jak na skutek gwałtownego oporu powietrza zawibrował opływowy korpus maszyny, Obu pasażerów wdusiło w fotele. Sven chciał zmniejszyć szybkość, gdy ta niespodziewanie sama zmaląła do połowy maksymalnej. Wyrzuciło ich z siedzeń do przodu.

— Do diabła — mruknął Sven. — Gdzieś w tym rejonie, kiedy jeszcze lecieliśmy do drugiej bazy, gwałtownie nas przyhamowało i musiałem zwiększyć obroty silników do końca. A teraz wszystko na odwrót. Zupełnie jak gdyby był tu jakiś próg. Nigdy jeszcze nie zetknąłem się z takim zjawiskiem. I atmosfera spokojna...

— I jakaś zasłona, coś jakby mgła.

— Tak, to znaczy, że ona naprawdę była? A ja myślałem, że mi się przywidziało.

— Wzywam Wirta! Tu Trajkow — rozległ się nagle w głośnikach schrypnięty i jakby umyślnie spowolniony głos.

— Słyszę cię, Nik! — krzyknął Henry. — Co się tam u was stało? Dlaczego nie odpowiadaliście?

— U nas wszystko w porządku. Dlaczego WY nie odpowiadaliście?

— Nawiązywaliśmy łączność. Nie odzywaliście się. Wtedy Sven zdecydował, że coś u was nie w porządku i zawrócił. Zostało nam do was około dwudziestu minut lotu. Mamy wracać czy lecieć na drugą?

— Erli mówi, że można lecieć... Ale dlaczego nie było łączności? A w ogóle, to dlaczego tak trajkoczesz?

— Mówię normalnie. To ty, Nik, chyba zasypiasz.

Chwilami między słowami i całymi zdaniem następowwały niewielkie przerwy i każdy myślał, że rozmówca namyśla się nad odpowiedzią.

— Do diabła — znowu burknął Sven. — Trzymaj łączność przez cały czas. Nie podoba mi się ta zasłona.

— Nik — powiedział Henry. — Mów cokolwiek, byle bez przerwy. Ciekawe, w którym momencie łączność zostanie przerwana.

— Myślisz, że znowu się urwie?

— Nie wiem. Mów, co słysząc u Erli'ego?

— U Erli'ego? Nic konkretnego. Przypuszcza, że nie było nas na Pustelniku koło pięciuset lat.

— Ho, ho! Niczego sobie. Gdzie on jest teraz?

— Siedzi obok. Wezwałem go, gdy łączność uległa przerwaniu.

— Nik, proszę cię. Nie rozciągaj tak słów.

— Mówię normalnie, to ty przez cały czas się spieszysz. Przez całe życie się spieszysz.

W odpowiedzi Trajkow usłyszał przenikliwe wycie, przerywane wydłużającymi się przerwami. Kabinę wirolotu również wypełniło głucho, niskie i przenikliwe wycie głośników.

— Łączność przerwana, Sven — rzekł Henry.

— I znowu ta zasłona. A wirolot wchodzi w nią jak w twardą gumę. Mimo wszystko należy sprawdzić, co to takiego. Zawracam.

— Dobrze.

— Obserwuj. Właśnie się zbliża. Trzymaj się, zaraz nastąpi wstrząs.

Wirolotem rzuciło do przodu, ale Sven poradził sobie z nieposłuszną maszyną dużo pewniej niż poprzednim razem. W tym samym momencie rozległo się z radiotelefonu:

— ...wam Wirta! Tu Trajkow!

— Słyszę cię dobrze.

— Co się u was dzieje?

— Niech Erli weźmie równoległy kanał.

— Cały czas jest na nasłuchu.

— Wszystko słyszę, Henry. Opowiadaj.

— Tu w powietrzu powstaje jakaś zasłona, coś w rodzaju półprzezroczystej mgiełki. Kiedy wychodzimy poza nią — łączność się urywa. Wracamy — łączność działa normalnie. To chyba jakiś ekran.

— W jaki jeszcze sposób wpływa na was ta zasłona?

— Kiedy przechodzimy przez nią w kierunku — od was, działa mocna sprężyna albo guma, Sven musi zwiększać obroty. Kiedy wracamy — jakby nas wyrzucało.

— Jaką macie prędkość?

— Mniej więcej dwa tysiące na godzinę.

— Podejdźcie do tej zasłony z prędkością dwadzieścia do pięćdziesięciu km/godz.

— Dobrze, spróbujemy.

Sven zmniejszył szybkość i wszedł w wiraż. Strzałka wskaźnika szybkości poszła w dół. Do drżącej rozmytej zasłony zostało około pięciu kilometrów, ale maszyna nie zbliżała się do niej, choć tachometr wskazywał 25 km na godzinę.

— Nie puszcza nas do przodu — zameldował Sven. — Silniki pracują, a my stoimy w miejscu.

— Zmniejszcie szybkość do zera — poprosił Erli.

— Zmniejszyłem — odpowiedział Sven. — Pomału nas odpycha. Silniki lotu poziomego wcale nie pracują.

— Dobrze. Odejdźcie od zasłony na dziesięć kilometrów. Nabierzcie szybkości i przebijajcie się tak, jak za pierwszym razem.

— Jak myślisz Erli, co to było? — spytał Wirt.

— Nie wiem, Henry. Jakaś bariera energetyczna. Może uda się wyjaśnić jej naturę, ale póki co po prostu przebijcie się.

— Na jaką wysokość może toto sięgać?

— Myślę, że wysoko. „Fiołek” też się na nią natknął, kiedy lądowaliśmy na Pustelniku.

— Tak, tak — przytaknął Sven. — Wrażenie prawie takie samo. Tylko że teraz zdrowo nami zatrzęsło.

— Ponieważ łączność rwie się, będziecie lecieć bez niej. Do drugiej bazy macie jeszcze koło godziny. Nawet krócej. Za cztery godziny czekamy na was w eterze.

— Dobrze. Czyli o 16.35 — zakończył Henry. — Trzymajcie się.

— Wy też.

— Zwiększam szybkość — rzekł Wirt.

## 11.

— Jestem wolny na kilka godzin — powiedział Trajkow. — Tu może mnie zastąpić Eva. Co mam robić?

— Dobrze byłoby obejrzeć akumulatory energii, Nik.

— Sprawdzę.

— A ja chciałbym zobaczyć, co się w ogóle dzieje na terenie Centralnej. Potrzebny mi łazik. Skocz do Ewy i zostaw jej gdzieś na widocznym miejscu radiotelefon i kartkę, żeby się nie denerwowała i nie szukała nas. Łącz się ze mną jak najczęściej, zwłaszcza jeśli zobaczysz cokolwiek niezwykłego, niezrozumiałego. Nawet najmniejszy drobiazg.

— Rozumiem, Erli. Idę.

— Zaczekaj. Przecież równik planety przechodzi przez Centralną.

— Tak.

— Czy komuś przyszło do głowy, żeby jakoś oznakować tę linię? Może będą ją mógł znaleźć na terenie Centralnej?

— Linia równika jest wyznaczona kołeczkami. Stap się tym zajmował Miał takie swoje dziwactwa.

Razem wyszli na ganek Centralnej. Trajkow skierował się do domku Ewy. Erli wdrapał się na dach łazika, otworzył luk i wszedł do środka. Sprawdził układ kierowniczy maszyny. Wszystko było w porządku.

Z wściekłym sykiem łazik ruszył, omijając wielkim łukiem budynek Centralnej. Przejechawszy kilkaset metrów Erli zatrzymał pojazd i zeskoczył na trawę. Orientując się według kopuły budynku przeszedł jeszcze kilkadziesiąt metrów wpatrując się w trawę.

Wreszcie znalazł to, czego szukał. Co kilka metrów były powbijane paliki. Kiedyś najprawdopodobniej były pomalowane jasnoczerwoną farbą, żeby były dobrze widoczne na tle trawy. Teraz po farbie nie zostało najmniejszego śladu. Paliki rozsypywały się pod wpływem najlżejszego dotknięcia.

Erli zebrał kilka takich „byłych” drewniaków i ostrożnie włożył do bagażnika łazika. Następnie znowu wsiadł do maszyny, podniósł przednią ściankę, aby mieć lepsze pole widzenia i z niewielką szybkością skierował pojazd wzdłuż linii równika. Wkrótce ukazały się ogromne, poprzewracane i na w pół przegniłe drzewa. Ale na terenie Centralnej nie mogło być takich ogromnych drzew. Po prostu nie zdążyłyby tak wyrosnąć, gdyż zostały przywiezione z Ziemi w postaci nasion.

Erli przejechał jeszcze około kilometra i ostatecznie upewnił się, że na pasie przebiegającym wzdłuż równika w czasie nieobecności załogi „Fiołka” minęło nie kilkanaście dni, ale kilkadziesiąt, a może nawet kilkaset lat. Ile minęło dokładnie czasu dowie się dopiero, gdy wróci na Centralną i przeprowadzi analizy w laboratorium.

Już prawie zdecydował się wracać, gdy jego uwagę przyciągnął czarny pas selwy na horyzoncie. Wydała mu się ona trochę zbyt wysoka.

Pełnym gazem pomknął na przełaj, gniotąc trawę i drobne krzaczki, rozbryzgując wokół maszyny fontanny wody, gdy przecinał niewielkie sztuczne rzeczki i jeziora, niemal wlatując na pagórki i zjeżdżając w kwitnące wąwozy. Stopniowo zmieniał się wygląd roślinności — stawała się coraz dziksza. Ale nie to go zdziwiło, gdyż uprawiana była tylko środkowa część parku, dalej wszystko pozostawiono samej przyrodzie. Co prawda rośliny — pełzaki, autochtoni Pustelnika, tutaj się nie zbliżały. Tu występowały tylko rośliny z Ziemi, uprawiane bądź dziczące.

Kiedy do granicy chronionej strefy pozostało nie więcej niż 100 metrów, Erli zrozumiał dlaczego pas selwy na horyzoncie wydawał mu się nienaturalnie wysoki. Miejscowe rośliny osiągały nie więcej niż pięć metrów wysokości, ale mogły wdrapywać się jedne na drugie. Natomiast teraz gromadziły się piętrowo tak splecione, że nie można było rozróżnić poszczególnych roślin. Była to straszliwa płatanina korzeni, pni i gałęzi.

Erli wyszedł z łazika i podszedł aż do samej linii pola siłowego. I dopiero w tym miejscu zrozumiał, że to były martwe rośliny, zwalone ogromnym półkołem wzdłuż granicy pola po północnej stronie parku. Wysokość tego zwału dochodziła do stu metrów. Jaka siła mogła stworzyć ten martwy pas? Tylko wściekły, niespotykany huragan. którego siłę trudno nawet sobie wyobrazić. Huragan jak widać szedł z północy i uderzając w niedostępną ścianę pola siłowego porzucał koło niej swoje trofea.

Ale skąd mógł się pojawić taki huragan? Klimat na Pustelniku jest łagodny, bez silnych wiatrów.

W tym momencie Erli zadał sobie pytanie, co się stało z polem siłowym tam, gdzie przecinała je linia równika. Znowu wszedł do łazika i pojechał wzdłuż zwałiska, którego wysokość wyraźnie się zmniejszała w miarę zbliżania się do punktu przecięcia linii równika z polem siłowym. Ujrawszy, że wszystko jest w porządku, Erli wyobraził sobie jak kolosalne ilości energii musiało w tym miejscu czerpać pole, aby zatkać wyrwę, a mimo wszystko wytrzymało.

No tak, tu, na Centralnej, gdzie zapasy energii zgromadzonej w gigantycznych akumulatorach są praktycznie niewyczerpane — pole wytrzymało. Ale co pozostało z baz, jeśli nad nimi przeszedł taki huragan? Erli od dziesięciu minut siedział na trawie w cieniu łazika i zbierał myśli. Czego dowiedział się w ciągu tych trzech godzin?

Naprawdę dokładnie wiadomo tylko jedno: Ezry i Jumma już nie ma. Są martwi. Wszystko, co znajdowało się wzdłuż linii równika zestarzało się o kilkadziesiąt lub nawet kilkaset lat. Ale możliwe też, że jest to robota jakichś mikroorganizmów. Kilkaset kilometrów na północ od Centralnej powstało nieznanne pole, ekran siłowy odpychający od siebie przedmioty materialne i nie przepuszczający fal radiowych. Na Pustelniku w czasie nieobecności „Fiołka” przeszedł niespotykany huragan. Ludzie z baz nie odpowiadają na wezwanie Centralnej...

Jak połączyć to wszystko w jedną całość...?

— Erli! — usłyszał głos Trajkowa. — Słyszysz mnie?

— Słyszę, Nik! Co tam u ciebie?

— Rzecz w tym — głos Trajkowa był zupełnie spokojny — co mam zrobić z ludźmi, którzy włóczą się koło akumulatorów energii?

— Jacy ludzie, Nik? Co ty mówisz? — Erli skoczył i jednym susem znalazł się we wnętrzu łazika.

— O ile pamiętam, to nieoficjalnie umówiliśmy się, że w żadnym wypadku nie będziemy się nawzajem uważać za wariatów. Erli, tu jest kilku ludzi. Na razie mnie nie widzą, albo udają, że nie widzą. Nie znam ich. Na Centralnej nie było takich.

— Zaraz będę u ciebie, Nik.

— Wspaniale. Jestem na IV północnym akumulatorze. Łazik stoi na dole, a ja jestem na samej górze.

Erli rzucił się do sterów, motor ryknął i maszyna ostro skręcając na południe pomknęła ku widniejącej w oddali kopule Centralnej Stacji. Erli nie chciał, żeby obcy zauważyli go wcześniej, niż on sam tego zapragnie. Co to za ludzie? Na Pustelniku znajdowało się 214 osób. Czworo z nich żyje. Dwóch jest martwych. O pozostałych dwustu ośmiu na razie nic nie wiadomo. Gdyby to byli ludzie z ekspedycji, Nik poznałby ich na pewno. Tu wszyscy znali się przynajmniej z widzenia.

Czyżby to byli przedstawiciele cywilizacji, która stworzyła bazy i Centralną? Jeśli tak, to oni są wszechmocni w porównaniu z piątką Ziemi, którzy zostali. Mogą zrobić z nimi wszystko, co zechcą. Wrócili do swoich włości. Co zrobią? Co im powiedzieć? Jak wyjaśnić im historię Ziemi?

Kiedy do Centralnej pozostało nie więcej niż dwa kilometry, znowu został wezwany.

— Erli! Czy istniejesz? Jesteś? Erli!

— To ja, Erli. Obudziłaś się, Eva? Gdzie jesteś?

— Erli! Zabierz mnie! Wywieź mnie! Rób ze mną co chcesz, ale zabierz mnie stąd. Ja zwariuję! Nic nie rozumiem!

— Gdzie jesteś, Eva?

— W centrum łączności. Tak jak Nik napisał na kartce. Siedzę tu już pół godziny. Nikt mnie nie wywoływał. Zupełnie, jakby wszyscy wymarli, jakby wszyscy gdzieś zniknęli!

— Myśleliśmy, że śpisz.

— Widziałeś ich, Erli?

— Kogo?

— Ezrę i Jumma.

— Tak... Widziałem...

— Oni dopiero co wyszli z ośrodka łączności. Zabierz mnie! Mamy przecież raketę. Za trzy miesiące przyleci „Warszawa”...

— Eva! Co się z tobą dzieje? Uspokój się. Zaraz u ciebie będę, ale najpierw muszę zobaczyć się Nikiem. Ezry i Jumma nie ma. Oni nie mogą chodzić. Nie ma ich.

— To znaczy że jednak zwariowałam. W takim razie pozostaje mi tylko spojrzeć w lufę tego oto blastera.

— Nie waż się, Eva! Słyszysz? Ani się waż!

## 12.

Wirolot Svena na pełnej szybkości przebił się przez mglistą zasłonę. W dole, gdzie nie spojrzeć, rozpościerała się selwa.

Jedna rzecz niepokoiła Svena. Dość dobrze znał okolicę, miał też pod ręką mapy. Ale teraz, od czasu do czasu zauważał w dole jakieś nieznane mu dotąd jeziora czy wypalone plamy, których nie było na mapie.

Henry przycichł. Nie miał co robić. Łączności nie było i tak, a siedzenie z założonymi rękami stało się nie do wytrzymania, Sven także milczał. Nie przychodził mu do głowy żaden temat nadający się na rozmowę.

Po kilku minutach od minięcia pierwszego ekranu siłowego, natknęli się na jeszcze jeden. Próba przekroczenia go o mało nie skończyła się katastrofą; Sven na moment stracił przytomność i wirolot zaczął spadać. Na szczęście omdlenie Svena trwało krótko i wszystko skończyło się szczęśliwie.

Kilkadziesiąt kilometrów od drugiej bazy pokonali trzeci ekran siłowy.

Kiedy pokazały się kopuły drugiej bazy, Henry gotów był rzucić się w dół bez spadochronu. Ale po minucie stało się jasne, że bazę opanowała selwa. Urządzenia zabezpieczające nie działały.

Nad kopułą pomieszczenia mieszkalnego wirolot obniżył lot. Huk jego motoru na pewno rozległ się w całej bazie, ale nikt nie pojawił się pod przezroczytymi kopułami. Bardzo wolno oblecieli kopułę pomieszczenia mieszkalnego. Tak, w tym miejscu nikt nie mógł ich spotkać. Wszędzie widoczne były ślady zniszczeń. Sama kopuła popękała w kilku miejscach i ziała teraz metrowymi szczelinami. Można było ujrzeć połamane belki i żelbetowe przepierzenia, zniszczone meble i porozbijaną aparaturę.

— Co to? — rzekł Henry z trudem wymawiając słowa.

— Selwa, jednak selwa — szepnął Sven.

— Wypuść mnie.

— Henry, wypuszczę cię. Tylko najpierw ustalimy plan. Umiesz obchodzić się z miotaczem ognia? W takim razie weź jeden ze sobą. Schodzić najlepiej przez pęknięcia w kopułach. W środku, tego pełzającego świństwa już nie jest tak dużo.

Sven zaciągnął na nim pas, wsunął w rękę miotacz ognia, na ramieniu powiesił blaster.

— Nie odchodź daleko od pęknięć. Lepiej zrobić nowy otwór Teraz to już i tak wszystko jedno — dawał Wirtowi wskazówki na drogę, spuszczaając go na linie z otwartej kabiny wirolotu.

Wirt stał na okrągłym podeście drugiego piętra, na który wychodziły drzwi licznych pokojów. Było ich dwanaście, ale tylko w czterech z nich niedawno zamieszkiwali ludzie.

Otworzył drzwi do pokoju Ozy i w tym momencie coś się na niego rzuciło. Nad głową rozległ się grom i to „coś” plasnęło koło jego nóg, słabo wijąc się, drgając i wydzielając smrodliwą woń. Sven wystrzelił w samą porę.

Najśluszniej byłoby teraz przeciągnąć po pokoju płomieniem z miotacza i dopiero wtedy wejść do środka. Ale wówczas spaliłoby się wszystko, co kiedyś otaczało Ozę. Henry przekroczył próg i wszedł do pokoju. Wszystkie meble były zniszczone i poprzewracane. Nie znalazł tu ani jednego całego przedmiotu. Niski, kiedyś miękki tapczan był rozpruty. Wbudowana w ścianę szafa na ubrania była wyrwana i rzucona na podłogę. Henry odwrócił ją, ostrożnie otworzył. Szafa była pusta. Nocny stolik stał do góry nogami na przenośnym magnetofonie. Nie, nie było w nim taśmy. Bezżyteczny przedmiot. Henry stał przez kilka minut, oglądając pomieszczenie, dopóki znów nie zagrzmiął wystrzał.

Sven siedział na podłodze wirolotu, zwiesiwszy jedną nogę na zewnątrz, plecami oparłszy się o futrynę drzwi od czasu do czasu naciskał język spustowy miotacza.

Z góry doskonale widział, co się działo pod przezroczystą kopułą, a oszczędzać tej kopuły nie było teraz sensu. Strzelał więc prosto przez przezroczysty plastik. „Woreczki” — tak były tu nazywane — w jakiś sposób czuły obecność człowieka i teraz wylaziły ze wszystkich szpar pomieszczenia mieszkalnego. Zazwyczaj dopadały ofiary skokiem. choć nie miały nóg. Kiedy przednia część woreczka bez głowy, dotykała ofiary, on jakby wywracał się na lewą stronę, ściśle obciągając swoją ofiarę i swoją wewnętrzną powierzchnią zaczynał trawić. Aby dopaść następnej ofiary nie potrzebował się „przewlekać”. Teraz powierzchnią wewnętrzną była ta, która dopiero co była na zewnątrz.



— Henry! Nie odchodź za daleko! — krzyknął Sven. — Zatrzymam je tylko na jakieś pięć minut. Dłużej nie dam rady. Słyszysz mnie?

Wirt milcząc chodził po pustych pokojach.

— Słyszysz mnie? — znów krzyknął Sven w przerwie między wystrzałami.

Henry machnął ręką, co miało oznaczać, że słyszy. Jego serce wściekle załomotało. Jeden z pokoiów był pusty. Zupełnie pusty. W ścianie, która wychodziła na zewnątrz, obok pęknięcia zauważył kilka wytopionych otworów. Ktoś tu strzelał z blastera. Samo pęknięcie też było zrobione przez wystrzał miotacza ognia.

— Henry, łap za pas! — krzyknął Sven. — Ich jest za dużo!

Wirt obejrzał się. Niezgrabne na oko woreczki zbliżały się szybkimi skokami. Posłał strugę ognia do przodu i naciskał język spustowy do momentu, aż skończyła się ciecz zapalająca. Wtedy rzucił bezużyteczny miotacz i przebiegłszy kilka kroków, uczeplił się pasa. Sven nie wypuszczając z rąk miotacza podniósł wirolot o jakieś 5 metrów nad kopułę i dopiero wtedy wciągnął Wirta do kabiny. Nic mu nie powiedział, o nic go nie pytał. Niech Henry sam zdecyduje, kiedy mają wracać. Może zechce raz jeszcze zjechać na dół...

— Bronili się — rzekł Henry. W jego głosie nie wyczuwało się smutku ani goryczy. — Nawet wybrali właściwe pozycje dla swoich blasterów i miotaczy.

— Tak. Nie mogli się tak po prostu poddać.

— Sven. Ktoś z nich powinien pozostać żywy. Bronili się przy wejściu na schody i z pokoju Wytczeka. Widziałem dziury wybite blasterami. Ktoś — jeden albo dwoje — bronił wejścia, a inni uciekali. Dokąd mogli uciec z tej kopuły?

Sven też zaczął mieć nadzieję. Może Wirt ma rację?

— Trzeba spojrzeć na bazę z góry — postanowił.

Wirolot zaczął z wolna przesuwać się pomiędzy zniszczonymi kopułami.

— Rozumiesz, Sven, tam w jednym pokoju nie ma nic. Pusto. Ani tapczana, ani krzesła, ani stolików, żadnych rzeczy. Tam nie ma nic. A w innych wszystko jest przewrócone do góry nogami. No i w pokoju Ozy nie ma jej ubrań. Gdzie to wszystko mogło zniknąć? Na parterze powinny być magazyny żywności, wody, jadalnia... Szkoda, że nie zdążyłem zobaczyć co się tam dzieje.

Wolno oblatywali całe terytorium drugiej bazy. Urządzenia ochraniające były wyrwane z fundamentami. Jedno z nich leżało rozbite w drobny mak o jakieś pięćdziesiąt metrów dalej. Drugiego w ogóle nie było widać. Oto dlaczego selwa wdarła się na bazę. Kopuła korpusu mieszkalnego, budynki laboratorium, ośrodka łączności i pasa startowego wysepkami wybijały się na tle brudnozielono-

nej, szeleszczącej i pełzającej roślinności Pustelnika. Planeta znowu zabrała wydate jej kiedyś posiadłości. Niedaleko od pasa startowego leżały dwa przepołowione wiroloty. Sven zniżył lot prawie aż do samych, odrobinę rozstępujących się pełzaków. Przez te kilka dni wszystko tu tak zarosło, jakby nigdy inaczej nie było. Przez przezroczystą przednią szybę jednej z maszyn patrzyły na nich oczodoły ludzkiej czaszki.

Wirt w szale chwycił miotacz ognia Svena i zaczął polewać błyskawicznie spalające się odrosty pełzaków. Ale zewsząd na ich miejsce wlażyły inne i wydawało się, że nigdy nie będzie temu końca.

— Bez sensu, Henry — spokojnie powiedział Sven położywszy mu rękę na ramieniu, a drugą delikatnie odbierając miotacz. — One I tak nie rozumieją co się z nim! dzieje. Kto to może być?

— Wszyscy mogli prowadzić wiroloty, oprócz Ozy...

— To znaczy, że jednego już nie znajdziemy...

— To Jurgens. Był pilotem.

Drugi wirolot był pusty.

Budynek bloku laboratoryjnego znajdował się w takim stanie, że nie było sensu nawet tam zaglądać.

— Patrz! — niespodziewanie krzyknął Sven.

— Na kopule łączności widać jakieś plamy, coś jakby łaty. Ktoś naprawił pęknięcia i dziury!

— Przecież mówiłem! Wiedziałem.

Wirolot okrążył niewielką kopulę.

— Gdzie jest wejście?

— Wszystko pozalowane jest plastykiem. Tam gdzie przedtem było wejście też wszystko jest zalane. I to z zewnętrznej strony. Ktoś zalał wejście, a sam został na zewnątrz.

Co mogło znajdować się w zaplombowanej na głucho kopule? Dokumenty? Ludzie? Kto pozostał na zewnątrz? Po co?

— Sven, oni powinni mieć jeszcze dwa łaziki. Maszyny powinny stać koło wirolotów.

— Ale nie ma ich tam.

— To znaczy, że ktoś postanowił łazikami przebić się na trzecią bazę lub na Centralną. Przecież on szedł na pewną śmierć!

Wirolot jeszcze kilka razy okrążył zapieczętowaną na głucho kopulę...

Nagle drążek sterowy wysunął się z ręki Svena..

— Oza! — krzyknął Henry.

Oparłszy się rękami i czołem o ścianę kopuły, od wewnętrznej strony patrzyła na nich kobieta.

— Oza!

### 13.

Łańcuch akumulatorów ciągnął się od Centralnej Stacji po dwa kilometry na północ i południe. Były to ogromne, białe cylindry z mnóstwem przystawek, masztów, rozdzielników, schodów i wind. Normalnie były nadzorowane przez dziesięciu inżynierów pilnujących, by ilość energii nie przekraczała określonej normy. Był stąd zasilany system ochronny, tworzący pole siłowe wokół całego terenu Centralnej. Ale żeby zasilić urządzenia ochraniające, tak duża ilość akumulatorów nie była konieczna. Do normalnej pracy ochrony wystarczała trylionowa część energii zgromadzonej w akumulatorach.

Nikołaj dotarł łazikiem do pierwszego z nich, wyskoczył i wsiadł do windy, która po kilku sekundach dowiozła go do nastawni. Niewielka, jasna sala z mnóstwem przyrządów wywarła na nim odpychające wrażenie. Jak się w tym wszystkim połapać? Szybko jednak zorientował się, że wcale nie musi znać przeznaczenia wszystkiego. System kontroli kierowania akumulatorami był zupełnie prosty. Zapisał wskazania licznika ogólnego, wyjął taśmę z samopisu, rejestrującego rozchód w poszczególnych dniach, godzinach i minutach, założył nową taśmę, po czym zjechał na dół. Taśmę wsunął w kieszeń fotela i pobiegł do drugiego akumulatora. Tam wykonał te same czynności. Potem obejrzał trzeci, czwarty.

Winda piątego cylindra była podciągnięta do góry. Nikołaj kilka razy naciśnął guzik próbując ściągnąć windę, ale bez rezultatu. Pomyślał, że winda jest zepsuta, ale nagle zamigotały lampki na tablicy kontrolnej. Winda zjeżdżała z dziesiątego piętra. Następnie zatrzymała się na piątym, gdzie znajdowała się nastawnia. Nikołaj znowu spróbował wezwać windę, ale była zajęta. Nagle winda znów poszła w górę. Nikołaj walnął pięścią w tablicę, ale to rzecz jasna niczego nie zmieniło. Wtedy odbiegł na bok i przez ażurowe kratownice ujrzał że winda rzeczywiście jedzie. Ostrożnie, starając się nie robić hałasu, wśliznął się do luku łazika i na najmniejszych obrotach silnika skierował się do czwartego akumulatora.

Tam wskoczył do windy i wyjechał na ostatnie — dwunaste piętro. Był to płaski dach akumulatora. Chowając się za masztami podszedł na skraj dachu... i

o mało nie spadł z siedemdziesięciometrowej wysokości. Sąsiedni cylinder znajdował się w odległości około 150 metrów. Po jego płaskim dachu przechadzało się kilka postaci. Kratownica windy piątego akumulatora skierowana była w stronę Trajkowa, który zauważył, że sama winda znajduje się też na dwunastym piętrze. Jeśli istoty znajdowały się na dachu chociaż przez dwie minuty, to powinny widzieć jego łazik. A on jeszcze tyle razy próbował ściągnąć windę.

Z tej odległości na wpół nagie figurki wydawały się maleńkie, ale porównawszy siebie ze szczegółami masztów, Nikołaj doszedł do wniosku, że nieznanymi ludziami są prawie tego samego wzrostu co on. Mieli opalone ciała. Ubrani byli w szorty, a na nogach mieli coś w rodzaju sandałów. Byli bez koszul. Głowy gołe. Jeden z nich trzymał w ręku coś w rodzaju ogromnego arkusza papieru. Na ramieniu każdego wisiała krótka pałka, bardzo podobna do blastera.

Na samym początku bardzo dokładnie ustalono, że na Pustelniku nie ma ludzi. Nie ma w ogóle żadnej inteligentnej formy życia.

Kim w takim razie są ci ludzie?

Nik wezwał Erli'ego.

## 14.

Eva obudziła się od razu odświeżona spokojnym, mocnym snem. Przez kilka chwil nie mogła zrozumieć, w jaki sposób się tu znalazła, ale potem ostatnie wydarzenia ożyły w jej pamięci. Oby się tylko nie okazało, że to wszystko jej się przyśniło.

Ale nie, notatka zostawiona na stoliku upewniła ją, że załoga „Fiołka” naprawdę przyleciała. Obok stolika stał lekki blaster. Po tylu dniach samotności wypełnionych niewiadomym, strachem i goryczą, pojawienie się nawet jednego człowieka byłoby dla niej wielkim szczęściem.

A tych czworo... Oni na pewno rozwiążą splątany kłębek wydarzeń na Pustelniku. A jeśli nawet nie... Przyleci „Warszawa” ze swoją fantastyczną techniką, z tłumem ludzi...

Machinalnym ruchem poprawiła włosy, jakiś czas postąpiła przy oknie wdychając zapach traw i lasu. Następnie zarzuciwszy na ramię blaster, nie spiesząc się, zrywając po drodze trawki, poszła w kierunku Centralnej.

Lekko wbiegła po schodach na ganek i ruszyła wzdłuż pierścienia w kierunku centrali łączności. Miała wielką ochotę wezwać przez radio Nika i Erli'ego, ale powstrzymała ją myśl, że mogłaby oderwać ich od czegoś ważnego. Spraw-

działa nastrojenie odbiorników i przekaźników, po czym podeszła do okna zachwycając się panoramą parku.

Coś zmusiło ją do obejrzenia się za siebie. Nie było ani skrzyknięcia, ani ruchu powietrza — najcichszego nawet dźwięku, ale całym swoim jestestwem poczuła czyjąś obecność. Tak już bywało, kiedy została sama... Strach sparaliżował mięśnie. Trzeba było odwrócić się, ale nie mogła tego zrobić. Wszystko jakby zamarło.

„Odwróć się, obejrzyj się” — szeptało w niej coś. I odwróciła się.

W fotelu stojącym do niej tyłem, przed pulpitem widać było ogoloną głowę człowieka. Tego człowieka, a raczej jego głowę poznałaby wśród tysiąca. To była głowa Filipa Ezry. Przez drzwi, nie otwierając ich, wszedł Jumm. Oni zawsze pojawiali się razem. Na podstawie ruchów warg było widać, że o czymś rozmawiają, ale żadne dźwięki do niej nie dochodziły.

Ręce Evy przywarły do parapetu. Ezra obejrzał się, ale jego wzrok przeszedł przez dziewczynę. Nie widział jej. Jumm podszedł do fotela. W rękach trzymał rulon ni to wykresów, ni to rysunków. Rozwinął go i coś powiedział do Filipa. Ten przecząco pokręcił głową. Wtedy Ezra wstał z fotela, obaj odeszli na bok, rozłożyli przed sobą papier i stali tak przez kilka minut jakby demonstrując coś niewidzialnym słuchaczom. Potem rulon został zwinięty. Jumm pokazał ręką drzwi. Ezra uniósł rękę i poszedł w kierunku okna.

Eva dziko wrzasnęła i odskoczyła w bok, ale oni nie zwrócili uwagi na jej krzyk. Filip stał przy oknie czegoś wypatrując, po czym z żalem cmoknął wargami i przecząco pokręcił głową. Jumm niecierpliwie przestępował przy drzwiach z nogi na nogę.

Następnie obaj przeszli przez zamknięte drzwi, przy czym Jumm wykonał nawet ruch jakby je otwierał, ale one nawet nie drgnęły.

Przez kilka sekund Eva stała nieruchomo starając się pozbierać myśli. czy wariat może zrozumieć, że jest wariatem? Potem wezwała Erli'ego.

— Erli! Czy istnieje? Jesteś? Erli!

...Nie. On nie wierzył, że martwy Ezra i Jumm mogą chodzić po Centralnej. Czy ona sama uwierzyłaby w to, gdyby była zdrowa? Czy ktokolwiek w to jest w stanie uwierzyć?

Eva wzięła w ręce blaster i przeciągnęła dłonią po chłodnym metalu.

Kobieta patrzyła na nich bez żadnej radości czy zdziwienia. Wirt otworzył drzwiczki wirolotu i wysunawszy się na zewnątrz, krzyknął:

— Oza! To ja, Henry! Oza! To ja!

Rozdzielało ich około dziesięciu centymetrów przezroczystego plastyku.

— Sven, trzeba gdzieś przeciąć kopułę miotaczem. Inaczej się tam nie dostaniemy.

Sven poprowadził wirolot wzdłuż ściany kilka metrów dalej. Henry wyciągnął z bagażnika jeszcze jeden miotacz. Ale nie mogli strzelać. Postać kobiety przesuwała się razem z nimi. Ogromne, błękitne oczy uważnie śledziły każdy ich ruch. Ale ani jednym gestem nie dała do zrozumienia, że poznaje Henry'ego lub Svena. Ani jeden mięsień nie drgnął na jej twarzy. Kobieta tylko wolno posuwała ręce wzdłuż ściany poruszając się jak nakręcona lalka.

— Sven, kieruj się na czubek kopuły! Inaczej ona nam nie pozwoli przeciąć ściany. Co jej jest?

Wirolot wzniósł się do szczytu kopuły, ale i tak nie można było strzelać. Kobieta stała dokładnie pod nimi.

— Sven. Obwiążę się pasem i spuszczę z miotaczem na linie, a ty leć wirolotem na drugą stronę. Ona nie będzie mogła się znajdować z dwóch stron kopuły naraz. Jeden z nas zdąży zrobić otwór.

Wirt ześlizgnął się po gładkiej kopule i zatrzymał na poziomie podłogi. Kobieta podeszła do niego. Oza! Oza! Jak ona schudła. Tylko ogromne oczy wciąż jednak żyją. Ale dlaczego nie poznaje go? Dlaczego nie daje znaku, że cieszy się z jego widoku.

W tym momencie z przeciwnej strony Sven kilkoma wystrzałami wypalił w ścianie dziurę na tyle dużą, by mógł przez nią przejść człowiek. Wirolot znowu wzniósł się o kilka metrów i Sven wciągnął Wirta do kabiny. Minutę później Henry był wewnątrz kopuły, a Sven czekał w maszynie trzymając blaster w pogotowiu, gdyż pełzające woreczki zaczęły podskakiwać do góry.

— Oza! — powiedział Henry, delikatnie dotykając palcami jej twarzy. — Dlaczego milczysz? Czy się nie cieszysz? Dlaczego milczysz!? Co tu się stało?!

— Czekałam — rzekła kobieta — aż ktoś tu przyjdzie. Stąp odchodząc obiecał, że ktoś tu jednak przyjdzie.

„Oza oczekiwała dziecka” — pomyślał Sven. — „Czyżby Henry nie zauważył, że ona ma zupełnie normalną figurę?”

Ale Henry zauważył. Zauważył już wcześniej, kiedy zobaczył ją przylepioną do ściany kopuły.

— Oza, co się stało z naszym dzieckiem?

— Nie rozumiem — powiedziała kobieta.

— Co ci jest?

— Mnie? Nic. Bardzo długo czekałam. Sama. Kiedy Stap odjechał, zalał drzwi wejściowe od zewnątrz, żebym w momencie rozpaczy nie mogła wyjść i skończyć ze sobą. Ale nie miałam takich myśli. Obserwowałam pełzaki i woreczki.

— Oza, kiedy odjechał Stap? Czym?

— Pięć lat temu. Był bardzo dobry dla mnie.

— Jakie pięć lat?

— Mam wszystko zapisane. Utrzymywaliśmy łączność przez jakąś godzinę. Potem zamilkł. Myślę, że umarł.

— Oza!

— Nieee. Nie jestem Oza. Ona umarła osiemnaście lat temu. Nawet jej nie pamiętam. Pokażę wam, gdzie ją pochowali.

— Oza, co się z tobą dzieje? Ocknij się! — Henry potrząsnął za ramiona kruchą figurkę, ale ona zdjęła jego ręce ze swoich ramion i powiedziała:

— Stap mówił, że ona cały czas na kogoś czekała.

— Na kogo?

— Na Henry'ego Wirta... On mówił, że bardzo czekała.

— Ja jestem Henry Wirt. Rozumiem, że jesteś zmęczona po tych dniach. To na pewno były straszne dni. Ale teraz wszystko się skończyło. Ocknij się Oza, polecimy na Centralną. Oza, nie patrz tak na mnie.

— Już mówiłam, że nie jestem Oza. Nazywam się Seona.

— Seona? Przecież tak właśnie chcieliśmy nazwać naszą córkę! Oza! Jesteś niezupełnie zdrowa, Ale to szybko minie. Musimy się śpieszyć. Niedługo zajdzie słońce. Co chcesz ze sobą zabrać?

— Słońce? Nie, ono jeszcze tak szybko nie zajdzie. Dopiero za — pół roku. Czytałam w książkach, że słońce zachodzi co 24 godziny i kiedy ono zachodzi wszyscy kładą się spać. Ale tutaj wszystko jest inaczej. Tutaj trwa półtora roku. Śmieszne, prawda? Dzień dłuższy niż rok. A potem półtora roku trwa noc i wszystko tu zamarza... i ciemność. Potem pełzaki i woreczki wydają się takie sympatyczne. Aż chcesz się z nimi bawić. Tak, w nocy było mi czasem źle. Zwłaszcza kiedy Stap, wyjechał. Biedny, zginął po godzinie. Tak myślę.

Henry błagalnie spojrział na Svena, jakby mówiąc: „Nie zwracaj uwagi, że ona mówi w ten sposób”. Sven tak samo milcząco skinął mu głową, co miało oznaczać: „Dobrze. Wsiadajcie do maszyny i lecimy z powrotem”.

— Co chciałabyś wziąć ze sobą, Oza? Zaraz polecimy.

— Seona...

— No dobrze, Seona. Więc co?

— O, chciałabym wziąć wszystko. Przecież na Centralnej nie mam nic. Nie byłam tam ani razu. A zawsze bardzo chciałam tam być. Ale nie będę brała dużo, przecież bardzo się spieszycie. Kilka sukienek. Chociaż nie, już są znoszone. Wezmę tę książkę, kombinezon... Jest jeszcze prawie nowy. A tobie Stap prosił przekazać to — zdjęła z ręki pierścionek, w którym zamiast oczka było niewielkie, najwyżej na minutę nagrania, urządzenie przypominające. Ten pierścionek Henry sam kiedyś podarował Ozie. — Stap powiedział, że to bardzo ważne. I jeszcze, proszę, weźcie tę skrzynkę Są w niej taśmy z zapisem magnetycznym i jakieś papiery. Już tyle lat stoi zamknięta, że nie wierzę, by kiedykolwiek była otwierana. Ale Stap powiedział, że to będzie bardzo interesujące dla ludzi, którzy tu przyjdą.

Henry podniósł skrzynkę, doniósł do ściany i przekazał Svenowi. Potem odwrócił się do Ozy. Jakże ona się zmieniła od czasu, kiedy ją widział ostatnio. Całkiem schudła. I rysy twarzy trochę się zmieniły, zaostrzyły. Co ona tu naopowiadała? Przecież to znaczy, że straciła rozum... Biedaczka. Ile trzeba przeżyć, żeby to nastąpiło.

— Oza... Seona, niczego się nie bój — przycisnął ją do swej piersi. — Wszystko będzie dobrze.

— Nie bałam się i przedtem. Zawsze czekałam na ludzi. A teraz, kiedy przyszliście, nie boję się już wcale.

Podeszli do wyrwy w ścianie kopuły. Henry ostrożnie podtrzymał kruchą Ozę-Seonę. Serce mu się radowało i jednocześnie rozrywało na kawałki.

— Sven, pomóż jej — powiedział, ale Sven i bez tego już wyciągnął ręce aby pomóc kobiecie.

Kiedy wirolot oderwał się od kopuły, Henry chwycił miotacz i wypuścił cały zapas palącej cieczy na kłębiące się w dole woreczki i pelzaki.

— Niepotrzebnie to zrobiłeś, Henry — powiedział Sven.

— Wiem.

— Tak, to było niepotrzebne dodała Oza. — One przez tyle lat dostarczały ml rozrywki.

— M-mm — wymamrotał Henry i ścisnął rękami głowę.

W dole znów rozciągała się brudnozielona selwa.

Sven prowadził wirolot na granicy maksymalnej szybkości. Trzeba było jak najszybciej dotrzeć do Centralnej. I tak byli spóźnieni na seans łączności. Diabli wiedzą co sobie teraz myślą Erli i Nik.



— Co tu właściwie zaszło? — zwrócił się Henry do Seony. Jakoś nie mógł zmusić się, żeby ją tak nazywać.

— Tego nie wiem. To było jeszcze przede mną. Ale Stap opowiadał, że była burza. I selwa przedarła się do nas. Ich wtedy było na bazie czworo. Pilot Jurgens zginął od razu. Jego szczątków nie mogli nawet wyciągnąć z wirolotu. Potem umarła Oza — przy tych słowach Henry skulił się w fotelu. — Był jeszcze jeden człowiek. Nazywał się Wytczek, ale jego też nie pamiętam. Powiedział, że ciało Ozy będzie pochowane po ludzku, że pełzaki się do niej nie dostaną. I pochowali ją. Zaraz potem Wytczek już nie wrócił. Stap nie mógł powstrzymać pełzaków. I zostaliśmy we dwoje. Potem odszedł i Stap. Chciał przedrzeć się do Centralnej. Lepiej, gdyby poszedł zimą. A on odszedł w samym środku lata, kiedy słońce już przez pół— roku nie zachodziło za horyzont.

— Znów słońce — szepnęła Henry.

— Weź się w garść — cicho orzekł mu Sven.

— Tak, słońce...

Po minucie Sven rzekł do Henry'ego:

— Nawiasem mówiąc, w ciągu tych czterech i pół godziny słońce rzeczywiście nie ruszyło się z miejsca.

— I ty też — zmęczonym głosem wymamrotał Henry.

— Możesz się sam przekonać.

Ale Henry tylko mocniej przycisnęła do siebie Ozę.

— Jakie przyjemne jest ciepło ludzkiego ciała — szepnęła Oza-Seona.

Wirolot zbliżał się do półprzezroczystej zasłony.

## 16.

Erli biegł okólnym korytarzem, kiedy z przodu rozległ się strzał. Strzelano w centrali łączności! Tam była tylko Eva. Czyżby nie wytrzymała?!

Erli skoczył ku drzwiom i zatrzymał się. W drzwiach ziała dziura, a ściana naprzeciwko była rozwalona. Erli ostrożnie pociągnął za klamkę drzwi. W centrali było cicho. Ostrożnie zrobił krok do przodu i szeptem powiedział:

— Eva, to ja — Erli.

Nikt mu nie odpowiedział.

Zrobił jeszcze kilka kroków. Przed nim stała Eva z blasterem w ręce. Pomału opuściła blaster, który z łoskotem upadł na podłogę.

— Erli, zabierz mnie stąd. Jeszcze trochę i nie wytrzymam.

— Nie mam prawa.

— A jeśli byś... jeśli chciałbyś tego? Ley przez cały czas mówiła o tobie. Ale ona cię nie kocha. Nie. Byłyśmy koleżankami. I ona mi wszystko opowiadała. Wszystko. Wystarczająco dużo, żebym zaczęła o tobie myśleć. Wiedziałam, że przylecisz. I czekałam na ciebie. Być może Ley zrobiła to specjalnie, żeby ktoś kochał i ciebie... Ona była dobra. Sama nie potrzebowała niczego.

— Zawsze robiłem to, czego chciała. A ona niczego nie chciała dla siebie. Zabrałbym cię stąd, gdyby to tylko było możliwe.

Podbiegła do niego, objęła za ramiona i patrząc z dołu w jego twarz powiedziała:

— Naprawdę, Erli?

Erli lekko odsunął ją od siebie.

— Na Centralnej przebywają jacyś obcy ludzie. Powiedział mi o tym Nik kilka minut temu. Teraz ich obserwuje.

— Nie uwierzyłeś w Ezrę i Jumma, prawda?

Erli przytaknął.

— A ja dopiero co do nich strzelałam. Ale odeszli. Oni są jak cienie.

— Dobrze, Eva. Kiedyś wyjaśnimy, co to było. Usiądź i przygotuj się do słuchania. Zaraz powinna być łączność z Wirtem. A ja pogadam z Nikiem.

Erli wezwał Trajkowa. Ten odpowiedział od razu, zupełnie jakby czekał.

— Erli, gdzie jesteś?

— W centrali łączności. Gdzie są ci ludzie?

— Część na dachu piątego akumulatora Nie mogę zrozumieć, co oni tam robią. Powstali pojechali do szóstego.

— Pojechali? Czym?

— Mają coś w rodzaju wszędolazu.

— Nie wiem co robić, Nik Czy masz zostać tam, czy wracać tu? Gdybym chociaż wiedział, co oni zmieniają i w ogóle kto to taki?

— Na razie zostanę tu. Gdyby co, wezwę cię... Jedno mogę powiedzieć na pewno: to są obcy, naszych znam wszystkich.

— No dobrze. Bądź ostrożny, Nik.

Erli wyłączył radio i powiedział zmęczonym głosem:

— Kręci mi się w głowie. Nie mogę połączyć się w tym, co zaszło. O ile w ogóle jest to możliwe.

— Rozumiem, Erli.

W tym momencie odezwał się Wirt:

— Baza jest zlikwidowana — powiedział spokojnie.

- Praktycznie zlikwidowana. Wszystko jest zniszczone.
- Ludzie?
- Tylko... Oza — powiedział Henry szeptem.
- Dlaczego tak cicho mówisz?
- Ona siedzi obok, Erli, nie mogę o tym mówić głośno.
- Co z pozostałymi?
- Najprawdopodobniej nie żyją. Przynajmniej Jurgens. Widzieliśmy go.
- Henry, wracajcie jak najszybciej. Kiedy będziecie podchodzić do Centralnej, okrążcie ją od południa i schodźcie na lądowisko nad samymi drzewami, prosto do głównego podjazdu.
- Zrozumiałem — odparł Sven.
- Rzecz w tym, że na Centralnej pojawili się jacyś ludzie. Nie wiem kim są. Nik ich obserwuje. Lepiej, żeby was nie widzieli. Zrozumieliście?
- Za dużo zagadek, jak na jeden dzień — mruknął Sven.
- Dzień się jeszcze nie skończył.
- No dobrze, za dwadzieścia minut będziemy u was — powiedział Henry.
- Wyłączam się.

Erli oddał mikrofon Evie.

- No tak ... Znaleźli Ozę. Z nią też się coś stało. Henry nawet nie chciał przy niej głośno mówić. A trojga już nie ma.

Eva wolno wstała z fotela patrząc w stronę Erli'ego. Ten, zdziwiony spojrzał na nią. Coś się stało. Dziewczyna podniosła prawą rękę i zakryła nią usta, wstrzymując krzyk przerażenia. Erli podszedł do niej czując za plecami nieprzyjemny chłodek. Pomału odwrócił się i poczuł jak włosy stają mu dęba, a ciało skuwa lepki strach.

Drzwi pomieszczenia były zamknięte, a z nich wysuwała się postać Filipa Ezry. Stał jakby w rozterce na progu. Potem zdecydowanie wszedł do pokoju i skierował się do nadajnika. Erli pociągnął Evę za występ ściany, ale ona wczepiła się pobielalymi palcami w jego ramię. Erli sam gotów był wczepić się w kogośkolwiek, byleby pozbyć się paraliżującego go strachu.

Ezra wykonał kilka przełączeń na czołowej płycie nadajnika. Ani jeden potencjometr, ani jeden przełącznik nie zmienił położenia, ale Ezra manipulował nimi, jakby rzeczywiście coś przełączał. Potem sięgnął ręką do mikrofonu i podniósł ją do ust, trzymając palce tak, jakby w ręce rzeczywiście miał mikrofon. Ale mikrofon leżał na swoim miejscu. Powiedziawszy kilka słów do wymagowanego mikrofonu, Ezra najwidoczniej nie otrzymał odpowiedzi i rzucił go na stół. Przez kilka sekund stał, oparłszy się łokciami o oparcie fotela i bębnił

palcami po płycie nadajnika. Wszystkim jego czynnościom nie towarzyszył ani jeden dźwięk. Potem pogładził dłonią łysą czaszkę i kilka razy przeszedł się wzdłuż pokoju zaglądając w otwarte okna.

Erli stał wstrzymując oddech. Tak to był najprawdziwszy Filip Ezra. Łysy, z wielką głową, w nie wyprasowanych, jak zawsze, spodniach, w szerokiej, wygodnej bluzie z wielkim i wycięciami przy szyi. Na nogach zielone buciory, których nie zdejmował nawet na plaży.

Ezra jak gdyby czegoś lub kogoś oczekiwał. Ale kogo? I w ogóle w jaki sposób mógł powstać, pojawić się, jeśli Eva i Erli już widzieli jego resztki?

Za drzwiami jakby ktoś zawołał, on coś krzyknął bezgłośnie i zaraz wyszedł przez zamknięte drzwi.

— Erli — szepnęła Eva. — To już chyba koniec. Nigdy nie miałam halucynacji.

— To nie halucynacja. To naprawdę był on. Najpierw pomyślałem, że ze mną też koniec... szaleństwo. A teraz myślę, że to było naprawdę. Pójdę za nim.

— Erli, a ja?

— Eva, ty będziesz tu siedziała. Lada chwila przylecą Sven i Henry. Niech od razu tu przychodzą. Nie im na razie nie opowiadaj. Nikołajowi też. Postaram się szybko wrócić.

Otworzył drzwi i wyjrzał na korytarz. Postać Ezry mignęła w jego lewej części, która prowadziła do wyjścia. Starając się nie hałasować, Erli szybko ruszył w tę samą stronę. Przeszedł przez kilka korytarzy i przejść podziemnych. Wszędzie prowadziło go pasmo zapalających się świateł, a Ezra szedł w ciemności i wspaniale się orientował.

Tak doszli do windy prowadzącej do głównego pulpitu sterowania i pojechali na górę. Drzwi były otwarte, tak, jak pozostawił je Erli, ale Ezra zrobił ruch, jakby je otwierał. Do środka weszli jeden za drugim. Erli spodziewał się ujrzeć tu Jumma i nie pomylił się. Ezra i Jumm zaczęli robić razem jakieś wyliczenia na maszynie matematycznej, naciskając klawisze i przerywając sobie, ale, Erli widział to wyraźnie, klawisze pozostawały nieruchome.

Potem rozwinęli rulon papieru — był na nim przedstawiony jakiś schemat konstrukcyjny.

Erli, zagryzając usta, dotknął, to jest raczej chciał dotknąć łokcia Filipa Ezry. Dłoń przeszła przez pustkę nie napotykając oporu.

Z południa dobiegł przygłuszony dźwięk zbliżającego się wirolotu. Nie oglądając się, Erli wyszedł ze sztabu.

17.

Sven posadził wirolot prawie na stopniach ganku Centralnej. Oza ze zdziwieniem rozglądała się, nie decydując się na wyjście z maszyny. Henry zeskokczył na trawę i pomógł jej zejść na ziemię. Jaskrawe słońce, miękka trawa, w trawie — jaskrawe kwiaty, a nad tym wszystkim cieniste korony drzew. Oza z zachwytem szepnęła:

— Czytałam, że coś takiego jest, że się zdarza. Ale nie wyobrażałam sobie, że to jest takie cudowne.

Henry objął ją ramieniem i poprowadził po stopniach w górę. Sven zawiesił na ramieniu dwa blastery i pospieszył za nimi. Na korytarzu prowadzącym do działu łączności spotkali Erli'ego.

— Cieszę się, Henry! — Podał rękę kobiecie. — Dzień dobry, Oza!

— Jestem Seona. Przecież Oza umarła.

Erli ze zdziwieniem spojrział na Henry'ego i, zdaje się, wszystko zrozumiał. Henry stał ze spuszczoną głową i trzymał Ozę za rękę.

— No dobrze, mamy mało czasu. Chodźmy do centrum łączności. Musimy postanowić, co robić dalej.

Sven wszedł do centrali łączności przed innymi i uprzedził Evę, że kobieta chce, aby ją nazywać Seoną. Kiedy weszli pozostali, Eva wstała im na spotkanie i powiedziała po prostu:

— Dzień dobry, Seono!

— Dzień dobry.

— Mam na imię Eva. To jest Erli. No, a pozostałych już znasz.

— Eva. To bardzo ładne imię. Co mam teraz robić?

— Seono spodoba ci się widok z okna — powiedział Henry. — Jestem pewien. — Ostrożnie odprowadził ją do okna i posadził w fotelu. — Spójrz, jak tam pięknie! I nie ma żadnych pełzaków ani woreczków.

Oza usiadła w fotelu i ucichła z zachwytem wyglądając przez okno.

Erli przez radio wywołał Trajkowa. Na razie nic istotnego u niego nie zaszło i Erli poprosił, aby pozostał na miejscu, ale za pośrednictwem radia też brał udział w ich naradzie.

Następnie każdy krótko opowiedział, co widział, jakie myśli i przypuszczenia przychodziły mu do głowy, przy czym szczególną uwagę zwracano na najdziwniejsze, najbardziej niezrozumiałe momenty.

— Minęło pięć godzin od momentu, kiedy wylądowaliśmy na Pustelniku — rzekł Erli. — Wszystko jest tu dziwne i niezrozumiałe, ale jestem pewien, że każdy ma jakąś hipotezę, przypuszczenie... Kto wypowie się pierwszy?

— Minęło siedem i pół godziny — poprawił go Sven.

— Nie, minęło pięć godzin — gestem powstrzymał go Erli. — To łatwo ustalić. Więc kto pierwszy?

— Ty, Erli, zacznij.

— Nie, ja będę ostatni. Zacznij ty, Henry.

Wirt milczał przez kilka sekund, a potem powiedział:

— Nie wiem dlaczego umarli Ezra i Jumm, i jakie skutki pociągnęła za sobą ich śmierć. Ale na bazy wdarła się selwa. Był jakiś huragan, który zniszczył urządzenia zabezpieczające i budynki. Reszty dokonała selwa. Tak w każdym razie zdarzyło się na drugiej bazie. Przypuszczam, że i na pozostałych zaszło to samo.

— Jednocześnie? — spytał Erli.

— Nie sądzę — odpowiedział Henry. — Huragan obejmował chyba bazy po kolei.

— Huragan na całym Pustelniku? — zdziwił się Sven. — Mało prawdopodobne. Tu nigdy nie było nawet silnego wiatru!

— Za naszej pamięci rzeczywiście nie było. Ale niemniej jednak huragan z całą pewnością miał miejsce — sprzeciwił się Erli. — Widziałem, co utworzyło się wokół Centralnej Zwały o wysokości setek metrów. Huragan szedł z północy i, sądząc po tym zwalisku, burza była straszna i mogła przenieść się o wiele tysięcy kilometrów na południe. A huragan mógł powstać o wiele tysięcy kilometrów od Centralnej. Dlatego przypuszczenie, że bazy zostały zniszczone przez huragan, wydaje mi się, wiele wyjaśnia. Chociażby to, że w przeciwnym wypadku ludzie mogliby przedostać się do Centralnej wirolotami. A jednak nikt tego nie zrobił. Huragan był. To jest fakt. Niejasne jest tylko, dlaczego powstał. Co jeszcze można dodać, Henry?

— Nic więcej. Huragan i selwa. Nikt nie był na to przygotowany.

— Dobrze Sven, ty.

— Od Centralnej do drugiej bazy naliczyłem cztery bariery energetyczne. W drodze powrotnej, przy przechodzeniu przez każdą z nich, jakby nas wypluwało, zupełnie jak korek z wody. Bariery najwidoczniej ekranują fale elektromagnetyczne i dlatego bazy nie mogły połączyć się z Centralną.

— Łączność urwała się zaraz potem, kiedy coś stało się w sztabie, gdzie byli Ezra i Jumm — wtrąciła Eva. — Dlatego kiedy zesłam tu i próbowałam z kimkolwiek się połączyć, już nikt mi nie odpowiadał.

— Wygląda na to, że bariery energetyczne powstały równocześnie z początkiem huraganu, albo nawet trochę wcześniej — powiedział Sven.

— Raczej jednocześnie — rozległ się z głośnika głos Nikołaja. — Inaczej zdążyliby ewakuować się na Centralną. Ale coś im przeszkodziło. Huragan?

— Tak. Słyszałam, jak Ezra, kiedy jeszcze żył, żądał, by wszyscy natychmiast wracali na Centralną.

— To znaczy, że był wydany rozkaz natychmiastowej ewakuacji? Dlaczego wcześniej o tym nie mówiłaś. Znaczy, że niektórzy spodziewali się, że nastąpi katastrofa!

— To było, kiedy wychodziłam ze sztabu.

— A zatem sygnał o natychmiastowym powrocie otrzymali równocześnie — stwierdził Sven. — A huragan szedł z północy. To dlaczego nie zdążyły się ewakuować bazy położone najbliżej Centralnej, zwłaszcza południowe? Nie można przecież przypuszczać, że huragan powstał wszędzie równocześnie.

— Nie, nie można. Widziałem zwały tylko od strony północnej. To znaczy, że huragan szedł z północy.

— W takim razie, należy przypuszczać, że szybkość jego rozprzestrzeniania się wynosiła kilka tysięcy, a nawet kilkadziesiąt tysięcy kilometrów na godzinę! Jakoś nie bardzo mogę w to uwierzyć.

— A jednak będziesz musiał, Sven — powiedział Erli. — Tylko w ten sposób można wytłumaczyć, dlaczego mimo otrzymania sygnału do natychmiastowego powrotu, nie zdążyli jednak wylecieć.

— Ale przecież nic nie może tłumaczyć takiej szybkości rozprzestrzeniania się huraganu!

— Zgoda. Ale mimo wszystko trzymałbym się tej wersji. Więc zaraz po tym, jak Ezra wysłał na bazy sygnał natychmiastowego powrotu, powstały ekran energetyczne, rozpoczął się huragan i wkrótce selwa wdarła się na wszystkie bazy. Co możesz jeszcze powiedzieć, Sven?

— Nie rozumiem jednej rzeczy. Ale to dotyczy już nas. Lecieliśmy prawie sześć godzin. Opowiadałem, co robiliśmy na drugiej bazie. Tego nie można zrobić w ciągu pół godziny.

— Czasem człowiek robi w ciągu godziny tyle, ile kiedy indziej nie zrobiłby w ciągu doby... — zaczął Erli, ale Sven przerwał mu.

— Dobrze. Zapişmy to do rozdziału zjawisk niewyjaşnionych. I jeszcze. Dopóki tam bylişmy, słońce przez dwie godziny nie ruszyło się z miejsca ani o jedną sekundę kątową.

— Sekundy byś nie zauważył.

— Ja tylko tak. Innymi słowy, ono nie ruszyło się z miejsca.

— Słońce tam nie zachodzi przez półtora roku — cicho powiedziała Oza nie odwracając głowy i wciąż patrząc przez okno. — Przecież wam mówiłam.

Wszyscy zamilkli.

— Sven ..... powiedział wreszcie Henry. — Lepiej powiedz, że to ci się tylko wydawało. Tak będzie lepiej.

— Weźmiemy to pod uwagę — zakończył Erli. — Ale na razie to niczego nie wyjaşnia. I samo też niczym się nie tłumaczy. Co jeszcze, Sven?

— Na razie nic.

— Erli, przyznaj się. Uważałeś, że coś jest ze mną nie w porządku, kiedy mówiłam o Ezrze i Jummie.

— Tak, nie wierzyłem, że coś takiego może się rzeczywiście zdarzyć.

— Może Sven i Seona mówią prawdę. Może to im się wcale nie wydawało?

— Bardzo was proszę... — cicho odezwał się Henry.

— Eva, teraz ty.

— Po tym jak zobaczyłam szczątki Ezry i Jumma, i zostałam sama, kilka razy ich spotykałam. Chodzą po Centralnej. Szczególnie często pojawiają się w pomieszczeniu działu łączności, to znaczy tutaj... Dziś nawet strzelałam do nich. Nerwy mi nie wytrzymały. Pocisk przeszedł przez Ezrę, przebił drzwi i ścianę korytarza, a on spokojnie odszedł. Erli też ich widział.

— Tak, widziałem ich. Ale nie umiem wytłumaczyć co to takiego. Wszystko już, tak Eva? Niech teraz mówi Nik.

— Sprawdzałem akumulatory i zobaczyłem obcych obok piątego akumulatora. Teraz też tam są. Widzę ich wyraźnie. Wygląda na to, że coś montują. Myślę, że nie mają nic wspólnego z ludźmi, którzy tu wcześniej mieszkali. Oni wszyscy są bardzo smagli i szczupli, każdy ma na plecach jakąś broń. I jeszcze mają wszędołaz. Jest niepodobny do naszego łazika. Ma dwie wieże i z każdej strony sterczy po kilka luf.

— Co myślisz o tym wszystkim.

— Przypuszczam, że to jacyś przybysze. Na Pustelniku nie ma rozumnego życia. Nie ma nawet ssaków. To znaczy, że oni skądś przybyli, skądś przylecieli. Może to ci, którzy tu byli przed nami? Wyczekują, kiedy wszyscy ludzie rozjadą się na bazy, tworzą między, bazami bariery energetyczne, żeby przerwana



została łączność radiowa. Jeżeli są w stanie stworzyć takie silne pola siłowe, to mogą wywołać i niesłychany huragan, który zniszczył bazy. Dalej już działa selwa. Planeta jest czysta i nagle my przylatujemy, kiedy oni już siebie uważają za gospodarzy. I teraz znowu coś planują. Może chcą wysadzić akumulatory? Wtedy na setki kilometrów dookoła nic nie pozostanie. Taką mam śmieszłą hipotezę.

— Hipoteza jest ciekawa. Ale dlaczego nie mieliby nas zniszczyć w prostszy sposób? Po prostu rozstrzelać ze swojej broni?

— Nie wiem. Może jest ich za mało i boją się nas? Może nie znoszą widoku krwi? Zrobiłem tylko przypuszczenie.

— Tak, Nik, do twojej hipotezy pasuje najwięcej faktów. Ale nie wszystkie. Pozostaje Ezra i Jumm, nieruchome słońce i różnice we wskazaniach zegarków.

— Erli, ale przecież tu mogą zachodzić dwa różne procesy, nijak ze sobą nie powiązane — powiedziała Eva. — Różnica we wskazaniach zegarków może być spowodowana czymś innym.

— No, a to, że w pomieszczeniach głównego pulpitu wszystko zmieniło się w proch? Na około dziesięć — dwadzieścia metrów w obie strony od umownej linii równika. Przecież tam wszystko wygląda tak, jakby w ciągu tych kilku dni minęło kilka wieków. Sprawdziłem wszystko aż do samej granicy strefy chronionej. To też nie pasuje do hipotezy Nika.

— Przecież nie roszczę sobie pretensji do monopolu na rację...

— Rozumiem, Nik.

— Może jednak tutaj zachodzą dwa równoległe zjawiska? — powiedziała Eva.

— Tak, trzeba będzie tak na razie założyć. Zbija mnie tylko z tropu fakt, że zaszły jednocześnie. Powinny być w jakiś sposób ze sobą powiązane.

## 18.

Eva przygotowała herbatę i kanapki bezpośrednio w pomieszczeniu pulpitu łączności. Wszyscy od dawna już nic nie jedli. Oza wciąż siedziała przy oknie. Chwilami Eva zaczynała z nią rozmowę, która jednak szybko się kończyła. Eva kilka razy siadała na parapecie naprzeciwko Ozy i ukradkiem przyglądała się jej. Ona już wcześniej знаła Ozę. Nagle powstałe przypuszczenie nie dawało jej spokoju, ale bała się wypowiedzieć je głośno. Coś ją powstrzymywało.

W kącie naprzeciwko, Erli badał zawartość skrzyni przywiezionej z drugiej bazy. Arkusz po arkuszu przekładał diagramy. Papier często kruszył się, więc pracować musiał bardzo ostrożnie. Gdyby nawet wszystkie przyrządy rejestrujące na drugiej bazie pracowały bez przerwy, przez całe doby, to i w takim przypadku nie miałyby się skąd wziąć taka ilość dokumentów. Od razu rzuciło mu się to w oczy. Cały czas przekładał pakiety z wykresami mając nadzieję, że znajdzie coś w rodzaju listu, jakieś wyjaśnienie. Skrzynka była już prawie pusta, ale nic takiego nie udało mu się znaleźć... Wtedy zaczął rozwiązywać pakiety — i już pierwszy z nich wysunął mu się z rąk. W rogu każdego diagramu znajdowała się data.

Ale to były bardzo dziwne daty. Pierwsza z brzegu głosiła: „2195 dzień od dnia katastrofy”. Zaczął starannie przeglądać cały pakiet i wreszcie doszedł do dwudziestego dnia. Wcześniejszych dat nie było na żadnym diagramie. W jednym pakiecie znajdowały się zapisy prędkości wiatru, w drugim temperatury w trzecim ciśnienia, a następnie przyspieszenia czasu dla dwóch datowników rozstawionych w odległości zaledwie dziesięciu metrów. Nie była to żadna odległość dla badań tego typu.

Były tu takie liczby... Zwłaszcza w pierwszych dniach. Tak, w pierwszych... Dlatego, że na podstawie diagramów było najzupełniej oczywiste, że na drugiej bazie od momentu katastrofy minęło co najmniej 15 lat. Co najmniej! Potem zapisy urywały się. Nie było w zapisach też pierwszych dni, być może dlatego, że ludzie walczyli z selwą o swoje istnienie. Udało im się wyżyć i teraz ich praca pomagała Erli'emu zorientować się w tym, co naprawdę zaszło tu, na Pustelniku.

Teraz wiele rzeczy znalazło swoje wytłumaczenie. Teraz jest jasne, dlaczego Sven twierdził, że słońce w czasie ich pobytu na drugiej bazie nie poruszyło się nawet o jedną sekundę kątową. Jasne, dlaczego twierdzili, że spędzili w locie sześć, a nie cztery godziny. Dlatego, że w ciągu doby, w ciągu jednego obrotu Pustelnika wokół własnej osi, na szerokości drugiej bazy mijało półtora roku.

— Eva — zawołał dziewczynę.

Podeszła do niego i usiadła obok.

— Eva, wszystko co mówiła Seona jest prawdą. Ona rzeczywiście przeżyła tam dwadzieścia lat. Dziwi cię to?

— Nie zrozumiałam, ale coś ci powiem. Ta dziewczyna nie jest Ozą.

Teraz Erli spojrzał na nią ze zdziwieniem.

— Jest bardzo podobna do Ozy. Zadziwiająco podobna. Ale to nie jest Oza. Henry był zbyt podniecony spotkaniem z nią, przecież to był cud, że ona żyje. A

potem pomyślał, że Oza straciła rozum. Wkrótce on sam też zauważy różnicę... Tak, mówisz, że ona tam przeżyła dwadzieścia lat? Kiedy zrozumiałam, że to nie Oza, pomyślałam: może ci obcy. dla jakichś własnych celów odtworzyli Ozę, żonę jednego z żyjących. Nic innego nie mogłam wymyślić. Ale jeśli mówisz... Znaczy, że to córka Ozy. I wszystko co mówiła jest w takim razie prawdą?..

— Tak, coś się wyjaśnia. Ale jest i dużo ciemnych plam. Eva, wprowadź do komputera te dane i program o przyspieszeniu czasu na różnych szerokościach Pustelnika. Zdaje się, że wyjdzie coś strasznego. Zaraz spytam Henry'ego, w którym miejscu przecięli ekrany energetyczne. Może się okazać, że to nie są żadne energetyczne bariery, ale coś całkiem innego.

Erli wyszedł z oddziału łączności i wyminawszy kilka pokoi otworzył drzwi do laboratorium zapisu informacji. Henry powinien właśnie przesłuchiwać tu zapisy rozmów z Centralną, nagranych, kiedy kilka razy przecinali bariery energetyczne. Henry siedział z głową opartą na stole montażowym. Wokół niego poniewierały się kryształy pamięciowe i stosy taśmy magnetofonowej. Kręciła się pusta szpula magnetofonu.

— Henry — Erli trącił go w ramię. — Chcę ci powiedzieć... Musisz być — mężny .. To nie Oza, Henry.

Wirt podniósł bladą, zmęczoną twarz i kilka razy skinął głową:

— Wiem o tym, Erli. To moja córka, Seana. W pierścionku Ozy był kryształ z zapisem. Ten pierścionek przekazała mi Seona. Oza wszystko mi opowiedziała. Co prawda nasze spotkanie trwało tylko minutę...

— Tu, Henry, wszyscy kogoś lub coś stracili

Erli stał jeszcze przez moment, po czym wyszedł, ale po chwili wrócił:

— Chciałem cię spytać, Henry, na jakich szerokościach przecinaliście bariery energetyczne?

Henry podał szerokości i dodał:

— Tylko, że to nie są bariery energetyczne.

— Domyślam się.

— To były granice obszarów, na których czas płynie z różną prędkością. Im dalej od równika, tym szybciej płynie. Słuchaj.

Zatrzymał obracającą się szpulę, założył taśmę i znowu włączył magnetofon. W pokoju rozległo się basowe dudniące wycie.

— To najniższa częstotliwość głosu Nika. Teraz słuchaj.

Zwiększył prędkość odtwarzania. Z głośnika dało się słyszeć:

„Wołam Wirta! Tu Trajkow. Wzywam Wirta! — słowa powtarzały się wiele razy. — Co się u was stało?

— Za pierwszym progiem czas płynie dwadzieścia razy szybciej niż u nas. Ile razy szybciej płynie za następnym — nie wiem. Na drugiej bazie czas płynie pięćset razy szybciej!

— To dlatego tak was przytrzymało na każdym progu. Czas płynie szybciej i dlatego potrzebny jest potężny impuls energii, żeby w niego wskoczyć. Oto dlaczego bez żadnej widocznej przyczyny „Fiołek” nagle się obrócił. Miał zbyt małą prędkość, a co za tym idzie dysponował zbyt małą energią — rozmyślał głośno Erli.

— Co teraz zrobimy? — spytał Wirt.

— Przekaż te dane Evie, niech wprowadzi je do komputera. Kiedy otrzymamy wynik, powiadomimy o wszystkim Svena i Nika. A co powiesz Seonie?

— Dam jej tego posłuchać — odpowiedział Henry i rozwarł dłoń, na której leżał pierścionek z kamieniem. W drugą wziął niewielki aparat do zapisu i odczytywania kryształów, po czym obaj wyszli na korytarz.

Erli przekazał Evie dane, niezbędne do rozwiązania zadania. Henry usiadł obok Seony. Uśmiechnęła się do niego. Widać było, że czuje się niezręcznie, jak każdy człowiek, który nagle znalazł się wśród dobrych, ale jednak obcych ludzi.

— Seona — powiedział Henry — nie będę ci niczego wyjaśniał. Nazywam się Henry Wirt. Posłuchaj tego. — Wstawił pierścionek w uchwyt czytnika i włączył aparat. Rozległ się smutny, cichy głos;

— Dzień dobry, Henry, mój kochany.

Erli wziął Evę za rękę i wyszli z sali.

— Chciałem wyjaśnić wiek szczątków Ezry i Jumma — rzekł Erli. — Trzeba to koniecznie zrobić.

— Pomogę ci.

— Nie, sam to zrobię. To nie jest zbyt skomplikowane. Tylko nie wiem, gdzie jest laboratorium.

— Będziesz musiał przejść tym korytarzem do północnego skrzydła. Tam jest tabliczka.

— Eva, niedługo będą gotowe wyniki obliczeń. Przejrzyj je.

— Teraz niezręcznie mi tam wchodzić Odprowadzę cię.

— Dziwaczka... Nie ma dokąd odprowadzać. Tu wszędzie jest blisko.

— Wszystko jedno.

Zdążyli przejść kilkadziesiąt kroków, kiedy otworzyły się drzwi i ukazała się w nich głowa Henry’ego.

— Dokąd uciekacie? — krzyknął za nimi.

— Idź, Eva. Niedługo wrócę.

Erli szedł korytarzem nierównymi krokami, czasami potykając się ze zmęczenia. Tam, gdzie korytarz przecinał linię równika, nie wytrzymał i zajrzał do warsztatu. Wiedział, co tam zastanie i nie omylił się. Ta sala też miała kilkaset lat. Wszędzie leżał wiekowy kurz. Około dwustu metrów dalej korytarzem odnalazł potrzebne laboratorium. Zabrał stamtąd niewielki analizator. Następnie pojechał windą na najwyższe piętro Centralnej, przez kilka sekund stał przy przezroczystej ścianie kopuły próbując rozpoznać postacie Svena i Nika na czwartym akumulatorze, ale niczego nie udało mu się zobaczyć.

W sztabie spotkał kłócących się przez cały czas Ezrę i Jumma. Ale nie zwracał na nich uwagi. On żyli w jakimś innym wymiarze czasu.

Analiza szczątków dwóch ludzi wykazała że zmarli oni półtora tysiąca lat temu. Po pięciu minutach Erli był w sali łączności. Henry'ego nie było tam. Okazało się, że wezwał go Sven. Nieznajomi coś zamierzali. Henry odjechał drugim łazikiem w kierunku akumulatorów.

Eva wyszła mu na spotkanie bardzo zdenerwowana.

— Erli! Na dwudziestej bazie minęło około sześciuset lat! Oni od dawna już nie żyją!

## 19.

Sven i Nik wskoczyli do windy i pojechali na dół. Nikołaj po drodze przekazał:

— Erli Pojawił się ich wszędołaz. Schodzą z akumulatora. Mam wrażenie, że teraz skierują się do Centralnej. My też schodzimy do łazika.

— Wracajcie na Centralną. Postarajcie się żeby was nie wykryli

Ale już zostali wykryci. Nagle zza czwartego akumulatora wyskoczył wszędołaz z dwoma wieżyczkami i dziesiątką luf z każdej strony. Henry rzucił maszynę do przodu, na przełaj, żeby dać Svenowi i Nikowi możliwość ukrycia się za pancernem swojej maszyny. Obcy, najwidoczniej nie oczekiwali spotkania z kimkolwiek i ich wszędołaz gwałtownie zahamował, huśtając się na resorach. Henry podjechał naprzód. Ciężki blaster leżał na siedzeniu obok niego, ale w biegu i tak nie mógłby go użyć. Łazik nie był przecież maszyną bojową.

Obcy przez kilka minut nie dawali znaku życia. Zupełnie, jakby w ich wszędołazie nikogo nie było. Panowała kompletna cisza. Przez ten czas Sven zdążył

ustawić swoją maszynę obok maszyny Henry'ego. Po chwili wszedł obcych posunął się nieco do przodu. To samo zrobili Sven i Henry. Odległość między maszynami zmniejszyła się do kilku metrów. NikolaJ powiadomił Erli'ego o wszystkim, co się działo.

— Cofajcie się do Centralnej! — krzyczał Erli.

— Ale oni wtedy pojedą za nami — odpowiedział Nik

— Niech podchodzą. Tu nas będzie dwa razy więcej.

— Dobrze.

Obcy nie przejawiali agresywnych zamiarów. Przeciwnie, jedna za drugą zniknęły z wieżyczek lufy ich nieznanej broni Następnie jeden z luków wszedł otwarto i pokazał się w nim człowiek z brązową skórą, złoćącą się w promieniach zachodzącego słońca. Coś krzyknął, ale nie można było rozróżnić poszczególnych słów.

— Erli, też mamy wyjść? — spytał Trajkow.

— Poczekajcie! Henry wam powiedział, co udało się nam jeszcze ustalić?

— Pokróćce.

— Więc słuchajcie ci obcy nie mają tu zupełnie nic do rzeczy. Kiedy Ezra przekazał bazom sygnał ewakuacji, już było za późno. Przyspieszenie czasu na biegunach Pustelnika skokowo osiągnęło dużą wielkość! Na dwudziestej bazie czas zaczął płynąć 20 000 razy szybciej niż u nas. W kierunku równika gradient upływu czasu stopniowo malał. To wywołało potworny huragan. Powietrze z obszaru, gdzie czas biegł szybko, wciskało się na obszar gdzie czas biegł wolniej. Huragan praktycznie natychmiast objął całą półkulę północną. Następnie płynna krzywa zmiany prędkości przyspieszenia czasu zmieniła się w skokową. Tam pomiędzy izochronami<sup>1</sup> i teraz szaleją huragany. Wszystkie bazy zostały zniszczone prawie w jednym momencie. Reszty dokonała selwa. Przyczyna takiego skoku czasowego jest nieznana. A teraz jeszcze ci obcy. Z baz nie mogli się tu dostać, dlatego że jeśli ktoś nawet ocalał po huraganie, to już go nie ma... Minęło tam kilkadziesiąt lub kilkaset lat. Ci obcy nie mogą pochodzić z Pustelnika.

Człowiek z brązową skórą już stał przed łazikiem Henry'ego i coś pokazywał przy pomocy znaków.

— Zdaje się, te prosi, żeby go wpuścić do maszyny — powiedział Henry. — Wpuścić? On nie ma broni i w ogóle, zdaje mi się, są pokojowo nastawieni.

— Niech najpierw wytłumaczy, czego chcą.

<sup>1</sup> Izochrony - tu, linie na których czas płynie z jednakową prędkością (przyp. tłumacza).

Henry do połowy wysunął się i luku i na migi próbował zapytać czego chcą, ale nic mu z tego nie wyszło. Wtedy po prostu spytał:

— Czego chcecie na Centralnej?

Brązowy człowiek podszedł całkiem blisko do łazika. Henry powtórzył pytanie. Obcy zawołał:

— Kozalez! Potrzebny Kozalez!

Henry'ego na moment zamurowało, potem otrząsnął się ze zdumienia i przekazał do mikrofonu:

— Erli! Ty im jesteś potrzebny.

— Ja? Co, oni mówią naszym językiem?

— W każdym razie ja go rozumiałem.

— Weź go do maszyny i jak najszybciej tu przyjeżdżaj. Sven niech na razie zostanie ze swoją maszyną na miejscu. Lepiej na razie nie dopuszczać tu wszędzie obcych.

— Zrozumiałem — odpowiedział Henry i gestem pokazał człowiekowi, że może wejść do maszyny.

Po kilku minutach byli przy głównym wejściu do Centralnej. Obaj milczeli. Henry poprowadził obcego do działu łączności. Obcy, trochę przestraszony, przekroczył próg i rzekł:

— Dzień dobry! Potrzebny mi Kozalez.

— To ja — odpowiedział Erli wstając mu na spotkanie.

Obcy szybko podszedł do niego i wyciągnął rękę. Erli z niedowierzaniem uścisnął ją.

— Przedzieraliśmy się tu około trzystu lat — powiedział obcy, — a w każdym razie w Wielkim Mieście minęło trzysta lat. Wysłał nas Konstak. On co prawda już nie żyje. Umarł już dawno, ale zostawił nam program działania. Przed nami też były ekspedycje, ale najwidoczniej nie udało im się dotrzeć, skoro to wszystko jeszcze istnieje — I powiódł ręką dookoła.

— Co istnieje? — spytał Erli.

— Ta stacja. Musimy ją wysadzić. Tak jest powiedziane w programie Konstaka.

— Kto to taki ten Konstak i co to Wielkie Miasto?

— Konstak był wielkim uczonym. Czyżbyście o nim nie słyszeli?

— Jak mogłem o nim słyszeć, skoro wędrowaliście tu przez trzysta lat? Mnie wtedy jeszcze nie było. No, a co to za Wielkie Miasto? Planeta?

Obcy przecząco pokręcił głową.

— System słoneczny?

— Nie...

— Więc co? Galaktyka?

— Nie. Potrzebny jest globus.

Ale globusa niestety nie było w pobliżu.

— Rozumiecie, to była baza. Kiedyś z Centralnej do tej bazy można się było dostać w ciągu dziesięciu godzin. A teraz potrzeba trzystu lat. Nie jesteśmy fizykami. Realizujemy tylko program Konstaka. Tam jest powiedziane, że jeśli nie damy rady sami wysadzić akumulatorów, to powinniśmy znaleźć Kozaleza. Mamy list. Tylko on jest bardzo stary. Trzeba go niezwykle ostrożnie czytać. Pisał go sam Konstak.

— Czym dojechaliście z Wielkiego Miasta do Centralnej?

— Wszędołazami. Mieliśmy pięć wszędołazów. Dotarł tylko jeden Reszta zginęła.

Erli'emu zakręciło się w głowie. Przecież oni muszą być z dwudziestej bazy! Ale przez trzysta lat tam wszyscy musieli poumierać. Więc skąd oni się wzięli?

— Konstak to Konrad Stakowski? — krzyknął.

— Tak. To Konrad Stakowski. Ale zazwyczaj nazywał siebie Konstakiem.

— Sven! — krzyknął! Erli do mikrofonu. — Przyrowadź tu swój łazik. I wszędołaz tych ludzi też. To nasi. Są z dwudziestej bazy!

— Jak to z dwudziestej? Co, znowu nowa hipoteza?

— Nie, Sven. Stara! Teraz wszystko jest jasne. Jak najszybciej ich tu przyrowadź.

Brązowy człowiek ze zmieszaniem rozglądał się wokół.

— Ilu ludzi jest w waszej maszynie?

— Jedenastu. Ja jestem dwunasty. Ośmiu zginęło.

— Jak się nazywasz?

— Enriko.

— Jesteś na pewno głodny jak diabli? My zresztą też. Eva i Seona, chciałem was prosić...

Dziewczyny już wszystko zrozumiały. Włączyły ! nastroiły automaty kuchenne...

Wkrótce do Centralnej wpadła wataha brązowych ludzi. Sven i Nik nieufnie szli z tyłu z blasterami na ramionach.

— Wyrzucicie te zabawki — powiedział im Erli.

Kiedy wszyscy się trochę uciszeli, Enriko powiedział:

— Gdy na bazie otrzymali sygnał ewakuacji, zaraz powstał straszny huragan. Baza była zniszczona. Na szczęście była to najbardziej zaludniona baza.



Było w niej czternaście osób. W pierwszym momencie nie doliczono się jednego... Pozostali zdążyli się ukryć w pomieszczeniach piwnicznych stacji. Wyjść z tych piwnic udało się dopiero po pięciu latach. I dopiero po trzydziestu latach mniej więcej oczyszczono teren bazy z selwy, ale powstał problem śmierci głodowej. Konrad Stakowski umarł do tego czasu. Stopniowo znaleziono sposób przerabiania pełzaków i woreczków na coś jadalnego. Potem nastąpiła czterdziestoletnia zima i noc.

— Ale wszyscy, którzy byli na bazie, powinni byli dawno umrzeć?

— Konrad Stakowski od samego początku wiedział, co się zdarzyło na Pustelniku i nakazał, aby koniecznie ktoś dostał się do Centralnej. Ci, którzy mieszkali na bazie od samego początku, nie mogli nawet o tym marzyć. A kobiety rodziły dzieci. Po trzystu latach, kiedy odjeżdżaliśmy, było tam około sześciuset osób. Teraz na pewno jest o wiele więcej. Ale Pustelnik musi zginąć. Na Pustelniku powstał generator czasu. Jego pierścień emisyjny biegnie wzdłuż równika. Kiedy tylko czas na biegunie Pustelnika zrówna się z czasem, który upłynął w tym pierścieniu, nastąpi wysycenie i Pustelnik eksploduje. Stakowski nie wiedział kiedy to nastąpi.

— Za około piętnaście dni — powiedział Erli. — Ten pierścień emisyjny ma półtora tysiąca lat.

— Trzeba go rozerwać na możliwie dużej przestrzeni. W tym celu należy wysadzić akumulatory i Centralną. Zbadaliśmy zapasy energii. Wystarczy jej, ale nie znamy schematu połączenia akumulatorów. Na bazie nikt go nie znał. Nie było tam inżynierów. Ale nie można czekać piętnastu dni. Trzeba wysadzić Centralną najszybciej, jak się tylko da. Wielkie Miasto ledwie wiąże koniec z końcem. Bardzo źle się im tam teraz dzieje.

— Może zrzucić im żywność z wirolotu? — powiedział Sven.

— Nie — odparł Erli — bariera energetyczna musi być tam bardzo silna.

— A „Fiołek”?

— „Fiołek” może lądować tylko na małej szybkości. Poza tym nie ma tam lądowiska.

Po obiedzie wszyscy niezwłocznie wzięli się do roboty. Część z nich pod dowództwem Erli'ego ładowała na „Fiołka” różne cenne przyrządy, sprzęt, materiały badań i wszystko, co niezbędne, aby kolonia Pustelnika po zniszczeniu Centralnej mogła przeżyć do przybycia „Warszawy”.

Schematu połączenia akumulatorów nie znaleziono, co znacznie skomplikowało zadanie. Próbując rozplątać ten kłębek mogli męczyć się dłużej niż piętnaście dni.

I wtedy właśnie Erli przypomniał sobie, co zdołał zauważyć na rulonach papieru, które widział u Ezry i Jumma. Teraz był pewien, że żyją oni w jakimś innym wymiarze czasu, w którym oprócz Centralnej i ich dwóch, nikt i nic nie istnieje. Oni rozumieją, co się z nimi stało, gdyż to właśnie oni kierowali eksperymentem. A Erli już się zaczynał domyślać, co to był za eksperyment. Omawiali właśnie wyniki doświadczenia, kiedy to wymknęło im się spod kontroli.

Ezra i Jumm najczęściej pojawiali się w sztabie i w sali łączności jakby przypuszczając, że tam powinni być ludzie. Często rozwijali nie istniejący już dla innych schemat jakby zapraszając do odrysowania go. Przed zachodem słońca udało się to zrobić Svenowi.

A o północy wszystko było gotowe do wybuchu. Trajkow miał wznieść się na „Fiołku” i pozostać na orbicie Pustelnika do czasu, kiedy w którymś miejscu nie zostanie przygotowane lądowisko.

Pozostali mieli lecieć wirolotami. Trzeba było koniecznie przygotować im ochronę. Konrad Stakowski opracował program wysadzenia akumulatorów w ten sposób, żeby przyspieszenie czasu dodatnie lub ujemne zniknęło nie skokiem, lecz płynnie. Należało uniknąć drugiego niszczącego huraganu.

Na początku pierwszej nocy startował „Fiołek”. Wkrótce usłyszeli spokojny głos Trajkowa:

— Wszystko w porządku.

Następnie z Centralnej odleciały z ludźmi dwa bagażowe wiroloty. Prowadzili je Sven i Erli. Pozostałe wiroloty wzleciały bez pilotów. Ich szyk został zakodowany w pamięci sterujących komputerów tak, by trzymały się w stałych odległościach od wirolotu Erli'ego.

Razem z Erlim leciała Eva i kilka osób z dwudziestej bazy.

— Przypomniałem sobie — usłyszeli nagle głos Trajkowa. — Przypomniałem sobie, gdzie widziałem tę huśtawkę! Jest przecież narysowana na ścianach Centralnej! Na samym równiku jest równe pasmo równoległe do ziemi. A im dalej na północ czy południe tym większy kąt nachylenia tej huśtawki. I znak kąta jest różny. W kierunku bieguna północnego jest dodatni, a w kierunku południowego — ujemny.

— Szkoda, że jut za późno, żeby wrócić — rzekł Erli. — Dziwne. Przecież wszyscy ją widzieli, a nikt jakoś nie potrafił tego sobie uświadomić.

Wiroloty leciały zwartą grupą, oddalając się wzdłuż równika w kierunku wschodnim i lekko na północ.

20.

Oddalili się na około 500 kilometrów od Centralnej, kiedy rozległ się wybuch. Nocne niebo rozjaśnił błysk potężnej eksplozji.

Po godzinie w eterze rozległy się słowa:

— Dlaczego ewakuacja? Ezra, co się tam u was dzieje?

To mówili z dziewiętnastej bazy, położonej prawie przy biegunie południowym. Tam od momentu katastrofy minęło zaledwie kilka minut.

Erli uśmiechnął się nerwowo.

— Powiedz im, Eva, żeby wszyscy pozostali na swoich miejscach. Henry przekaże im komunikat.

Potem lecieli w kierunku dwudziestej bazy. Erli włączył autopilota i wyciągnął z kieszeni dwa listy. Jeden był od Konrada Stakowskiego, a drugi od Ley.

„Witaj Erli — pisała Ley. — Tak chciałabym cię jeszcze zobaczyć...”

Złożył list i chciał go podrzeć, ale rozmyślił się i położył na kolanach siedzącej obok Ewy.

— Kiedyś przeczytasz — powiedział.

Ewa przecząco pokręciła głową.

„Erli” — pisał Konrad Stakowski.

„Jednak udało się nam osiągnąć to, czego chcieliśmy. Możemy rządzić czasem. Wierzę, że będziesz kontynuował naszą pracę. Wyobrażam sobie urządzenie, na którego jednym biegunie czas będzie przyspieszał, a na drugim zwalniał. Eksperymenty, na które ludzie przedtem potrzebowali lat, teraz będzie można przeprowadzać w ciągu sekundy. Nawet nie mogę sobie wyobrazić, jak daleko zajdzie ludzkość, gdy opanuje czas, zmuszając go, by biegł według jej uznania.

...Szkoda, że to odkrycie pociągnęło za sobą katastrofę. Ale wierzę, że będziesz kontynuował tę pracę, postaram się pomóc Ci...

Jeśli namiętność dziennikarza zwyciężyła w tobie fizyka — oto początek twojej książki.

Nie dowiedzieliśmy się więc, jaka cywilizacja pozostawiła na Pustelniku swój ślad. Może nawet nie była to żadna obca cywilizacja? Może za dwadzieścia lat to urządzenie zostanie skonstruowane na Ziemi a stamtąd przewiezione na Pustelnika i przesunięte w czasie. Przecież na Ziemi już od dawna prowadzone są prace związane z próbami opanowania czasu. Ezra i Jumm żyli tą ideą. Długo nie mogliśmy zrozumieć, czym naprawdę jest Centralna, jej gigantyczne akumulatory, bazy... A później odkryliśmy pierścień emisyjny Pustelnika i stopniowo doszliśmy do wniosku, że za pomocą tego urządzenia można ekspery-

mentalnie sprawdzić wzajemne zależności oraz relacje czasu i przestrzeni. Główna część ekspedycji zajmowała się badaniami planety, starając się wyjaśnić jednak, kto był przed nami na Pustelniku. W jednym z licznych pomieszczeń Centralnej zostały znalezione notatki robocze. Zwykle pospieszne zapiski, z których niewiele można zrozumieć, ale jednak... Doszliśmy do wniosku, że ktoś przed nami już próbował zajmować się eksperymentami z przestrzenią i czasem. Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że notatki sporządzone zostały w ziemskim języku. I w niektórych miejscach widniał twój podpis.

Rozmawiałem z Ley, Powiedziała, że nie miała żadnych twoich notatek, żadnych dokumentów, nic, co pochodziłoby od ciebie. Nie mogłem zrozumieć, gdzie mógłbyś zajmować się podobnymi badaniami. Nic o nich nie wiedziałem. I wreszcie skąd twoje notatki się tu znalazły?

Do naszego eksperymentu przygotowaliśmy się długo i starannie. Cztery dni po starcie „Fiołka” z Centralnej, Ezra zakomunikował że można zaczynać eksperyment.

Na Centralnej pozostali tylko Ezra, Jumm i Eva. Pozostali odlecieli wirołotami na bazy. To miał być kolosalny eksperyment i brakowało nam ludzi.

Jedenastego o 7.00 wszystkie dwadzieścia baz oznajmiło, że są gotowe do przeprowadzenia eksperymentu. Eksperyment rozpoczął się o 7.15. Ezra wydawał rozkazy poprzez system łączności zewnętrznej i kolejno włączał akumulatory. Jumm natychmiast przy pomocy komputera opracowywał wyniki i na bieżąco wносił poprawki do programu.

Mniej więcej do godziny ósmej wszystko szło jak w poprzednich laboratoryjnych próbach... Akumulatory zużyły 70 proc zgromadzonej energii, a zmian krzywizny przestrzeni w najbliższym otoczeniu Pustelnika nie dało się zauważyć. Ezra zaczął się denerwować. Mniej więcej o ósmej trzy, przyrządy zanotowały niewielkie zmiany zakrzywienia przestrzeni. Przyspieszenie czasu równało się zero. Ezra zdecydował się przerwać eksperyment. Jumm nastawał by go kontynuować. Po minucie okazało się jednak, że ich spór nie ma już sensu. Eksperyment wymknął się spod kontroli. Ezra wyłączył akumulatory, ale zakrzywienie przestrzeni utrzymywało się w dalszym ciągu. Potwierdziło to zjawisko wszystkie dwadzieścia baz. Następnie zakrzywienie przestrzeni zanikło, ale zaczęło się przyspieszenie czasu, zauważalne zwłaszcza na równiku. Na biegunach żadnych zmian nie dało się zauważyć.

O ósmej dziesięć przyspieszanie czasu ustało, a przyrządy ponownie zarejestrowały narastające zakrzywienie przestrzeni. Przyspieszenie czasu było niewielkie — około jednej sekundy na godzinę.

Ezra przekazał wszystkim, że eksperyment wymknął się spod kontroli i wszyscy mają przygotować się do powrotu na Centralną.

Rozhuśtywanie systemu Przestrzeń — Czas trwało jeszcze dwadzieścia dwie minuty... Potem przyspieszenie czasu zaczęło gwałtownie wzrastać. Przerwana została łączność między bazami i Centralną.

Dopiero po pięciu latach udało się nam wyjść z podziemi. Erli, a jeśli to były twoje przyszłe notatki? Przecież wtedy nie musieliśmy już szukać innej cywilizacji. Przecież to by oznaczało, że to my sami zbudowaliśmy wszystkie obiekty na Pustelniku. Erli, powinieneś nauczyć się rządzić czasem... "

Przed nimi było już widać drugą bazę.

— Erli — rzekł Henry, — chcę zatrzymać się tu na kilka minut... Rozumiesz mnie...

— Tak, Henry — i Erli wyłączył mikrofon.

Czternaście wirolotów zastygło w miejscu, a jeden, wykonawszy ostry wiraż skierował się w stronę lądowiska. W promieniach wschodzącego słońca wyglądał jak maleńki, złoty żuk.

## Prawo do powrotu

Pośrodku okrągłej jasno oświetlonej sali w miękkich, wygodnych fotelach siedziało czterech mężczyzn.

— Oszaleć można od tej ciszy — powiedział Ego, najmłodszy członek załogi „Kleopatry”. Chudy, wysoki, z czarną czapką gęstych wijących się włosów. Wczepiony palcami w oparcie siedział z taką miną, jakby w następnej chwili coś mogło go wyrwać z fotela i rzucić w pustkę, z dala od budzących zaufanie ścian statku.

— Oszaleć można... — powtórzył cicho.

Stis pochylił się nad pulpitem chcąc włączyć jakąś muzykę, ale Royd powstrzymał go krótkim ruchem ręki.

— Nie trzeba. Jemu potrzebna jest teraz muzyka ludzkich słów, muzyka ludzkich myśli.

Royd był starszkiem i wszyscy uznali w nim dowódcę, choć na statku nie powinno było być dowódcy. Stis bez słowa skinął głową i znów odchylił się w krześle.

— Chodzi mi po głowie tylko jedna myśl — powiedział Bimon, czwarty członek załogi. — Że Oni już tu dotarli. Pierwszą część programu chyba wykonaliśmy? — Popatrzył pytająco na Royda.

— Zapytaj Ega...

— Ja To czuję — powiedział Ego otrząsnąwszy się z odrętwienia. — Przez cały czas wyczuwam obecność czegoś lepkiego, obrzydliwego, wrogiego. Zobaczyć, by To, usłyszeć, dotknąć... żeby można było strzelać z blastera, myśleć, szukać wyjścia ze ślepej uliczki. Ale to nie wiadomo co. Jak można walczyć z nie wiadomo czym?

— A więc według ciebie Oni już tu są? — zapytał Royd i wzdrygnął się napotkawszy wzrok Ega. Oczy Ega mówiły, że gdyby był sam, wiedziałby, co ma zrobić. Nieraz w ciągu swego długiego życia Royd stykał się z takim spojrzeniem i nagle jego także ogarnął strach. Ale Royd umiał panować nad sobą.

Ego odwrócił się.

— A co ty o tym myślisz, Stis?...

Stis zaśmiał się nerwowo:

— Cha-cha-cha! Przecież Oni są już nie tylko tu. Oni są wszędzie. Może nawet dotarli już na ziemię. Odnaleźli ją i teraz wszyscy pośpiesznie uczą się robić harakiri. Cha-cha-cha!

— Dzieci też? — cicho zapytał Royd.

— N-nie, n-nie — Stis przyłożył ręce do ust. — Wybaczcie. Dzieci nie powinny się z tym zetknąć. Wybaczcie mi. Zamilkł na chwilę; potem powiedział spokojniej: — Ale oni już tu są. Naprawdę tego nie czujecie? Naprawdę tylko ja sam?...

— Oni już tu są. Nie ma wątpliwości — powiedział Bimon:

— Kiedy wylecieliśmy z Ziemi, już było wiadomo, że tu będą. Przypuszczenie potwierdziło się, i tyle.

— Po co pytasz o to, Royd? — zapalczywie wykrzyknął Ego. — Przecież wszyscy o tym wiedzą. Czyżbyś nie czuł?... — Chciałem wiedzieć, jak to od czuwa każdy z nas. Przecież żadne przyrządy nie rejestrują Ich obecności, a koniecznie trzeba się dowiedzieć, co to takiego.

Kwadrans temu posadzili „Kleopatę” na planecie o umówionej nazwie „Agrikola-4”. Właściwie Agrikola była to nazwa gwiazdy, dookoła której obracało się siedem planet. Na czwartej mieściła się nie sterowana baza Ziemi — to znaczy baza z zapasami żywności, wody, energii, aparaturą — słowem, z tym wszystkim, czego potrzeba człowiekowi do życia. Automaty monotonnie badały planetę: rejestrowały temperaturę, ciśnienie, poziom promieniowania. Agrikola-4 nadawała się do skolonizowania. Nie była zamieszкана tylko dlatego, że odkryto ją zaledwie przed dwudziestu laty.

Pięć lat temu powinna była wylądować na niej pierwsza specjalna ekspedycja, która dałaby jednocześnie początek planowanemu badaniu i zasiedlaniu planety. Ale mniej więcej w tym czasie w kontrolowanym przez Ziemię kosmosie pojawiło się To. Początkowo w odległości stu osiemdziesięciu parseków, w jednym — jedynym miejscu, a potem od razu w kilku. Ziemia znalazła się w centrum umownej sfery, poza której granicami panowało coś wrogiego dla człowieka, coś niezrozumiałego, nieuchwytnego, a przez to jeszcze straszniejszego.

Sfera nieubłaganie kurczyła się. Na razie obejmowała jeszcze kosmos opanywany przez człowieka. Liczne dalsze ekspedycje nie wytrzymały walki z nieznanym katapultowały się na Ziemię. Inne milczały. Rada Ziemi podniosła alarm. Teraz na ekspedycje wyruszyli starannie sprawdzeni ludzie, zrównoważeni psychicznie, gotowi walczyć do końca i katapultować się na Ziemię tylko wtedy, gdy dalsza walka z nieznanym nie będzie mieć sensu. Ludzie mogliby się

obronić, ale To było nieuchwytnie, a pojawiało się już w odległości stu parseków od Ziemi. „Kleopatra” była jednym z wielu statków, które Ziemia rzuciła na spotkanie niebezpieczeństwu. Załoga miała dwa zadania: dowiedzieć się, czy To pojawiło się w rejonie gwiazdy Agrikola, co stanowiłoby niezbity dowód, że coś wrogiego kontynuuje wędrówkę w kierunku Ziemi, i spróbować ustalić, co to jest. Dopóki Ziemia tego nie знаła, nie umiała się bronić.

Trzy miesiące temu „Kleopatra” startowała na Agrikolę. Jeszcze nie wychodzili ze statku.

— Możemy natychmiast katapultować się na Ziemię — powiedział Royd. — Nikt nie nazwie nas za to tchórzami, bo do tej pory nikt nie umiał sobie z Nimi poradzić. Po prostu powiększymy liczbę ludzi, którzy nie dali sobie rady.

Uradowany Stis przechylił się do przodu, potem przygryzł wargę i odchylił się w krześle z obojętną miną.

Bimon pokręcił głową.

Ego głębiej wcisnął się w krzesło, tak że widać było tylko jego pobladałą twarz.

— Wszystko jedno, czy będziemy tu siedzieć, czy też wyjdziemy ze statku. Oni przenikają wszędzie. Wolę wyjść. Kto ze mną? — zapytał Bimon.

Nikt się nie poruszył. Niech idzie Royd. On widział tyle rzeczy...

— Pójdzie Ego — powiedział Royd.

— Nikt go nie może zmusić! — krzyknął Stis. — Sam się musi zmusić. Idź, Ego.

Royd włączył ekrany okrężnej obserwacji. „Kleopatra” stała w samym środku ogromnej polany pokrytej brunatną w czarne plamy — trawą. W odległości pięciuset metrów zaczynał się koślawy las.

— Dojdźcie do skraju lasu i zawracajcie.

— W glajderach? — z trudem wymawiając słowa zapytał Ego.

— Nawet ekran siłowy nie chroni przed Nimi — powiedział Royd. — Po co więc glajdery.

— Jesteśmy tu jak muchy na czystym stole, mucha, nad którą zawisa gotowa do uderzenia ręka — mruknął Stis. — Gdzie się nie ruszysz, i tak przytrzaśnie.

— Wypadków pełnego zniszczenia baz nie było. Jesteśmy po prostu wypierani. Chodźmy, Ego, wesółku. Jeszcze zaśpiewamy twoją piosenkę — Bimon wyprostował się. Uśmiechał się pokazując nieskazitelnie białe zęby.

— Weźmiemy blastery? — zapytał Ego. — Jakoś pewniej z nimi.

— Weźmiemy... choć jak mi się zdaje, nie będziemy mieli z nich żadnego pożytku. Ale skoro będziesz się czuć z nimi pewniej, weźmiemy. Ja zawsze no-



sze ze sobą to — rozpiął kołnierzyk koszulki. Na jego piersiach, na cieniutkim łańcuszku, wisiało coś w rodzaju medalu.

— Amulet? — uśmiechnąwszy się krzywo zapytał Stis.

— Sybilla...

Mogła to być żona, narzeczona, przypadkowa znajoma, a nawet córka. Royd nic nie powiedział, pomyślał tylko, że on nigdy nie miał czegoś takiego. A szkoda.

Stis usiadł przy pulpicie sterującym siłowymi polami ekranizującymi. Dziesięciometrowy klosz z takiego pola przykrywał Ega i Bimom. Ani jedno żywe stworzenie nie mogło przezeń przeniknąć, ani jeden przedmiot. Kiedy Bimon uśmiechnął się, Stisowi zrobiło się lżej na duszy. Trzeba trzymać się w garści, nie rozklejać. Dopóki mężczyźni szli po trawie, sterowanie siłowym kloszem nie stanowiło żadnego problemu. Ale jeśli wejdą w las... Zresztą nie wejdą. Powinni dojść jedynie do jego skraju.

Royd manipulował dźwigienkami sterującymi aparaturą analizującą. Jeśli to coś obcego, wrogiego pojawi się obok Ega i Bimona, powinien zmienić się obraz pól fizycznych. Jeśli to myśląca materia, powinny wystąpić anomalie w polu świadomości. Obraz pól fizycznych nie zmieniał się, jeśli zaś chodzi o pole świadomości, to sprawa była bardziej skomplikowana. Myśli zdenerwowanych ludzi deformowały pole.

Bimon szedł nieco w przedzie. Ego ledwie nadążał za nim. W rękach każdego z nich znajdował się blaster. Dwie wysokie figury na tle szkaradnego lasu. Bimon jest szerszy w ramionach. Jego krok jest dłuższy i pewny. Ego z przyjemnością idzie za nim, dobrze jednak byłoby wysunąć się do przodu, gdyż za plecami obrzydliwy chłodek. Zresztą wszystko jedno — i tak zaraz coś się stanie. Zdradziecka cisza. Bimon opędza się od jakichś skaczących na wysokość, człowieka owadów.

Ego pozostał o dziesięć kroków w tyle za Bimonem i znów, jak na statku, poczuł, jak osacza go coś lepkiego, nieprzyjemnego. Znów zaczyna się tortura strachu. To coś znęca się nad nim, bawi się nim jak kot myszą.

Oto Bimon zwolnił kroku.

— Bimon poczekaj...

Idący w przedzie mężczyzna zatrzymał się, obejrzał. Twarz Ega pokrywała bladeść.

Tam na statku Stis wyszeptał:

— Zniknąć by...

— Ty się śmiejesz, Stis — z trudem wymawiając słowa powiedział Royd.

Ego podniósł ręce, jakby przysłaniał głowę. Bimon ruszył w jego stronę oglądając się na las. W tej samej chwili rozległo się głośnie: — Cha-cha-cha

I tak kilka razy. Znikąd i od razu zewsząd.

Ego nie wytrzymał i nacisnął spust blastera. W zenit poleciała krótka błyskawica. Ego jakby stracił głowę, kręcąc się w miejscu ciął powietrze błyskawicami.

Chichot ustał.

— Co to mogło być? — wciąż jeszcze trzęsąc się ze zdenerwowania zapytał Ego. Lewą ręką ocierał pot z czoła. — Rozumiesz, zniknęło! Zabiłem To! Zabiłem To! Prawda, Bimon?

— Nie wiem — odpowiedział Bimon.

Napięcie minęło.

Analizatory pól fizycznych obsługiwane przez Royda nie zareagowały. Nie było to więc nic materialnego, może jakieś nie znane ludziom fale, gdyż pole świadomości zdeformowało się. Ale deformację tę mógł wywołać strach ludzi, gdy usłyszeli chichot.

Bimon splunął, pokręcił się w miejscu i powiedział:

— Strach ma wielkie oczy. To po prostu mogło być jakieś zwierzę. Przecież tu muszą być jakieś zwierzęta. Co o tym myślisz, Royd?

— Duże zwierzęta to tu są, ale czy potrafią one chichotać, czy też nie, tego nie wiemy — odpowiedział Royd.

— Chciałbym, żeby to było To — powiedział Ego. Niechby to było To. Wiedzielibyśmy przynajmniej, że boi się blastera.

— A noża, kamiennego topora nie? — zapytał z ironią Bimon.

— Nie wierzysz, że To można zabić? — krzyknął Ego. Patrz. Jeśli jeszcze raz się pojawi, będę strzelać.

Odwracał się to w jedną, to w drugą stronę przyciskając do piersi Master. Znów za plecami wyczuł czyjąś obecność. Znieruchomiał zobaczywszy rozszerzone oczy Bimona, który spoglądał gdzieś za jego plecy.

Skrajem polany przemknął niewyraźny, wciąż zmieniający wielkość — to malejący, to znów rosnący — cień.

W oczach Bimona pojawił się strach, na który zareagowały analizatory Royda.

— Jakież pole? — z nadzieją w głosie zapytał Stis.

Royd pokręcił przecząco głową.

Ego poczuł, jak za jego plecami wyrasta gotowy do skoku potwór. Ego był młody i wciąż jeszcze bardzo niedoświadczony.

Bimon zobaczył nagle, jak nieokreślony cień ukształtował się w pięciometrowego, gotowego do skoku gada, i bez namysłu nacisnął spust blastera. Ale nim to zrobił, Ego padł na szorstką, kłującą trawę, gdyż wydało mu się, że w pobliskich krzakach ktoś mierzy w jego plecy z dokładnie takiego samego blastera jak ten, który trzymał w ręku.

Bimon wystrzelił, ale nie trafił, gdyż nie było w co trafić. Zwierzę zniknęło. W tej samej chwili zza krzaków ktoś wypalił do niego z blastera. Błyskawica przeszła nad leżącym Egiem i osmaliła policzek Bimona. Bimon odskoczył w bok zamierzając strzelić jeszcze raz, ale Stiś uprzedził go.

W miejscu, z którego tylko co ktoś strzelał, powstał kawałek wypalonej pustyni. Ego nie widział tego, usłyszał tylko salwę dział „Kleopatry”, która potwierdzała, że tam rzeczywiście ktoś był.

Bimon ruszył przed siebie. Napięcie i strach nie mijały. Potrząsnął Egiem, podniósł go i postawił na nogi.

— Zobaczę, co tam — powiedział do Royda.

— Nie ma tam na co patrzeć — odpowiedział Royd. Jedną ręką trzymając się za piersi Ego nagle ruszył przed siebie silnie pochylony, jakby go mdliło. Bimon usiłował go zatrzymać, gdyż było rzeczą jasną, że chłopak nie wie, co robi.

— Ego, opamiętaj się! — krzyknął.

— Puść, zabiliśmy człowieka...

Bimon złapał towarzysza wpół chcąc go siłą odprowadzić na statek, ale Ego też był silny. Mężczyźni upadli i potoczyli się po trawie. I wtedy Bimon pośrodku pustyni, którą zrobili, zobaczył coś podługowatego i krzyczącego. Na moment puścił Ega, ten wykorzystał jego zmieszanie, poderwał się na równe nogi i biegiem rzucił się w stronę dziwnego przedmiotu.

— Co to, Royd? — zapytał Bimon podnosząc się.

Royd z trudem poruszając ustami powiedział:

— Człowiek...

Bimon rzucił się za Egiem.

Na czarnej ziemi leżał człowiek w dziwnej odzieży. Jeszcze oddychał, ale było widać, że umiera. Ego opadł na kolana, rzucił blaster i rozerwał koszulę na piersiach ranego.

— Skąd on się tu wziął? — sam siebie zapytał Bimon, któremu rysy twarzy tego człowieka wydały się dziwnie znajome.

— Wracajcie na statek! — rozkazał Royd.

Na lewej piersi człowieka czerniał otwór, z którego wypływał strumyczek krwi.

— Umarł — powiedział Ego. — Bez względu na to, kim Oni są, umierają jak ludzie. Zabiłem człowieka, Bimon. Jak to się mogło stać?

— To nie ty. Strzelano ze statku. Ty nawet nie podniosłeś blastera. — Upadłeś i leżałeś tyłem do niego.

— Zabiłem go. Wiem na pewno. — Ego wstał z kolan, złapał blaster i chwiejnym krokiem ruszył w stronę lasu.

— Bimon, zatrzymaj go! — krzyknął Royd.

Okrzyk ten usłyszał również Ego. Odwrócił się plecami do lasu, podniósł blaster na wysokość piersi i naprowadził go na Bimona.

— Nie podchodź, słyszysz? Już zabiłem jednego człowieka. Mogę i drugiego.

— Co ty, Ego? — wyszeptał Bimon robiąc kilka kroków w bok. — Co ty?

Cofając się Ego doszedł do lasu i skrył się w zaroślach. Bimon rzucił się za nim odbijając nieco w lewo.

Ego myślał tylko o jednym, o tym, że zabił człowieka. I znów ogarnął go strach. Strach, że ten człowiek nie był sam. On nie mógł być sam! Jest ich wielu. Nie wybaczą mu, za nic nie wybaczą. Podniósł głowę. Szło ich pięćdziesięciu, jak na spacerze, uśmiechniętych, rozbawionych.

Dlaczego nie mają broni? — pomyślał Ego i uśmiechnął się. — Po co im broń? Oni mają coś o wiele lepszego.

Runął na trawę, drapiąc i wyrywając ją palcami, i wyszeptał:

— Nie mogę. Nie mogę więcej.

Bimon zobaczył upadek Ega i podchodzących doń nieznajomych. Ich postacie nagle rozmazały się i zaczęły rozplýwać. W chwilę później obcy zniknęli. Wraz z nimi zniknął Ego. Bimom którego nikt nie zauważył, pozostał jeszcze chwilę w miejscu, następnie podszedł do miejsca, w którym zniknął Ego, podniósł blaster i powiedział do Royda:

— Zostało nas trzech... Ego nie wytrzymał — i ruszył w stronę statku o niczym nie myśląc i machinalnie przestawiając nogi.

... Ego wypadł na granitowy trotuar u stóp wcale tym nie zdziwionych przechodniów. Wstał, spróbował strząsnąć z siebie pył i brud, machnął na to ręką, podszedł do automatu, dużymi łykami wypił dwie szklanki chłodnego przyjem-

nego płynu i wezwał awionetkę. Po kilku sekundach już leciał nad miastem w kierunku budynku Rady.

Powrót ze świata strachu w ten znajomy, jasny, wesoły świat był tak szybki i przyjemny, że nie wytrzymał i zaczął szlochać.

Z ogromnej poczekalni spróbował od razu wejść do przewodniczącego, ale nie wpuszczono go.

— Jestem członkiem ekspedycji na Agrikolę — oznajmił z wyrwaniem w głosie. — Statek „Kleopatra”. Ego.

— Dokąd się pchacie? — zapytano go.

— Oni już tam są, chciałem bez zwłoki zawiadomić o tym Radę.

— Tylko po to wróciliście?

— No nie... — zmieszał się Ego. — Po prostu nie wytrzymałem.

— Popatrzcie na tych ludzi.

Ego obejrzał się. W sali znajdowało się ze dwustu ludzi. Wielu było nieogolonych, w poszarpanej brudnej odzieży. Niektórzy trzymali jeszcze w rękach blastery.

— Oni także nie wytrzymali... Wracacie z gwiazd jak groch. To pojawiło się już w odległości osiemdziesięciu parseków od Ziemi.

Ego zrozumiał, co go zdumiewało w twarzach tych ludzi. Wstyd. Jemu samemu też było niesamowicie wstyd.

— Ja mogę jeszcze raz... Tym razem nie...

— Wszyscy chcą! Zajmuje się wami specjalna komisja.

Człowiek odszedł, ale Ego zdążył usłyszeć:

— Wrócili prawie wszyscy...

Ego usiadł na końcu kolejki. Powracający, a raczej katapultujący się z gwiazd, bo tak ich powszechnie nazywano, siedzieli nieruchomo, nie odzywając się do siebie słowem. Jednego po drugim wzywano przed komisję.

Ego usiłował zebrać myśli: po pierwsze, on — nieśmiertelny! — stchórzył, przestraszył się śmierci. A przecież nie może umrzeć! Po drugie, zdradził swoich towarzyszy. Po trzecie, nie dowiedział się, co to takiego. Też ludzie? Po czwarte, już nigdy nie poślą go do gwiazd.

Bimon z hałasem wtargnął do sterówki statku i rzucił na podłogę blastery. Royd chyba tego w ogóle nie zauważył. Jakby nic się nie stało, krzątał się przy analizatorach pól.

Stis nie wytrzymał i powiedział:

— On się katapultował na Ziemię...

— Nie próbuj źle o nim myśleć! — z wyzwaniem w głosie powiedział Bimon. — Jeszcze nie wiadomo, jak my postąpimy. On w każdym razie chciał się rozprawić z Nimi.

— Zwariowałeś?!... Nikt nie myśli o nim źle.

— Opowie na Ziemi, że Oni już się tutaj pojawili — kontynuował Bimon. — A to już coś.

— Właśnie — powiedział Royd, który wreszcie oderwał się od swych analizatorów. — Ego wykonał pierwszą część programu. Nasz powrót bez ważnej przyczyny nie miałby teraz sensu.

— Wcale nie myślałem o powrocie — powiedział Bimon.

— A ja tak — mruknął Stis. — Podświadomie. Wiem, że tego nie wolno zrobić, a mimo to nie opuszcza mnie myśl: „Na Ziemię, na Ziemię”.

— To niedobrze. Tak nie wolno — powiedział Royd. Lepiej zrób to od razu.

— Ale przecież jesteście jeszcze wy. Bez was nie wrócę. Sam też za nic bym tu nie został.

— O czym ty mówisz?! — uśmiechnął się Bimon. — Przecież każdy z nas ma w kieszeni ostatnią deskę ratunku. Porozmawiajmy lepiej o tym, co tu się wydarzyło. — Usiadł w swym fotelu i założył nogę na nogę. W jego pozie było tyle niezależności i wyzwania, że Royd uśmiechnął się, a Stis powiedział

— Zdaje się, że To się cofnęło.

Chyba tak było, gdyż wszyscy czuli się swobodniej.

— No więc co tam mamy? — zapytał Bimon.

— Podsumujmy fakty — zaproponował Stis.

— Zgadzam się, choć niezbyt ich wiele — powiedział Royd. — Po pierwsze, nie jest to żadne ze znanych nam pól materii. Mimo to nie ośmieliłbym się przypuszczać, że jakieś nieznane pola jeszcze istnieją.

— Ale przecież to się nam nie śniło, prawda?! — z lekkim rozdrażnieniem w głosie powiedział Bimon. — Przecież to wszystko miało miejsce!

— W tym właśnie cały problem, że miało miejsce odpowiedział Royd. — Kiedy idziesz po trawie, zmiany pól fizycznych są tak nieznaczące, że nie rejestruje ich żadna aparatura i nie uwzględnia żadna z teorii. Kiedy strzelasz z blastera, aparatura to rejestruje. Kiedy statek przechodzi przez trójwymiarową przestrzeń, niepotrzebna jest żadna aparatura. Jest to zauważalne i bez niej. Ale jak To może pojawiać się i znikać nie naruszając struktury przestrzeni?

— Wystrzelony z krzaków ładunek przeszedł poprzez ekran — powiedział Stis — choć to niemożliwe, gdyż był to zwykły wystrzał, a pocisk z blastera nie jest w stanie przebić siłowego ekranu.

Bimon ostrożnie dotknął prawego policzka.

— Policzek jest osmalony. To widać — powiedział Royd. — Niematerialny wystrzał nie jest w stanie osmalić policzka. Mimo to aparatura niczego nie zarejestrowała.

— A pole świadomości? — zapytał Bimon.

— To samo. Strach, który nas ogarnął, zakłócił wszelkie informacje, jeśli takowe w ogóle istniały. Gdyby Oni pojawili się wtedy, kiedy wszyscy są spokojni, być może udałoby się zarejestrować.

— Możemy spróbować — zaproponował Bimon. Będziemy czekać. Czasu mamy dość.

— Sądzę, że to nic nie da — powiedział Stis i uśmiechnął się krzywo. — Najpierw pojawia się strach, niezrozumiały, niewytłumaczalny, a dopiero po nim Oni.

— Wygląda na to, że Stis ma rację — skinął głową Royd. — Oni oddziałują na nas strachem, przygotowują na to, że nie będziemy w stanie oprzeć się, i dopiero wtedy się pojawiają.

— Ale przecież my się jeszcze opieramy — powiedział Bimon.

— Odparliśmy ze stratami pierwszy statek — patrząc Bimonowi w oczy powiedział Royd. — A będzie jeszcze drugi, dziesiąty...

— ... i w pewnym momencie nie będzie się miał kto opierać — dokończył Stis.

Przez plecy ludzi przebiegł dreszcz.

— Missisipi, rzeko moich przodków! — zaśpiewał głośno Bimon. Potem zamilkł i powiedział cicho: — To była ulubiona pieśń Ega.

Stis popatrzył na niego ze zdziwieniem, a Royd ze zrozumieniem pokiwał głową.

Zrobiło się ciut lżej.

— Chcecie kawy? — zapytał Stis.

— I kanapkę z serem — powiedział Royd.

Stis pewnym krokiem wyszedł ze sterówki, ale jego ręka nie od razu znalazła klamkę.

— Co z nim? — zapytał Bimon.

— Nie chce się poddać strachowi.

Stis wrócił z tacą, ale postawił ją na stoliku w pobliżu drzwi, żeby nikt nie zauważył, jak porozlewał kawę. Dał każdemu po kanapce i filiżance kawy. Przez kilka sekund pili w milczeniu, potem Bimon powiedział:

— No więc czym dysponujemy?

Kilkanaście sekund ciszy.

— Nie wiemy wprawdzie, co to takiego — powiedział Royd — ale, zawsze coś już o Nich wiemy.

— Na przykład? — zapytał Bimon.

— Że przed Ich pojawieniem się ogarnia nas strach. Że wszystko zaczyna się od strachu.

— To należy uznać za udowodnione — stwierdził Stis. — Po drugie, że Oni mogą przyjmować dowolne kształty. Od zwierzęcych do ludzkich. Przez przypadek czy też nie, w każdym razie zabiliśmy jednego osobnika, który był bardzo podobny do człowieka.

— I zniknął?! — zaproponował Bimon.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Że On nie umarł. Że tak jak my katapultował się, gdy Jego życie znalazło się w niebezpieczeństwie. Było Ich tam pięćdziesięciu i wszyscy zniknęli. Wiadać mogą błyskawicznie przenosić się w przestrzeni w obie strony.

— Dobrze — zgodził się Royd. — Zakładamy, że to Ich trzecia cecha.

— To, że mogą Oni przyjmować ludzkie kształty, wcale jeszcze nie świadczy o tym, że tak naprawdę wyglądają powiedział Stis. — Oni to robią dla nas. Wiedzą, że nie jesteśmy w stanie strzelać do ludzi.

— Niech to będzie po czwarte — kiwnął głową Royd. Choć wydaje mi się to naiwne. W takim wypadku lepiej dla Nich byłoby pojawiać się w postaci dzieci.

— Royd! — krzyknął Stis. — Nie podpowiadaj Im tego!

— Sądzisz...

— Jestem przekonany, że dowiadują się, jakie są nasze słabe punkty, od nas samych.

— Niech to będzie po piąte.

Wszyscy milczeli z minutę, potem Bimon powiedział:

— Pamiętajcie, kiedy wyszliśmy z Egiem ze statku, ktoś chichotał. Kto to mógł być? Ego jest młody i niedoświadczony, a wszyscy wiemy, że żadne z żyjących na Agrikoli-4 zwierząt nie potrafi się śmiać. Tak twierdzą raporty. Skąd wziął się ten śmiech? Którego z nas mógł on przestraszyć?

— A ty się nie przestraszyłeś? — zapytał Stis.



— Owszem, wzdrygnąłem się. To było tak nieoczekiwane... Miałem napięte nerwy. Wzdrygnąłbym się nawet wtedy, gdybym nastąpił na gałązkę, ale nie bałem się.

— Ego mógł się przestraszyć — powiedział Royd.

— Znów go odsądzasz od czci i wiary — powiedział z niezadowoleniem Bimon.

— Tak było — powiedział Royd. — Ego przestraszył się. Był najmłodszy z nas.

— Chcesz przez to powiedzieć, że niepotrzebnie braliśmy go na ekspedycję? — zapytał Bimon.

— Wcale nie — odpowiedział Royd. — Bardzo mi przykro, że nie ma go z nami. Mógł przeżywać wszystko o wiele subtelniej i głębiej niż my.

— Ale skąd wziął się ten śmiech? Kto w tym czasie myślał o śmiechu? Czyżby Ego?

— Ja nie myślałem o śmiechu — powiedział Stis.

— I mnie nie było do śmiechu — stwierdził Royd. — Zaraz. Rzeczywiście nie było mi do śmiechu, ale powiedziałem: „Ty się śmiejesz, Stis”. W chwilę później rozległ się śmiech.

— A więc to my Im podpowiedzieliśmy — mruknął Stis. No dobrze, a kto Im podpowiedział potwora na skraju lasu?

— Ja nie — powiedział Royd.

— Mnie by to nigdy nie przyszło do głowy — uśmiechnął się Bimon. — Sądzę, że tego potwora zawdzięczamy Egowi.

— To prawdopodobne — zgodził się Royd. — Ale skąd ten strzał? Dlaczego tam się znalazł człowiek? Znów Ego? Jeśli to wszystko zawdzięczamy Egowi, to wielka szkoda, że nie ma go z nami... Skąd tam się wziął człowiek? Dlaczego?

— Rzeczywiście, dlaczego? — powiedział Stis. — Przecież nie powinno było go tam być.

Royd i Bimon spojrzeli na Stisa.

— Przecież po salwie z „Kleopatry” powinno tam pozostać jedynie spalona ziemia.

— Masz rację — powiedział Royd.

— To jeszcze nie wszystko — pochwycił Bimon. — Zupełnie o tym zapomniałem. Przecież On miał maleńką rankę na lewej piersi. To znaczy, że nie zabiła go salwa „Kleopatry”. Ani ja, ani Ego nie strzelaliśmy do niego. Ego leżał,

a ja po prostu nie zdążyłem... Coś mnie zdumiało w twarzy tego człowieka, ale wszystko odbyło się tak szybko, że nie pamiętam co.

— Włączmy aparaturę dokonującą wideozapisu i obejrzymy wszystko jeszcze raz — zaproponował Royd.

Stis spróbował uśmiechnąć się. Widać było, że nie chce wracać do przeżytego strachu.

Royd skierował się ku pulpitowi sterownicemu, w tej samej chwili zaterkotał brzęczyk. Było to tak niespodziewane i niewytłumaczalne, że ludzie potracili głowy.

Brzęczyk zadzwonił już kilka razy. Royd wciąż nie był w stanie uruchomić aparatury łącznościowej, choć ktoś ich wywoływał. Pryśła cienka ochronna ściana i do statku wtargnęło coś nieznanego i straszego.

Royd włączył w końcu aparaturę i roześmiał się z ulgą, kiedy usłyszał w głośnikach:

— Mówi automatyczny statek łączności SK 12-12. Proszę potwierdzić odbiór.

Po pięciu sekundach znów to samo.

— Przecież to automat z Ziemi! — krzyknął Stis.

— Tak... — powiedział Bimon. — Automat z Ziemi leci tu cały miesiąc. Cóż takiego chcą nam oznajmić? Przecież nie przysyłałiby automatu ot tak sobie.

— Potwierdzam odbiór — powiedział wyraźnie Royd. — „Kleopatra” potwierdza odbiór.

Automat zaczął odczytywać tekst komunikatu:

— Komisja, która przygotowywała „Kleopatrę” do lotu, informuje, że system katapultujący został uszkodzony i jeden z członków załogi nie jest nieśmiertelny. Nie może się katapultować na Ziemię. — I raz jeszcze: — Komisja, która przygotowywała...

Wiadomość ogłuszyła mężczyzn. Przecież wyruszyli w kosmos tylko dlatego, że wiedzieli, iż w każdej chwili, w dowolnym momencie, mogą wrócić na Ziemię. Byli święcie przekonani, że nie zginą w kosmosie, że w ostatniej chwili śmiertelnie ranni czy też bliscy obłądu znajdą się na Ziemi. W najlepszej klinice, w swoim mieszkaniu, w cichym lesie czy też na ulicy, tak jak to miało miejsce w przypadku Ega. Że dożyją późnej starości. Bo ludzie nie byli nieśmiertelni w pełnym znaczeniu tego słowa. Tylko w kosmosie nie mogło się im przytrafić nic

złego. Tylko tam system katapultujący skutecznie chronił ich przed niespodziankami.

— Oni tam powariowali! — krzyknął nienaturalnym głosem Stis.

— Co za historia — wyszeptał Bimon.

Dobrze, jeśli to ja — pomyślał Royd. — Oni są jeszcze tacy młodzi. — A na głos powiedział:

— Do automatu: informacja przyjęta. Zezwalam na start na Ziemię.

Automat potwierdził odbiór i połączenie zostało przerwane. Statek łącznościowy wystartował na Ziemię.

— Dlaczego oni nie wysłali po nas statku ratunkowego?! — zapytał Bimon.

Jego twarz pobladła, a fala strachu już poraziła umysł. Nie przypominał teraz tego śmiałka, który szedł przed Egim.

— Przyślą — powiedział cicho Royd. — Na pewno przyślą. Statek już wyleciał z Ziemi.

— Skąd wiesz? — siląc się na uśmiech z niedowierzaniem zapytał Bimon.

— Jestem pewny, że statek ratunkowy wyleciał, gdy tylko dowiedzieli się o awarii w systemie katapultującym. Ale...

— ...ale — dokończył za niego Stis — trzeba będzie czekać na niego jeszcze dwa miesiące. I to ma nas uspokoić? Lepiej, żebyśmy o tym nie wiedzieli. Pozostali dwaj mogliby się przynajmniej z czystym sumieniem katapultować...

— A trzeci? — zapytał Bimon.

— A trzeci i tak zginie — odpowiedział Stis. — Nie wytrzyma tu więcej niż kilka dni.

— Rzeczywiście. Po co nas uprzedzali — zauważył Royd.

— Potrzebowali aż dwóch miesięcy na wykrycie awarii — powiedział Stis.

— Czy to trochę nie za dużo? Kto się teraz odważy polecieć w Daleki Kosmos?

— Znajdą się tacy — odpowiedział Bimon.

Musiał to powiedzieć, żeby pozbyć się strachu, żeby choć przez chwilę czuć, że jest człowiekiem. Za wszelką cenę starał się nie myśleć o tym, że awaria nastąpiła właśnie w jego systemie katapultującym. Udało mu się poradzić z samym sobą. Zrozumiał to i uśmiechnął się. Dlaczego z „samym sobą”? Z sobą poradziłby sobie bez trudu. Ale jak poradzić sobie z Tym?

Stis spojrzał na Bimona i Royda. Z Bimonem był w kosmosie po raz pierwszy. Z Roydem latał już dziesięć lat. Żaby tak wiedzieć, kto pozostanie na tej planecie... Jeśli to on, Stis, nie warto tracić czasu. Najlepiej od razu rozstać się z życiem.

Ale jeśli to ktoś inny? I Stis podjął decyzję.

Royd miał nadzieję, że to właśnie jego system katapultujący zepsuł się. Przecież w tragediach i nieszczęśliwych wypadkach musi być jakaś celowość. Tylko on powinien tu zostać. Tych dwóch wróci na Ziemię. I trzeba zrobić tak, żeby nie wrócili z pustymi rękami. I Royd podjął decyzję.

Żeby tylko nie stracić przytomności — pomyślał Bimon. Przytomny nigdy stąd nie odejdzie. Bądź to dlatego, że jego system nawalił, bądź też dlatego, że nie będzie w stanie zostawić kolegi samego. I Bimon podjął decyzję. Ich decyzje były właściwie identyczne. Ale Stis bał się przystąpić do realizacji swej, Bimon wahał się, a Royd był pewny, że wszystko pójdzie po jego myśli.

Sytuacja niezbyt przyjemna — pomyślał Royd. — Gdyby „Kleopatra” mogła startować na Ziemię, nie wahałbym się ani chwili. Ale po wynalezieniu systemu katapultującego statki zwiadowcze lecą tylko do gwiazd. Z powrotem załogi wracają bez statków... Nie możemy przeprowadzić eksperymentu, aby wyjaśnić, który z nas tu zostanie, a więc nie mamy wyboru — musimy kontynuować pracę.

— Proponuję, byśmy obejrżeli wideozapis wyjścia Ega i Bimona ze statku — powiedział.

— Trzeba coś zrobić — Bimon podszedł do pulpitu sterowniczego. — Ta informacja wytrąciła nas z równowagi... Włączam zapis.

Zobaczyli, jak Bimon i Ego wyszli ze statku, jak Ego ciął błyskawicami powietrze, jak na moment na skraju polany pojawiło się widmo ogromnego potwora.

— Uwaga! — powiedział Bimon. — Zaraz zaczną się dziać dziwne rzeczy.

Tam na ekranie Ego upadł na ziemię, ktoś wystrzelił na skraju lasu, Bimon złapał się za osmolony policzek. Salwa z „Kleopatry”.

— Daj powiększenie — poprosił Royd.

Na spotkanie ludziom pomknął krąg wypalonej ziemi. Prawie w samym centrum tego kręgu leżał człowiek z blasterem. Był on żywy i całkiem zdrow.

— Kiedy podbiegliśmy do niego, już nie żył! — krzyknął Bimon.

— Poczekaj — pohamował go Royd.

Człowiek nagle szarpnął się, upuścił blaster, zgiął się i znieruchomiał. Po kilku sekundach podbiegli do niego Ego i Bimon.

— Cofnij — poprosił Royd — i pokaż nam twarz Ega, kiedy leży na ziemi.

Bimon spełnił jego prośbę. Twarz Ega była skażona strachem. Trwało to sekundę, nie dłużej. Potem jej wyraz zmienił się. Teraz był na niej żal, jakby Ego niechcący popełnił przestępstwo.

— A teraz pokaż nam jednocześnie twarz Ega i tego człowieka — jeszcze raz poprosił Royd.

Człowiek upuścił blaster w tej samej chwili, w której zmienił się wyraz twarzy Ega.

— Chciałbym wiedzieć, o czym myślał Ego w tym momencie — powiedział Royd.

— Chyba wiem, do kogo jest podobny zabity — powiedział Stis, który do tej pory milczał. — On jest podobny do Ega. To dokładna kopia Ega. Czyżbyście tego nie zauważyli?

— Zgadza się, on jest podobny do Ega — wyszeptał Bimon. — Teraz dopiero przypominam sobie, co mnie zaskoczyło w wyrazie jego twarzy. On rzeczywiście był podobny do Ega.

Obejrzeliby do końca zapis.

— Grupa obcych zniknęła razem z Egiem — stwierdził Royd.

— Co zrobimy, jeśli oni wykorzystali falowód, który wytworzył system kapultujący Ega? — zapytał Stis.

— Falowód może przenieść w przestrzeni tylko jednego człowieka — powiedział Bimon. — Inaczej byłiby już na Ziemi.

— Szkoda, że nie ma z nami Ega — powiedział Royd. — On miał taką bujną wyobraźnię.

— Był młody i niedoświadczony — stwierdził Stis.

— Być może tego właśnie nam brakuje.

— Zauważyliście, że całe to diabelstwo skończyło się po kapitulacji Ega? — zapytał Stis.

— Masz na myśli człowieka, wystrzał, potwora? To nie jest najstraszniejsze. Bardzo bym się cieszył, gdybym znalazł się na planecie, na której roi się od tych gadów. Człowiek wiedziałby przynajmniej, co ma robić. Z ludźmi również można się porozumieć. A z czym się zetknęliśmy wśród gwiazd? Czort wie. Jest rzeczą niemożliwą, by ten człowiek był dokładną kopią Ega. Jestem przekonany, że to tylko parawan.

A po chwili milczenia dodał:

— Wyjdę jeszcze raz ze statku. Trzeba obejrzeć bazę.

— Pójdiesz sam? — z niedowierzaniem zapytał Stis.

— Sam. Nie braknie wam tu roboty. Po prostu przespaceruję się. Obserwujcie wskazania swoich przyrządów.

— Ładny mi spacer — mruknął pod nosem Stis.

Bimon wyszedł ze statku wyśpiewując jakieś stare murzyńskie pieśni. Szedł w rozpiętej kurtce wystawiając pierś na działanie promieni słonecznych; był bez blastera, a z góry nie chroniło go żadne pole siłowe.

— A jeśli to właśnie jego... — zaczął Stis i nie dokończył. Ale Royd zrozumiał go.

— Nie dowiemy się tego, dopóki nie wrócimy na Ziemię. Sądzę jednak, że to nie jego.

— Twój?

Royd ledwie zauważalnie skinął głową.

— A jeśli mój? — zapytał Stis. — Przez cały czas zastanawiam się, jak to sprawdzić... Dlaczego oni nie powiedzieli nam, który z nas nie jest nieśmiertelny?!

— Wiele pytań, Stis... Dopóki nie ma Bimona, spróbuj katapultować się na Ziemię. Jeśli się nie uda, jeśli się okaże, że to jednak ty, obiecuję, że nie zostawię cię tu samego Bimon nie dowie się o niczym.

— Boję się nawet tego.

Royd wyjął ostrożnie z aparatury rejestrującej rolki z filmami i zapisami wskazań przyrządów, starannie owinał je cienką przezroczystą taśmą i podszedł do Stisa.

— Nie — powiedział Stis. — Boję się. Niewiedza rozdziera mój mózg, ale i na Ziemię nie mogę wrócić. Wszystko we mnie zamarzło. Zimno, zimno. Niedobrze, Royd.

— To nic, przyjacielu. Jeszcze nieraz polecimy razem.

— Już nigdy nie wybiorę się w Daleki Kosmos, Royd.

Stis zwałił się piersią na pulpit sterowniczy. Royd chciał go szarpnąć za ramię, ale rozmyślił się i wsunął do kieszeni jego kurtki pakiet z rolkami taśm.

Bimon szedł po krótkiej suchej trawie szeleszczącej pod nogami. Przez cały czas miał wrażenie, że ktoś go obserwuje. Obecność tej wrogiej siły wywoływała strach. Bimon starał się nie poddać mu. Zaczynał instynktownie czuć, że dopóki się trzyma, dopóki nie zalała go fala strachu, nic mu się nie stanie. Starał się iść równym krokiem. W jego chodzie była spokojna niedbałość, a nawet za-

wadiackość. Dopiero przyjrząwszy mu się uważnie można się było domyślić, ile go to kosztuje.

Im dalej był od statku, tym trudniej mu się szło. Po głowie coraz uporczywiej chodziła myśl: a jeżeli to ja? Bimon nie chciał umierać. Kto ma ochotę umrzeć?

Im dalej był od statku, tym rozpaczliwiej walczyła jego świadomość ze strachem, tym mniej pewny stawał się jego krok. Ale wciąż jeszcze szedł przed siebie.

Baza była standardową termoplastyczną konstrukcją, pewną i hermetyczną. Bimon znał kod zamku. Kiedy go wykręcił, drzwi otworzyły się szeroko. Wewnątrz stacji było chłodno i cicho. Ledwie słyszalnie buczały urządzenia klimatyzacyjne. Lampy zapalały się automatycznie, kiedy zbliżał się do nich. Bimon szybko przeciął hall, szeroką salę z fotelami, z półkami na książki, niewielkim barem i elektronowymi organami. Dalej był korytarz, a po jego obu stronach pokoje, w których nikt nigdy nie mieszkał. W końcu tego korytarza znajdowały się laboratoria. Stały w nich automaty, badające planetę, maszyny liczące i inny sprzęt.

Bimon już prawie biegł. Żeby tylko zdążyć zabrać rolki z zapisami automatów, żeby tylko zdążyć wrócić na statek! Bardzo chciał wrócić na statek, choć doskonale wiedział, że nie jest tam bezpieczniej niż tu.

I nagle zrozumiał, że umarł. Umarł w męczarniach z jedną jedyną myślą, że umarł. Umarł w męczarniach z jedną jedyną myślą, że umiera, z koszmarami agonii i zwierzęcym strachem przed nieuniknioną śmiercią. Gdyby mógł przeanalizować swój stan, zdałby sobie sprawę z tego, że po śmierci nie można powtórnie umierać, ale niestety nie mógł.

— Stis! Rozkazuję ci wracać na Ziemię — krzyknął Royd. On także walczył ze śmiercią i strachem, rozumiejąc nagle, że to porażona strachem wyobraźnia Stisa podsunęła im nową torturę. Że Oni nie omieszkali wykorzystać strachu Stis wzmocniwszy go stokrotnie zaatakowali wszystkich trzech. I że tylko on jeden jeszcze się trzyma.

— Stis, rozkazuję ci...

— Nie... nie...

— Stis!

— To tchórzostwo... Strach...

— ...rozkazuję...

Strach dodał nagle sił Stisowi i otepił jego umysł. Wiedział teraz tylko jedno: trzeba natychmiast ustalić, który z nich tu zostanie.

Dziesięć raty umierał, zanim utwierdził się w swym postanowieniu. Dziesięć razy umierali Bimon i Royd.

— Przecież temu, który zostanie, i tak pisana jest śmierć... Wyprawię cię na Ziemię. — Rzucił się do Royda. — Musisz stracić przytomność, by znaleźć się na Ziemi. Muszę cię uderzyć, Royd.

— Rozkazuję... na Ziemię — wyszeptał Royd. — Twój strach zabije nas.

— Muszę cię uderzyć.

Walczyły w nim teraz strach przed śmiercią i strach przed zdradą. Wahał się jeszcze przez chwilę, a potem z całych sił uderzył Royda. Royd przewrócił się wraz z fotelem, w którym siedział. I wtedy Stis opamiętał się. Ukląkł obok starego człowieka, zaczął obmacywać jego głowę i ciało. Wydawało się, że Royd już nie oddycha. Z jego ust wyciekła strużka krwi.

— A więc to on. To on tu zostanie.

Bimon zataczając się podniósł się z podłogi laboratorium.

— Royd ! — zawołał cicho.

Nikt nie odpowiedział.

— Royd! Stis! — zawołał głośno, tak głośno, jak mógł. Stis zaczął się histerycznie śmiać.

— Słyszysz mnie, Bimon?! To był jednak on! On! On! Royd poruszył się. Stis ze strachem spojrzał na starego człowieka. Mężczyzna wydobył się z fotela i bez słowa podszedł do leżącego na podłodze blastera. Wziął go i ruszył w stronę Stisa.

— Co chcesz zrobić, Royd?! Dlaczego wzięłeś blaster?! Dlaczego idziesz w moją stronę?!

— Stis, rozkazuję ci wrócić na Ziemię. Tu już nie jesteś potrzebny.

— Wyganasz mnie jak tchórza. Ja przecież tylko chciałem sprawdzić. Ja tylko chciałem sprawdzić...

— Rolki są w kieszeni twojej kurtki. Nie jesteś tu potrzebny.

Stis oklapł. Runął na podłogę, podczołgał się do Royda i wyszeptał:

— Już dłużej nie mogę. Wybacz... nie mogę.



...Wypadł z czterowymiarowej przestrzeni w szpitalu psychiatrycznym, wyszeptał: „To był Royd”, i stracił przytomność.

Royd wypuścił z rąk blaster i ten z głuchym stukiem upadł na podłogę. Stary człowiek postawił fotel i usiadł.

— Stis! Royd! — zawołał Bimon.

— Tu jestem, mój chłopcze — odpowiedział stary. Niczego się nie bój. U nas wszystko w porządku.

— Co się tam u was działo?

— Wyprawilem Stisa na Ziemię. Tak było trzeba. Nie odszedł z pustymi rękami. Wszystko w porządku. Wracaj na statek. Mamy jeszcze sporo roboty.

Bimonowi szumiało w głowie, nieprzyjemna słabość wypełniała całe ciało, ale strach minął. Już więcej nie umierał. Wyjął z aparatury pomiarowej rolki, poupychał je po kieszeniach i nierównym krokiem wyszedł z pomieszczenia bazy.

Na pół leżący w fotelu Royd chyba spał. Ale kiedy Bimon podszedł do niego, otworzył oczy i cicho powiedział:

— Przeżyliśmy dziecięce strachy Ega i strach przed śmiercią Stisa. Co jeszcze nas czeka?

— Teraz już nie boję się niczego.

— Oby tak dalej. A ja się boję. Boję się o ciebie i... — chciał powiedzieć „Ziemię”, ale zamilkł. — Zmęczyłem się. Pomóż mi dostać się do łóżka.

— On cię uderzył! — krzyknął Bimon. — Jak on śmiał podnieść na ciebie rękę?!

— Stis eksperymentował, synu. Bardzo chciał się przekonać. Na kilka sekund straciłem przytomność, a jednak zostałem tu. To znaczy...

— To znaczy, że nie możesz wrócić na Ziemię. A więc to takie eksperymenty przeprowadzał Stis!

— Pomóż mi dostać się do łóżka. Sam nie dam rady.

Bimon położył Royda w łóżku i ten ucichł w jakimś półśnie. Niekiedy otwierał oczy, patrzył niewidzącym spojrzeniem poprzez Bimona i nie odzywał się słowem.

Bimon spędził przy łóżku Royda około godziny. Potem wyszedł z pokoju i skierował się do sterówki, aby przegłądać rolki, które przyniósł ze sobą. Zdażył przejrzeć zapisy wykonane przez automaty z powietrza. Pracowało mu się dobrze, tak dobrze, że mógł też obserwować wskazania analizatorów pól. Był cał-

kowicie spokojny. Gdyby Oni pojawili się teraz, analizator pola świadomości z pewnością odnotowałby Ich obecność.

Bimon tak był pochłonięty pracą, że pierwszy atak strachu po prostu zdziwił go. Rzucił się do analizatora, ale było już za późno. Pole świadomości zostało już zdeformowane jego strachem.

Nie bał się o swoje życie, nie. Był przekonany, że nic mu nie grozi. To był strach o kogoś innego. I nie jego własny, lecz pochodzący z zewnątrz. Obcy strach. Ale przecież było tu ich zaledwie dwóch. On i Royd. Jeśli Royd śpi, to jest to strach w czystej postaci. Strach, którym To męczy jego towarzysza. Bliskość rozwiązania dodała mu odwagi. Poza tym ten strach był jakiś niejasny. Strach w ogóle, nie o siebie. Tego Bimon był pewien.

Starając trzymać się w garści ruszył w stronę kabiny Royda. Kiedy szedł do starego, strach stał się bardziej konkretny. Teraz Bimon bał się, że To dotarło do Ziemi. Widział, co tam się dzieje. Ogólny chaos i podejmowane przez niewielką grupę ludzi próby poradzenia sobie z Nimi. Do strachu Bimona doszło poczucie winy. Winy dlatego, że nie dowiedział się, co to jest. I teraz było za późno na cokolwiek. Ziemia ginęła.

Szarpnięciem otworzył drzwi pokoju Royda. Mężczyzna rzucał się na łóżku. Trzęsącymi się rękami Bimon zanurzył w szklance z zimną wodą szmatkę i położył ją na spoconej głowie starego. Następnie spróbował obudzić go. W końcu udało mu się. Royd ocknął się. Tylko przez sekundę nie wiedział, co się dzieje. Potem jego spojrzenie stało się rozumne i mężczyzna spróbował podnieść się na łóżku. Bimon pomógł mu. Strach nieoczekiwanie prysnął.

— To byli Oni, Bimon?

— Tak.

— Co to było tym razem?

— Strach o Ziemię, że Oni tam już są.

— Bredziłem?

— Rzucałeś się na łóżku.

— To był mój strach. Bredziłem tym strachem. Jak długo Będę czuwać, tak długo będę się trzymać w garści. Połóż mi poduszkę pod głowę.

Bimon spełnił prośbę. Royd uśmiechnął się i powiedział:

— Długo nie pociągnę. Kiedy mnie nie będzie, powinieneś natychmiast kaptułować się na Ziemię.

Bimon przecząco pokręcił głową.

— Twoja obecność tu nie będzie miała sensu. Powinieneś wrócić na Ziemię i opowiedzieć wszystko... Pamiętasz pierwsze minuty po naszym przylocie na tę

planetę? Strach nie był wtedy konkretny. Otaczało nas tylko coś wrogiego, nieprzyjemnego, lepkiego. Przez cały czas spodziewaliśmy się ataku. Gotowi byliśmy poddać się strachowi. Pierwszy nie wytrzymał Ego. I zobaczyliśmy jego zmaterializowane strachy. Były one pierwsze, dlatego wydawały się nam nie do wytrzymania. Potem nie wytrzymał Stis. Nie sądź go surowo. To był żelazny człowiek. Latam z nim dziesięć lat. Zaczynaliśmy wtedy, kiedy o katapultowaniu się na Ziemię nikt nie marzył. I jego strach udzielił się nam. Dlaczego? Tortura strachu jest najstraszniejsza, gdyż od razu pozbawia człowieka woli. Teraz zostało nas dwóch. I znów strach, mój strach, który udzielił się tobie... A przecież teraz się nie boimy...

Bimon przytaknął.

— Dlaczego teraz się niczego nie boimy? Dlatego, że nie boję się śmierci? Śmiechu? Wystrzału z blastera? Skoku dzikiego zwierza? Nie mam się czego bać i teraz To nie ma nade mną władzy. A ty?

— Jestem spokojny. Interesują mnie teraz tylko dwie rzeczy: twoje zdrowie i Oni.

— Memu zdrowiu ani ty, ani ja sam pomóc nie jesteśmy w stanie. Jestem stary, a Stis ma mocne pięści. A poza tym... jestem bardzo zmęczony. Życiem... Nie. Mówmy tylko o tym.

— Dobrze.

— To oddziaływa na nas tylko strachem. Strachem, którego przyczyny sami mu podsuwamy. Wystarczy, by przestraszył się jeden człowiek, i wszystkich atakuje ten sam lęk. Nazywamy to wzmocnieniem strachu. Przecież nic prócz tego, co sami wymyśliliśmy, nas nie męczyło! Nawet ten zabity.

— Tak. Ego powiedział, że zabił człowieka. Wydawało mu się. Przecież nawet nie strzelał.

— Ale przestraszył się, że zabił człowieka. A to podsunęło nam dowody, że tak było.

— To nie dowody.

— Chyba masz rację. Wiemy przecież, że nie doszło do żadnego zabójstwa. Ale dla Ega z jego strachami te niby-dowody były dowodami i chłopiec nie wytrzymał. Tak jest wszędzie. Wszędzie stosują przeciw nam strach. Ale kim Oni są? Nieznanym polem czy też wrogo do nas nastawionym Rozumem? Rozumem, który zna tylko jedną metodę walki?

— Czy już kiedyś zdarzyło się coś takiego?

— Nie, nie słyszałem o czymś takim. Nie wiem.

W ekspedycjach zawsze bierze udział ktoś słabszy od pozostałych. Ale inni, mężniejsi, pomagają mu i taki człowiek stopniowo mężnieje. Teraz natomiast jest na odwrót. A zaczęło się to pięć lat temu.

— Dobrze, że nie wcześniej. Wcześniej nie było możliwości katapultowania się na Ziemię. Co by robiły załogi nie mając możliwości powrotu w dowolnej chwili na Ziemię? Wszyscy powariowaliby.

— Tak. Dobrze, że istnieje system katapultujący.

Royd zamknął oczy. Widać było, że rozmowa ta wyczerpała wszystkie jego siły.

— Niedobrze mi, Bimon. Szkodzę tylko. Blaster, Bimon albo zastrzyk. Nie... Nie dokończył, stracił przytomność.

Royd znów bredził strachem o Ziemię. Jego widzenia Bimon odbierał tak wyraźnie, jakby miały miejsce na jawie. Zniknęły ściany statku. Zniknęła Agrikola-4. Tylko rozpalona ręka Royda powstrzymywała go od popadnięcia w obłąd.

Nie wiedział, jak długo to trwało.

Nieoczekiwanie Royd odzyskał przytomność. Słabnącą ręką dotknął policzka Bimona.

— Bimon, Oni są w nas. Nie mogę więcej.

Ręka Bimona zawisła w powietrzu. Royd zniknął. Kiedy po dłuższej chwili dotarło to do Bimona, mężczyzna wpadł w zachwyty: co za człowiek! Nawet znajdując się w malignie nie chciał wracać na Ziemię. Dopiero kiedy był pewny, że nie może się katapultować, ból i trzy słowa zgodne z jego pragnieniami przeniosły go na Ziemię.

— Royd wypadł z czterowymiarowej przestrzeni na stół operacyjny. — Instrumenty — powiedział chirurg. — Ma zmiądzoną kość skroniową.

Bimon zachwycał się wytrzymałością i siłą woli Royda. Dopiero w chwilę później dotarło do niego, że to jego system katapultujący uległ awarii i że został sam na sam z Nimi.

Początkowo ogarnął go strach, ale potrafił zapanować nad sobą. Nie wolno poddawać się strachowi, gdyż będzie się on nasilać. Trzeba trzymać się w garści. Udawało mu się to. Strachy co prawda napierały nań ze wszystkich stron, ale nie poddawał się im. Zanucił piosenkę. Ulubioną piosenkę Ega.

Wyprostował się, uśmiechnął... i strach zaczął przechodzić. Wtedy wyszedł z pokoju Royda, wyszedł ze statku. Nie wziął ze sobą blastera. Nie przykrywał go klosz siłowego pola. Nad planetą wstawało słońce. Jego koniuszek wysunął się już zza horyzontu. Stopniowo strachy Bimona zniknęły całkowicie. Szedł na wschód, póki słońce nie podniosło się na tyle, że zrobiło się gorąco. Wtedy zdjął koszulę i zawrócił. Wrócił na statek i wziął się do pracy. Ekipa ratunkowa z Ziemi przybędzie na pewno. Trzeba tylko wytrzymać dwa miesiące. Dlaczego wytrzymać? Przecież było mu teraz lekko i wesoło, a przeżyte strachy tylko go śmieszyły.

Zaparzył sobie kawy i przygotował obiad. Po obiedzie zaczął studiować materiały, które zgromadziły automaty. Wieczorem wyszedł na spacer i odkrył w lesie dziwne, niepodobne do ziemskich kwiaty, i narwał ich cały bukiet. Po kolacji przejrzał kopie taśm, na których zostało zarejestrowane i zapisane wszystko to, co wydarzyło się na Agrikoli-4.

Następnego ranka był w doskonałym humorze, którego nie zepsuł nawet sześciogodzinny deszcz.

Cokolwiek jednak robił, myśli jego wciąż obracały się wokół pytania: cóż takiego To było? I stopniowo myśli te zaczęły układać się w hipotezę, stopniowo pojawiła się pewność, że rozszyfrował zagadkę.

Pomogły mu w tym i kopie taśm, i pamięć odtwarzająca w najdrobniejszych szczegółach jego myśli, odczucia i posunięcia. Pomogły raporty poprzednich ekspedycji i zasłyszane niegdyś przez niego opowieści. I słowa Royda. Przeanalizował wiele faktów i zrobił pierwsze odkrycie.

To pojawiło się na obszarach kontrolowanych przez Ziemię, w czasie gdy wprowadzano do użytku system katapultujący. Początkowo tylko w jednym jedynym miejscu. Co się tam konkretnie wydarzyło, nie wiedział, zresztą to nieważne. Dopóki nie dowiedziały się o tym inne ekspedycje, nikt się Tego nie bał. A później zaczęła się lawina.

Ekspedycja znajdująca się najdalej w kosmosie nie wytrzymała. Dowiadywała się, że pojawiło się To, a że nikt nie wiedział, co, przypadkowy strach jednego z członków ekspedycji udzielił się innym. Pojawiały się nowe strachy, które potęgowały się i wędrowały na Ziemię. Przychodziła kolej na tych, którzy znajdowali się bliżej. Teraz oni stawali twarzą w twarz z nieznanym... i na Ziemię wracały nowe ekspedycje. Wydawało się, że coś bezlitosnego i wrogiego zaciska pętlę wokół planety. Drugiego odkrycia dokonał Royd. To coś rzeczywiście wzmacniało strach. Wzmacnianie strachu było jego jedyną cechą. Nie istniało bowiem nic konkretnego, co mogłoby stanowić powód do strachu. Coś

takiego istniało jedynie w wyobraźni śmiertelnie przerażonych ludzi. Bimon starannie zbadał rolki. Byli na nich i Ego, i Stis, i Royd, i on sam, i wystrzał z „Kleopatry”. Nie było na nich natomiast chichotu, obrzydliwego gada na skraju polany, wystrzału z blastera, śmiertelnie rannego człowieka. Wszystko to zniknęło wraz ze strachem.

Oni są w nas — powiedział Royd.

Trzecie odkrycie polegało na ustaleniu, że przyczynę ataku zawsze stanowił strach człowieka.

Czwarte odkrycie dotyczyło przyczyny zjawiska. Bimon doszedł do wniosku, że wzmacniacz strachu stanowi system katapultujący. To pojawiło się z wejściem do użytku systemów katapultowania. On i jego strachy są tego najlepszym dowodem. Jak długo byli tu inni ludzie, udzielały się mu ich wzmocnione strachy. I nie można sobie było z nimi poradzić, dopóki człowiek, będący źródłem tego strachu, nie katapultował się na Ziemię. Kiedy on, Bimon, został sam, wszystkie strachy zniknęły. To zrozumiałe, skoro nie jest podłączony do systemu katapultowania, skoro jest teraz człowiekiem, jakich na Ziemi miliardy. Jego system katapultujący uległ awarii. Ale jakiej?! Przecież właśnie ona pomoże ludzkości uporać się z Tym. No cóż, być może trzeba będzie zrezygnować z systemu katapultującego i kosmonauci będą zdobywać kosmos tak jak kiedyś. Być może będą ofiary. Na pewno będą. Ale za to nie ulegnie zahamowaniu postęp.

Znów polecą w Daleki Kosmos.

System katapultujący z jednej strony — pełne bezpieczeństwo. Z drugiej — strach. I to bezpieczeństwo, i strach będą sąsiadować ze sobą wiecznie.

Spędził na Agrikoli-4 tydzień. Ósmego dnia obok „Kleopatry” wylądował statek. Wyszli z niego ludzie.

— Tego już nie ma! — krzyknął Bimon i opowiedział im wszystko.

— Wygląda na to, że nasz eksperyment powiódł się powiedział jeden z nowo przybyłych.

— A więc awaria w moim systemie katapultującym była zaplanowana?! — wykrzyknął Bimon. Bez gniewu, po prostu ze zdziwieniem.

— Owszem. Inaczej nie przylecielibyśmy tak szybko. Przecież automat wylądował w dwa miesiące po waszym starcie.

— MY — w tydzień.

— Chcę na Ziemię. Chcę zobaczyć Sybillę. Chcę zobaczyć znajomych.

— I swego syna?

— Syna? Urodził mi się syn?! Ani minuty dłużej na tej planecie! Natychmiast startujemy. Trzy miesiące... Nie wytrzymam tak długiego lotu. Mam nadzieję, że wasz statek przeznaczony jest do powrotnych lotów?

Kapitan statku z uśmiechem pokręcił głową:

— Nie, nie jest.

— Wrócimy na Ziemię w ułamku sekundy — poinformował go inny członek załogi.

— To wy... A ja? Przecież ja się nie mogę katapultować.

— A to niby dlaczego? Choćby zaraz.

— Czyżby system można było odtworzyć?

— Nie.

— W takim razie...

— Twój system jest całkowicie sprawny.

— I mogę w każdej chwili wrócić na Ziemię?

— Oczywiście.

— A więc moja teoria jest fałszywa?

— Wprost przeciwnie. Prawdziwa w więcej niż stu procentach. System katapultujący rzeczywiście wzmacnia ludzkie strachy.

— Ale ja się przecież nie bałem.

— To jest właśnie najważniejsze. Zdołałeś pokonać strach, swój wzmocniony setki razy, zmaterializowany strach. Teraz będą to potrafili zrobić i inni. I wszystkie załogi będą wracać z Dalekiego Kosmosu.

— Cudownie! — krzyknął Bimon. — Chcę na Ziemię!

## Milczenie

Musiałem spotkać się z nimi. Ale gdzie? Tego jeszcze nie wiedziałem. Chodziłem po mieście i czekałem — może teraz zjawią się przede mną na gwarnym i olbrzymim placu albo w Alei Kosmonautów. Ale nie zjawiali się. Siadałem w końcu na wolnej ławce w cieniu drzew, paliłem papierosy i znowu czekałem. Czasami udawało mi się, jak gdyby dostrzec ich przez moment. Wówczas plac uroczyście, subtelnie i radośnie zamierał, jak podczas długo oczekiwanego spotkania, i było też trochę smutno, jak w chwili rozstania.

Stali na jakimś podium — widoczni z daleka. Dwoje lotników — kosmonautów — młodzieniec i dziewczyna. Byli ubrani w błyszczące, lekkie i wytworne pancerze-skafandry. Młodzi, silni, szczęśliwi. Lecieli w Daleki Kosmos na dwóch pięknych statkach kosmicznych. On prowadził „Myśl”, ona — „Czułość”. Stali położywszy ręce na ramionach przede mną i tysiącami ludzi, i szerokim gestem witali tych, co zebrali się wokoło. Byli bohaterami. Czuli to, podobnie jak i ci, którzy ich otaczali, ja także to czułem — i strasznie im zazdrościłem. Jeszcze nie weszli na pokład swoich statków, ale sława już unosiła ich na swoich lotnych skrzydłach.

Przyłbice ich hełmów były podniesione i nawet z tego miejsca, gdzie siedziałem, można było dostrzec ich szczęśliwe uśmiechy. Takich właśnie, jak sądzę, zapamiętali wszyscy.

Tak, na pewno byli u szczytu szczęścia. Otaczała ich powszechna miłość i szacunek.

Obraz znikł. Ludzie znowu szli zaaferowani swoimi sprawami; plac tętnił gwarem, bezlitośnie prażyło lipcowe słońce; musiałem przyznać, że czegoś jeszcze nie rozumiałem, nie wyczułem i zaczynałem szukać pomyłki, ale nic mi nie wychodziło. Tak mijały dni, a mnie nic się nie udawało: żadne rady nie pomagały. Na pewno zbikowałem i wszystkie bodźce zewnętrzne, które mogłyby stać się pierwszym impulsem, odbijały się ode mnie, jak groch od ściany.

— Czy chociaż poznałeś ich życiorysy? — pytał mnie w lipcu Ostrowoj, kierownik naszej pracowni. Stanowisko to wypruwało z niego wszystkie żyły; bardzo schudł — nie wiem, czy z powodu zmartwień, czy też upałów.

— Badam — odpowiadałem. — Chociaż ich biografie znają wszyscy.

— Tak. Każda chwila w ich życiu była przewidziana wcześniej, a mimo to...



— Będę jeszcze badał...

— Zgłębiaj, zgłębiaj, ale lepiej byłoby, gdybyś wczuł się chociażby w jedną ich chwilę.

— Już próbowałem. Na przykład dzisiaj.

— I co?

— Stali na placu i powitalnym gestem machali wszystkim rękami.

— Powitalnym gestem — burknął Ostrowoj. — Tak to odebrałeś? Odgadłeś, co czuli w tym momencie?

— Szczęście, zachwyty, radość — odpowiedziałem. Ostrowoj ze smutkiem pokiwał swoją łysą głową osadzoną na cienkiej szyi. Nic więcej nie powiedział. Na pewno rozmowa ze mną nie miała żadnego sensu. Wcale się nie obraziłem. Jak mi się wydawało, nie potrzebowałem wówczas żadnych rad, pouczeń czy zachęt.

Znowu więc spacerowałem po parkach, placach i skwerach, i cały czas myślałem, dlaczego tylko na chwilę udało mi się zatrzymać ten obraz na placu? Przecież wszystko było tak piękne, odświeżające i radosne. No tak, zapewne pomyłka tkwiła gdzieś we mnie. Po prostu nie jestem w stanie wysiłkiem woli wydobyc jej z podświadomości.

Oto aleja, po której jechali na kosmodrom, a wokół nich tłoczyły się stutysięczne tłumy i miliony róż padały na asfalt przed nimi. Wszyscy wokoło wznosili okrzyki przywitania, wykrzykiwali jakieś radosne, ciepłe i wzniosłe słowa. Wszyscy byli odświeżająco ubrani, w podniosłym nastroju.

Zatrzymałem się za rogiem i próbowałem sobie to wszystko wyobrazić. Udało mi się! Naprawdę udało! Wprawdzie na chwilę, jak wówczas tam, na placu.

Do diabła, jaki ze mnie myślotwórca? Przecież nic, zupełnie nic mi się nie udaje.

Na najbliższym postoju wsiadłem do taksówki i pojechałem na kosmodrom. W kieszeni na piersi miałem kropłopodobną przepustkę ultradźwiękową i dlatego wszystkie drzwi stały przede mną otworem. Mogłem dotrzeć do najbardziej strzeżonych zakamarków kosmodromu. Początkowo po prostu spacerowałem w poczekalni, w której rosły drzewa, były przytulne bary, pełna słońca przestrzeń i już jakiś nieziemski czas. Ludzie witali i żegnali krewnych i znajomych. Uporządkowane stadka dzieci zabawnie kroczyły pod okiem poważnych i dorosłych opiekunów ku polom startowym, bez wątplenia przeżywając już w myślach przygody w kraterach Księżyca. Wszyscy ci delegowani, artyści, turyści i niedoświadczeni urlopowicze snuli się wokół mnie tak, jak gdyby wiedzieli, co mają

robić. Ubrania modniś raz po raz zadziwiająco zmieniały barwy w czasie chodzenia, szokując napotkanych ludzi wszelkimi odcieniami kolorów tęczy.

Był to oczywiście kosmodrom najwyższej kategorii.

Wszedłem na platformę widokową, z której ludzie przypominali już jak gdyby śmieszne kreseczki. Tutaj także gdzieś siedzieli odprowadzający. Ci, którzy chcieli, mogli widzieć przed sobą twarz lub całą postać odjeżdżającego człowieka i mogli z nim rozmawiać dopóty, dopóki luki statku nie zatrzasnęły się głucho. Same statki jak smukłe strzały rozcinały złocistobłękitną dal i lekko drżały w strumieniach rozgrzanego powietrza. Raz po raz któraś z tych strzał zrywała się z miejsca i z lekkim gwizdem znikła w oddali jak gdyby rozpuszczając się w promieniach słońca. I wtedy ktoś z odprowadzających wstawał i kierował się do wyjścia.

Pociągnęło mnie znowu na Marsa. Mogłem to uczynić od razu... Ale co z pracą? Moją pracą? Nie. Na Marsa za wcześnie.

Zwróciłem uwagę na twarze ludzi. Tuż przed odlotem były radosne i żywe, a teraz — smutne i napięte. Spostrzegłem także, że ten smutek i napięcie pojawia się na nich także w trakcie rozmowy, tylko że było ono wówczas skrzątnie, chociaż na pewno nieświadomie, ukryte.

Zaciekawiło mnie to, jak gdyby uchylił się rąbek jakiejś tajemniczej zasłony. Pomyślałem też: co w tym specjalnego — ludzie żegnają swoich bliskich i jest im smutno. Tak, wszystko w porządku.

Wszedłem jeszcze wyżej — tam, gdzie było pusto i znowu wyobraziłem sobie moment odlotu. Oto stoją na podnośnikach swoich statków. Tysiące ludzi znajduje się na tarasie widokowym i jeszcze dziesiątki, i setki tysięcy, na najbliższych wzgórzach, i jeszcze miliony przy telewizorach radośnie pozdrawiają ich gestami... Tfu, do diabła! Wszystko jawi mi się nazbyt radośnie. Ta właśnie radość nie pozwalała mi zatrzymać obrazu chociażby na chwilę. W gruncie rzeczy obraz ten nie jest mi potrzebny. A mimo wszystko było w nim coś, co tak nieubłaganie znikło przede mną, i bez czego nie mógłbym zrobić tego, co najważniejsze.

Wówczas ludzie żegnali swoich bliskich. Skoncentrowałem się. Obraz pojawił się — zatrzymałem go. Ale to nie były tysiące żegnających. Początkowo dostrzegłem przystojną dziewczynę w sukni mieniącej się niebieskimi odcieniami. Była bardzo piękna. Płakała. Sama nie dostrzegała tego. Ale dlaczego? Kogo żałowała? Czy tych dwojga? Czy siebie? Ciągle myślałem tylko o tym. Twarz dziewczyny przysunęła się do mnie bardzo blisko — tak, że pozostało tylko dwoje wielkich, czarnych, szeroko rozwartych oczu. W ich kącikach były łzy.

Wpatrywałem się w te oczy. Zdaje mi się, że zrozumiałem ją. Patrzyła na tych dwoje, którzy byli zakochani. Ona także kochała. Teraz, w tej chwili była tą dziewczyną, która miała odlecieć na „Czułości”. I miłość, i czułość, i nieszczęście tkwiły w jej oczach, w jej spojrzeniu, w jej łzach. To ją żegnano. Niechby nawet na chwilę, na zawsze, na długo. Rozstawała się z tym światem, na którym przeżyła pierwsze dwadzieścia lat — z tymi ludźmi, uczuciami, uśmiechami, błahymi rozmowami, czułymi spojrzeniami, gestami. A co będzie tam, w przyszłości? Cały czas był poryw, namiętne dążenie wciąż naprzód, w niewiadomą, i oto teraz na chwilę pojawia się ból i nieszczęście, dlatego że cała przeszłość pozostaje tu, i za kilka minut z przerażającą szybkością pozostanie poza nią.

Mimo wszystko zbliżyłem się do czegoś.

Lekko poruszyłem obraz. Teraz przede mną stał młodzieniec. Trzymał rękę dziewczyny o wielkich oczach, w których były łzy. Ich ręce zastygły w jakimś nienaturalnym geście — zacząłem się obawiać, że on złamie jej delikatne palce... Ale ani on, ani ona tego nie odczuwali. Odwróciłem twarz młodzieńca tak, żeby patrzył prosto na mnie. Tak... Oczywiście... Żegnał się ze sobą. Twarz jego była śmiała, nieco surowa, wyrażała zdecydowanie. Nie dostrzegłem wahania, tylko to ledwie dostrzegalne: „Żegnajcie!..” Jeszcze raz poruszyłem obraz — wciąż w wielkim zbliżeniu. Oto kobieta... Odprowadza swoje dziecko, już dorosłe, ale dla niej wciąż dziecko. Z twarzy bije duma, ale i jest nieprzeparta chęć cofnięcia tego wszystkiego — nie, nie żegnać, lecz przytulić do piersi i nigdy więcej nie wypuścić, nigdy.

Obraz przesuwa się na prawo, na lewo, w górę, w dół... Starzec, jakaś kobieta, dziewczynka... i jeszcze, jeszcze jacyś ludzie. Twarze, postacie i dusze, dusze ludzkie otwarte ku tym dwojgu, którzy stoją na podnośnikach „Myśli” i „Czułości”.

No cóż, zdaje mi się, że choć trochę zrozumiałem tych, co żegnali, chociaż było to niewiele. W myśli zbudowałem teraz ogólny obraz. Udało mi się to z trudem, ale się udało. Zawstydziłem się z powodu tych wymachujących rąk w „powitalnym” geście. No cóż! Ludzie oczywiście na swój sposób wymachiwali im rękami — z radością, z bólem, z czułością... Jedni mieli w oczach łzy, jak ta dziewczyna o wielkich, czarnych oczach, inni coś krzyczeli, uśmiechali się, patrzyli surowo, w skupieniu i ze spokojem.

Nie można było dłużej zatrzymać w myślach tego obrazu — nie starczyło mi na to siły i woli. Rozerwałbym się na tysiące kawałków, gdybym nawet spróbował zatrzymać go w swojej świadomości. Zresztą teraz nie było mi to już potrzebne.

Zrozumiałem, że każdy był tu sam ze sobą i po części jednym z wielu. Zdekoncentrowałem się i obraz znikł. No i dobrze! Wiele mnie nauczyli. Przybliżyłem się do momentu rozwiązania swojego zadania i zmęczyłem się. Siedziałem z odrzuconą na oparcie fotela głową i o niczym już nie myślałem... Strzały statków wzbijały się w górę, ktoś odlatywał, pozostawiając cząstkę swojej duszy na Ziemi — w tych, co żegnali. Ktoś pozostawał oddając siebie kosmosowi, którego być może nigdy nie zobaczy.

Minęła godzina. Cóż z tego. Trzeba kontynuować rozpoczętą pracę. Wywołałem obraz ich statków, potem zbliżyłem je i zrobiłem tak, żeby twarze kosmonautów były tuż obok siebie. Uśmiechali się. Później ona ukradkiem spojrzała na niego. Na moim obrazie niezbyt to się udało. Przecież wówczas stali w odległości stu metrów od siebie. Jej spojrzenie było skierowane tam, ku „Myśli” i dlatego przeszło ponad nim. Trwało to niecałą sekundę, a potem obraz zamazał się i rozplątał.

Nie, jeszcze ich nie zrozumiałem. I w tym momencie przestraszyłem się. A co, jeśli nigdy ich nie zrozumiem?! Wstałem i poszedłem na dół. Potem długo chodziłem po wszystkich oddziałach obsługujących kosmodrom. Drzwi pokojów i sal stały przede mną otworem, ale dusza tych dwojga pozostawała zamknięta.

Czy dobrze ich poznałem? No cóż, spenetrowałem biblioteki, spotykałem się z ludźmi, którzy ich dobrze znali, przeglądałem kroniki... Poświęciłem im dużo czasu. Poznałem prawie każdy dzień z ich życia, przecież zawsze byli na widoku. W każdym bądź razie od chwili wstąpienia do szkoły kosmonautów do momentu startu z Ziemi.

Jednak nie pamiętam tej chwili, gdy startowali. Byłem wtedy w zupełnie innym miejscu. Może właśnie dlatego zabrałem się do rzeźby, że wierzyłem w możliwość odtworzenia tego wszystkiego.

O, jak to było ważne dla mnie!

I mimo wszystko stropiłem się. Te wymachujące ręce w „powitalnym” geście, ta duma, radość, szczęście i nawet zawiść — wszystko to stanowiło tylko zewnętrzną, połączoną powłokę, i dlatego też nie było ani najważniejsze, ani głębokie.

Uczyli się w jednej klasie. Potem wstąpili do szkoły kosmonautów. Tam na trzecim roku zaproponowano im lot w Daleki Kosmos. Byli absolutnie dobrani pod względem psychologicznym. Zaszokowało to uczonych i wywołało uczucie pewności, że lot zakończy się sukcesem.

Potem nastąpiły przygotowania. Miesiące i lata zostały zaprogramowane co do minuty. Nawet odpoczynek został dokładnie zaplanowany przez uczonych. Każdy ich krok był odnotowany w protokołach i aktach. Robiono to oczywiście w sposób dyskretny, niezauważalny i taktowny. Sami zapewne o tym nie wiedzieli, może tylko intuicyjnie wyczuwali.

Już dawno zrozumiałem, że byli zakochani. Ale czy z tego mogło cokolwiek wynikać, zwłaszcza uczucie radości z powodu lotu? Przecież musieli lecieć na różnych statkach i nigdy nie mogli ich opuścić i spotkać się, aż do chwili lądowania na planecie Pomarańczowa Gwiazda. Mieli wprawdzie stałą wideo- i fon łączność... A może chcieli być sami po tylu latach rozłąki, będąc niemal tuż obok siebie.

Stop... Coś przyszło mi do głowy. Nigdy nie byli sami. Tak, to jest coś... W notatkach o nich istniała pewna luka. Trwała zaledwie kilka godzin, gdy udało im się niepostrzeżenie ująć, zmylić czujność opiekunów.

Wsiadłem do pociągu i pojechałem do pewnej niewielkiej stacji syberyjskiej. Potem odnalazłem brzeg leśnej rzeczulki zarośniętej wierzbami. Długo stałem tam nad wodą, mocno trzymając się za giętki pień drzewka...

Nie powrócili na Ziemię. Było to absurdalne, nieprawdopodobne i nieuczciwe. Nie mogłem nawet znaleźć odpowiednich słów na określenie tego, co się stało. Ich statki zostały odnalezione daleko od zaprogramowanej trasy lotu. Nie dolecieli do celu.

Byli pierwsi, i koniecznie należało postawić im pomnik, nad którym się trudziłem.

Stałem nad rzeką i rozmyślałem. Dlaczego właśnie chciałem utrwalić ich u szczytu sławy, uwielbienia i wielkości? Czyż nie z tego właśnie powodu nie mogę zatrzymać obrazów w myślach nawet na chwilę? A więc nie był najważniejszy ani bohaterski czyn, ani sława. To tylko powierzchowny wyraz działań i dążeń człowieka.

Skończyłem więc raz na zawsze z placami i alejami kosmonautów. Stać tam nigdy się nie zgodzą.

Tutaj gdzieś, może tuż obok, byli razem. Czy powiedział wówczas, że ją kocha? A może ona to powiedziała?

Było cicho, bardzo cicho, prawie tak, że ledwo dosłyszalny plusk fal i szelest liści na wierzbach tylko pogłębiał tę ciszę, to milczenie.

Stałem i patrzyłem jak szli po trawie i ze zdziwieniem wsłuchiwali się w ten przepiękny, milczący świat. To pojawiło się w nich po raz pierwszy — z dala od wszystkich ludzi. Milczeli.

Nic nie mówili. Milczenie było piękniejsze od wszelkich słów. Tym milczeniem teraz, teraz mówili nawzajem sobie wszystko. Wówczas nic oprócz nich nie istniało na świecie, ani wszechświat, ani statki kosmiczne, ani Pomarańczowa Gwiazda. Po raz pierwszy znaleźli się sami i wiedzieli, że nie na długo, być może tylko jeden jedyny i ostatni raz.

Obraz utrzymywał się lekko, prawie bez wysiłku. A więc nie było w nim fałszu, więc takimi byli naprawdę w tym momencie nawet, jeśli nie w szczegółach, to na pewno w swej istocie. Teraz rozpoczęła się już lekka praca. Mogłem zatrzymać ten nieosiągalny jeszcze obraz w każdej chwili, by potem dorzucić detale i zwiększyć rozmiary. Mogłem zrobić go wielkości wieży Eiffla, jeśli rzeźba będzie postawiona na olbrzymim placu. Potem zrobiłbym cokół i umieściłbym na jego niezwyklej formie napis: „Myśl” i „Czułość”. Pozostaliby w ten sposób utrwaleni na wieki w kamieniu i metalu, znani wszystkim, no może trochę niezrozumiali, bo dla wszystkich byli bohaterami — a ja chciałem natomiast uczynić ich ludźmi, zwykłymi, prostymi ludźmi, jak wszyscy, jak ty i ja, jak całująca się na przeciwległym brzegu rzeczulki dziewczyna z chłopcem.

Nie wiem, czy zostałbym zrozumiany. Była to jednak prawda. Ta chwila, to zadziwiające milczenie stało się całym sensem ich życia. Zrobię model, pokażę go specjalistom, niech dyskutują, udowadniają — posiadam teraz nad nimi przewagę. Zrozumiałem nieco dusze tych dwojga młodych i nikt oprócz mnie nie jest władny zatrzymać obrazu w myśli jeśli on odpowiada mojej. Nikt teraz nie jest w stanie zrobić z nich tylko bohaterów, ponieważ najistotniejsze w nich było to milczenie, ta nieśmiała, wzajemna miłość, a poprzez nią i miłość do wszystkich ludzi, do całej Ziemi. I nawet, gdyby sami odlatywali w Daleki Kosmos, to i tak dzięki swojej miłości zabraliby ze sobą całą Ziemię.

Milczenie...

Zeszli ku rzece.

On usiadł na powykrecanym, przegniłym drzewie wyrzuconym na brzeg. Ona — przycupnęła obok — położyła głowę na jego kolanach i wyciągnęła w górę ku jego twarzy rękę. Nachylił się nad nią.

Tak, była to ta sama chwila! Zrozumiałem. Niczego więcej nie chciałem zmieniać. Niech wszystko będzie tak, jak jest!

Bez tego milczenia nie mogliby znieść nawet jednorocznego lotu. Bez tego milczenia zginęliby. Bez tego milczenia nie mogliby, wytrzymać jeszcze wcześniej, przed startem, i nawet gdyby wystartowali, to i tak byłiby już złamani i pokonani.

Tak! Tak! Tak jest w istocie! Teraz w milczeniu rodzi się ich sława. Nie, nie trzeba sławy. Niech pozostaną ludźmi. Niech się kochają.

Zatrzymałem obraz...

Długo milczałem. Wcześniej też tworzyłem rzeźby. Teraz mógłbym przekształcić ten obraz w coś realnego, w rzeźbę. Tak też zrobiłem.

Zamarli.

Zmęczyłem się. Mimo wszystko rzeźbiarze-myślotwórcy mają nadzwyczaj ciężką pracę. Więcej nie patrzyłem na nich. Tak. Zrobiłem swoje arcydzieło. Zrozumiałem to od razu. Nigdy nie stworzyłem czegoś takiego i już nie stworzę. Jak gdyby jakiś ciężar spadł mi z serca. Czułem lekkość, ale nie tak jak niegdyś — coś mi jeszcze doskwierało.

W tym momencie popełniłem błąd. Tutaj było coś innego. Rzuciłem papierosa i podszedłem do nich. Wszystko było tak, jak chciałem. Delikatnie dotknąłem skóry na jej twarzy. Dostrzegłem szczęście i cierpienie w jej oczach. Szczęście i niepewność zobaczyłem na jego twarzy.

Tak. Świetnie złapałem tę chwilę. Ludzie będą na nich patrzeć i płakać. Dostrzegą coś znacznie bardziej ważnego, aniżeli odwagę i czyn bohaterski. Zauważą ból, z którego dopiero co rodzi się ich przyszłość, ich śmierć, ich sława... I milczenie. Słusznie, przecież mówili ze sobą tylko w tych chwilach milczenia.

Będą milczeć zawsze. Pojawią się tysiące pokoleń, które przejdą obok nich, a oni wciąż będą milczeć, jak wówczas.

Usiadłem na kamieniu obok nich. Mógłbym teraz zniszczyć tę rzeźbę, a w domu, w swojej pracowni ponownie ją odtworzyć. Ale z jakiegoś powodu nie mogę. Wiedziałem, że wszystko zrobiłem należycie, ale nie mogłem już pokazać jej ludziom. Byli teraz dla mnie nazbyt żywi. A potem... te tysiące lat milczenia. Wówczas ich milczenie było cudowne, dlatego że nieoczekiwane, dlatego że trwało chwilę. A teraz? Tysiące lat milczenia!

Nie! Lepiej to zniszczę. Ale nie mogłem tego zrobić.

Trzeba było pokazać ją ludziom. Ale i tego również nie byłem w stanie zrobić.

Trzeciego wyjścia nie było. Chociaż prawdę mówiąc, było ale zostało ono zakazane: po tym, co zrobiłbym, nie istniałbym już jako rzeźbiarz-myślotwórca. Nie mam więc prawa tego uczynić. Musiałbym poradzić się kogoś, chociażby Ostrowoja. Ale to i tak oznaczałoby odmowę.

Siedziałem obok nich, obok tych, którzy kiedyś odlecieli na „Myśli” i „Czułości” i nie powrócili, i paliłem dopóty, dopóki nie skończyły się papierosy. I słońce już zaczęło muskać wierzchołki drzew, a ja nie mogłem zdobyć się na

żaden krok. I nagle słońce oświetliło jej twarz pod jakimś dziwnym kątem, i w oczach dziewczyny zobaczyłem łzy. Z tymi łzami rzeźba stawała się jeszcze bardziej naturalna, jeszcze piękniejsza. Oniemiałem, zjeżyłem się wewnętrznie w oczekiwaniu, że słońce zaraz zakończy swój efekt świetlny... Ale łza nagle potoczyła się po twarzy. Poruszyłem ręką twarz dziewczyny — łza była prawdziwa, słońce nie grało tu żadnej roli.

I wtedy wstałem, obejrzałem wszystko raz jeszcze i powiedziałem: „No cóż, życie...”

Szedłem prosto, gdzie oczy poniosą, wmawiając sobie, że nie ma po co się oglądać. Ale nie wytrzymałem i obejrzałem się. Stali na brzegu tuż nad wodą, ale stąd, gdzie stałem, nie mogłem słyszeć czy rozmawiają, czy też milczą. Zresztą wcale nie musiałem o tym wiedzieć.

Zmrok zapadł w lesie, a ja wciąż szedłem przed siebie i szedłem, i szło mi się lekko, i chciało mi się iść. I cisza panowała wokół.

Na drugi dzień zjawiłem się u Ostrowoja.

— Co u ciebie? — spytał. — Czy coś się udało?

— Udało mi się — powiedziałem. — Otóż zdarzyło mi się... Nie jestem już rzeźbiarzem, nie jestem myślotwórcą. Pozwoliłem im... żyć.

— Zwariowałeś! Złamałeś przysięgę! Co z tobą będzie?

— To, co z innymi rzeźbiarzami-myślotwórcami, którzy złamali przysięgę — odpowiedziałem spokojnie. — Do widzenia!...



## Siódmy model

### 1.

Otworzyły się drzwi prawie pustego autobusu. Przystanek końcowy. Za szosą zaczynał się park ciągnący się aż do rzeki. Spoza wierzchołków sosen widniały dwa górne piętra naszego instytutu. Sosny błyskawicznie tłumiły dźwięki miasta. Skrzywienie piasku na jeszcze mokrych od rosy drózkach, szum gałęzi i zapach... Cóż za zapach!

Z hallu szerokie schody prowadziły na pierwsze piętro do dużej, jasnej sali z tarasem widokowym na Manę i jej lewy brzeg. W sali stały fotele, a na stolikach bukiety polnych i leśnych kwiatów. Piloci doświadczalni zbierali się już powoli. Wszyscy byli jeszcze w zwykłych ubraniach mieszkańców miasta. Przywitałem się. Odpowiedzieli mi jednocześnie. Niektórzy spędzili już chwilę na tarasie widokowym i szli teraz w kierunku drzwi prowadzących do „ekwipażowni”.

Rzut oka na zielony, z niebieskimi żyłkami jezior, lewy brzeg Many stał się już rytuałem. Projektanci naszego instytutu znali już trochę psychikę człowieka. Widok z tarasu był piękny o każdej porze roku. Rozpościerająca się prawie na dwadzieścia kilometrów równina działała kojąco na ludzi. Bardziej na lewo Manę skręcała nagle pod kątem dziewięćdziesięciu stopni na północ, rozległe błyszcząc w słońcu swoją spokojną, równomierną gładizną, a nieco wcześniej, gdzieś za Sinym Urwiskiem zlewała się z mgiełką horyzontu.

Westchnąłem i obejrzałem się. Dwa kroki ode mnie stał eksperymentator Strokin.

— Co słyhać, Walery, z naszą „podopieczną”? — spytałem.

— Na zmianie wieczornej wszystko było w porządku — odpowiedział.

— To znaczy, nic? Strokin wzruszył ramionami:

— A cóż u nas może być interesującego? Ostatecznie u Markielowa, no i możliwe, że w trzecim modelu jest coś ciekawszego. Ale u nas...

Walery machnął ręką i zamilkł. Staliśmy jeszcze chwilę w milczeniu.

— Jak pięknie... — powiedział Walery.

Skinąłem głową i odszedłem na bok. Nie miałem ochoty dłużej rozmawiać. A miejsce rzeczywiście jest świetne. Bajeczne, kojące. Właśnie tutaj, w obliczu

owego ziemskiego piękna — skończonego, spokojnego, prostego — eksperymentatorzy wyrzekali się wszystkiego, co ziemskie, wszystkiego, co było w domu, rodzinie, u znajomych, w mieście, w kraju, w ogóle na Ziemi.

Dziwne i pociągające wrażenie, jakby lotu.

I świadomość już automatycznie skierowana ku czemuś innemu podpowiadała mi, że należy iść do „ekwipażowni”. Machinalnie nawet o tym nie myśląc, otworzyłem drzwi, wszedłem do sali, w której nie było już okien tylko rząd kabin; wszedłem do jednej z nich — mojej.

Po dziesięciu minutach wyszedłem ubrany w kombinezon ściśle przylegający do ciała, wygodny i wcale nie krępujący ruchów; ruchomymi schodami w końcu sali wjechałem na następne piętro. Tutaj znajdowały się sale projekcyjne albo, jak je nazywaliśmy, „przedsionki”. Zgodnie z liczbą pilotów na jednej zmianie, było ich czternaście. Wszedłem do swojego. Dwumetrowy ekran stereoskopowego telewizora. Pulpit sterowniczy i cztery fotele. W trzech siedzieli już inżynierowie personelu obsługi. Przyjemne, przyciemnione światło, szum aparatury, znajomy i pożądany. Przywitałem się. Wszyscy trzej odwrócili głowy, odpowiedzieli na powitanie. Jeden zakręcił się w fotelu, zapytał:

— Przegląd?

— Tak — odpowiedziałem. — Ile minut informacji? — O godziny eksperymentatorzy już nawet nie pytali.

— Zero — odpowiedział inżynier.

— Dobrze. Ile dostarcza komputer?

— Kwadrans.

Oznaczało to, że mózg elektronowy instytutu z ośmiu godzin pracy eksperymentatora wybrał zaledwie piętnaście minut, które w ogóle miały jakiegokolwiek znaczenie dla doświadczeń. Ale i te... Piętnaście minut — to tak tylko, dopuszczalne minimum czasu. Chciał nie chciał, obejrzeć trzeba. Mimo wszystko nic pożytecznego i interesującego, się nie zdarzy.

— Zmiana wieczorna — powiedział inżynier. — Model siódmy.

Wiedziałem i tak, że będzie przegląd zmiany wieczornej. Nocna jeszcze nie wróciła. A po powrocie materiały jej badań będą przez kilka kolejnych godzin opracowywane. Ta ośmiogodzinna różnica czasu stanowiła pewną niedogodność, ponieważ w czasie zmiany nie było żadnej łączności z eksperymentatorem. Na osiem godzin był on pozostawiony samemu sobie. Wprawdzie było ich tam dwóch, ale nie miało to większego znaczenia. Przecież łaziki pracowały w różnych kwadratach. W instytucie prowadzono już prace nad przetwarzaniem nadchodzących od eksperymentatorów informacji w realnej skali czasowej. Ale

system ten jeszcze nie prędko zostanie wprowadzony. Kilka minut można porozmawiać z eksperymentatorem zmiany nocnej — Wolnowem, po jego wyjściu z łazika. I to wszystko...

Usiadłem w fotelu przed ekranem, powiedziałem:

— Przegląd.

Ekran ożył.

Napłynęły piaszczyste wydmy, odeszły na boki, bardzo żółte, martwe, zwyczajne. Maszyna poruszała się prawdopodobnie z prędkością około pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Czułem to.

— Trzecia godzina czterdziesta piąta minuta — powiedział automat.

Znaczyło to, że kadry, które pojawiły się na ekranie odpowiadały trzeciej godzinie czterdziestej piątej minucie od rozpoczęcia wieczornej zmiany.

— Dlaczego centrum obliczeniowe wybrało właśnie ten moment? — spytałem.

— Nastąpiło przyśpieszenie pulsu eksperymentatora — odpowiedział inżynier.

Przyśpieszenie pulsu! Uśmiechnąłem się. Też mi kryterium! Może Kriestianczykowi zachciało się pić?

— Operator Kriestianczykowi wypił butelkę wody mineralnej — inżynier jak gdyby czytał w moich myślach.

Tak przypuszczałem. On jeszcze w jednym przypadku obowiązkowo ma podwyższone tętno.

— A Wasiliewowi w tym momencie nie chciało się pić? — spytałem. Pytanie było zbędne. Sam wiedziałem.

— Nie — krótko odpowiedział inżynier. Równocześnie dwaj pozostali, manipulując klawiszami sterowania centrum obliczeniowego, jeszcze raz, kawałek po kawałku przeglądali na ekranie zwykłego telewizora cały ośmiogodzinny videozapis wieczornej zmiany. Czwarta godzina piętnasta minuta — oznajmił jeden z nich. I znów wydmy otaczały łazik. Ach! Przecież one wszystkie są takie same! Ale mimo to zrozumiałem, że Kriestianczykowi wraca. Na podstawie czasu nietrudno się było tego domyślić.

— Dlaczego? — spytałem.

— Opadło tętno — odpowiedział inżynier.

— Pragnienie?

— Nie.

— Współrzędne?

— Te same, co w trzeciej godzinie czterdziestej piątej minucie.

Dziwne, pomyślałem, dlaczego wraca po swoich śladach? Zwykle łąziki robiły okrąg lub elipsę, chociaż i to nie było zastrzeżone w instrukcji. Poszukiwania na „podopiecznych” były swobodne, oczywiście, w granicach wskazanego kwadratu.

— Dlaczego wracał po swoich śladach?

— Nie ma konkretnego wyjaśnienia. Po prostu Kriestianczykow tak chciał.

— Jasne. Wrażenia?

— Nic niezwykłego.

— Współrzędne tego punktu w pamięci maszyny?

— Zapisane. Ekran zgasł.

— Przegląd zakończony — powiedział inżynier.

— Jasne.

Pozostali dwaj inżynierowie także zakończyli przegląd videozapisu wieczornej zmiany.

— Co o tym myślicie? — spytałem.

— Informacji jest mało, a właściwie wcale nie ma — odpowiedział jeden. —

Przypadek.

— Należy zbadać ten punkt?

— Centrum obliczeniowe nie nalega.

— Centrum obliczeniowe! — zachnąłem się. — A wy, co? Wasze doświadczenie, intuicja, przeczucia?

— Intuicja? A co ma intuicja do siódmego modelu? O, u Markielowa...

— No, niech tam! Nasz model wcale nie jest gorszy od modelu Markielowa... — powiedziałem i nagle uspokoiłem się. Sprawdzę, chociaż macie, oczywiście, rację. Siódma „podopieczna” jest pusta.

— Ano, właśnie — westchnął jeden i przeciągnął się, aż mu kości zatrzeszczały.

Oczywiście. Oni naszego siódmego modelu nie traktują poważnie

— Za dziesięć minut koniec nocnej zmiany — przypomniał inżynier.

## 2.

Wszedłem do swego hangaru. Zaraz zjawi się tutaj łązik, z ulgą wyskoczy z niego Wolnow ze zmiany nocnej i ustąpi mi miejsca. Zacznie się zmiana dzienna i jeszcze osiem godzin będę przeorywać gąsienicami piaski „podopiecznej”.

W żaden sposób nie mogliśmy wymyślić nazwy dla badanej planety. Bodajże najlepszą było — „ziarnko piasku”. Ale rzecz w tym, że prawie wszystkie modele pokryte były piaskiem. Wszystkie można było nazwać „ziarnkami piasku”. A niektórzy eksperymentatorzy w swojej fantazji dochodzili nawet do „Nudziorza”.

Ogromna, trochę większa od Ziemi kula piasku. I tyle. Niczego tutaj nie było, ani życia, ani rozumu. Jej samej zresztą także nie było. To jest, owszem, była, ale nie w zwykłym znaczeniu, nie dosłownie.

Od dawna już były znane podstawowe parametry wielu gwiazd: ich masa, spektrum i energia promieniowania, niewielkie odchylenia ruchu, które wskazywały na obecność planet. Komputery czwartej generacji w zupełności dawały sobie radę z modelowaniem. A skoro człowiek na razie nie mógł jeszcze polecieć na inne planety, do innych systemów słonecznych, to dlaczego nie badać tych planet na Ziemi?

Tak zaczęły się pojawiać instytuty podobne do naszego.

Siła ludzkiej wyobraźni i intelektu plus nieprawdopodobne możliwości komputerów w zakresie przechowywania i opracowywania informacji zrodziły parę dziesiątków „podopiecznych” planet, z których jedną badałem właśnie ja i moi koledzy.

Nie było w tym żadnej iluzji, wszystko było prawdziwe, ale znowu niezupełnie w zwykłym znaczeniu. Przecież mogłem zginać, jeśli łazik nagle by się rozhermetyzował. Mogłem ulec poparzeniom słonecznym, umrzeć z głodu lub pragnienia, gdyby na kilka dni łazik ugrzązł w piaskach. Oczywiście, instytut na wszelki wypadek zatrudnia specjalną grupę ratowników, zuchwałych chłopaków, tyle że pracy jak dotąd nie mieli. Nam, eksperymentatorom, w zasadzie wszystko mogło się przydarzyć. I chociaż nasze ciała w czasie pracy znajdowały się w czterech ścianach instytutu, wyobraźnia i świadomość pracowały na odległej, tak naprawdę przez nikogo i nigdy nie widzianej planecie.

Również eksperymentatorzy brali udział w tworzeniu modeli, ale podczas doświadczeń specjalne detektory centrum obliczeniowego nie przepuszczały do naszej wyobraźni tych fal, które mogłyby zaszkodzić samemu eksperymentatorowi lub „podopiecznej”. Na czas pracy nasza wyobraźnia jakby wyłączała się. Zostawało tylko to, co niezbędne do planowanych badań. A w czasie ośmiogodzinnych zmian byliśmy zobowiązani wyteżać swą wyobraźnię, aby znaleźć na planecie coś godnego zainteresowania.

Atmosfera na naszej „podopiecznej” nie nadawała się do oddychania, była bardziej rozrzedzona. Przy wychodzeniu z łazika należało wkładać maskę tle-

nową, która zaopatrzona była w urządzenie radiowe do rozmów z kolegą ze zmiany. Badań z samolotów i helikopterów jeszcze nie prowadzono. Po pierwsze nie było odpowiednich typów, po drugie spaliny mogły naruszyć pierwotny skład atmosfery. Natomiast malutki łazik z napędem elektrycznym całkowicie się do tego nadawał.

Wszystkie wymodelowane na Ziemi „podopieczne” były puste. Jedynie u samego Markielowa, no i jeszcze w trzecim modelu były, jak się wydaje, niewielkie punkty zaczepienia. W każdym razie w modelu Markielowa była atmosfera nadająca się do oddychania i woda, a trzeci model płatał czasami jakieś figle, polegające na paradoksach czasu i przestrzeni. Eksperymentator przepracuje, na przykład, ośmiogodzinną zmianę, a w instytucie przepłynie albo siedem i pół godziny albo osiem i piętnaście minut. Zresztą w trzecim modelu figle mógł płatać po prostu komputer. Przypadek ten należało jeszcze dokładnie zbadać.

A nasza nieszczęsna, bezimienna planetka nie cieszyła się poważaniem i szacunkiem ani inżynierów, ani operatorów.

### 3.

Zapaliła się tablica świetlna informująca, że czas maszyny i nasz, ziemski zgadzają się. Skrzydła hangaru rozsunęły się. Wolnow energicznie pchnął drzwiczki łazika, zeskoczył na betonową podłogę. Był jakiś spięty, podniecony.

— Co ciekawego? — ostrożnie spytałem.

— Mam już dosyć — odpowiedział Wolnow. — Dosyć! Żeby to chociaż miało jakiś sens... Z nudów zacząłem już robić spiralę. Do tego stopnia się wciągnąłem, że zasnąłem w punkcie zejścia. Nawet miałem kolorowe sny. Jakieś bzdury, a wszystko o żółtym piasku. Dobrze, że łazik sam znalazł punkt wyjścia do naszego czasu.

Inżynierowie obsługi dokładnie i sprawnie przeglądali maszynę. Wszystko było w porządku.

— Spirali nie robiliśmy nigdy — powiedziałem. — Zwykle okrąg lub elipsę.

— Sam nie wiem, co mnie napadło. Źle, że nie wierzę już w sens naszej pracy. Nic tu nie znajdziemy, prócz absurdu w snach.

— Jakież to absurd ci się przyśnił?

— E... Jakaś okrągła bułka, ale metalowa, wysokości czteropiętrowego domu... No... mogę iść?

— Idź... A punkt zejścia spirali?

— A! Tam na mapie zobaczysz. Nie różni się niczym od innych. Wszystko na nic. I ja, i maszyna niewielką mamy fantazję. Niewielką...

Wolnow z roztargnieniem klepnął mnie po ramieniu i wyszedł z hangaru. Rozumiałem go. A przecież wszystko byłoby inaczej, gdybyśmy przylecieli choćby na taką sobie martwą planetkę, gdybyśmy spędzili najpierw pięć, dziesięć lat w czterech ścianach jakiegokolwiek pojazdu kosmicznego. Przecież z radości nie moglibyśmy się napatrzyć na te martwe piaski. Oj, obeszlibyśmy ją całą, zbadali, wyjaśnili, że w miejscu przeciwległym do punktu lądowania wysokość wydm jest o dwa milimetry większa, oczywiście, średnio. A tu, pijesz rano kawę, dajesz wskazówki, córce, żeby na lekcjach siedziała skupiona i wszystkiego dokładnie słuchała, umawiasz się z żoną, kto po pracy pójdzie do sklepu spożywczego, a kto do jarzynowego, potem jedziesz sześć przystanków autobusem, dobrze, że to chociaż przystanek końcowy, wsiadasz do łazika i zaczynasz badać model nieznaney planety, która, nawiasem mówiąc, nawet nie ma nazwy. Potem mówisz zmieniającemu cię eksperymentatorowi, że rzucasz taką pracę w diabły, stoisz w kolejce, wieczorem poczytasz cichaczem literaturę o technice obliczeniowej, bo lepiej już przekwalifikować się na operatora i stworzyć kolejny model „podopiecznej”, niż później go badać.

Naczelnik zmiany obsługi technicznej podpisał protokół kontroli łazika. Można było przystępować do pracy.

Wszedłem do maszyny, zatrzasnąłem drzwiczki, wewnętrzne i zewnętrzne, sprawdziłem hermetyczność kabiny, zapasy energii, żywności, wody, powietrza, przelotnie spojrziałem na mapę leżącą na pulpicie operatorskim. Wolnow rzeczywiście wykreślił spiralę. Ale... Ale wydaje się, że badał zupełnie nie ten kwadrat, który zgodnie z programem miał być badany. Dziwne... To już Wolnow sam wyjaśni w dziale przetwarzania danych, przychodzących z modelu.

Dałem sygnał, że jestem gotów do pracy. Ekranopis wyświetlił program badań i proponowany rejon poszukiwań. Ale ja i tak znałem program prac na cały miesiąc naprzód.

Zapaliła się tablica świetlna. „Można wyjść”... Nacisnąłem przycisk rozruchu. Łazik poderwał się z miejsca, zwolnił nieco, kiedy jego gaśienice zaryły się w piasku, szarpnął, przejechał jeszcze około stu metrów i zatrzymał się.

W kabinie było chłodno. A tam, za szkłem... Według ziemskich miar — dziesięciodniowa doba „podopiecznej”. Ale co ciekawe: kiedy tworzono program naszego siódmego modelu, komputer w żaden sposób nie chciał obniżyć temperatury na powierzchni „podopiecznej” poniżej +53 stopni Celsjusza.

Słońce weszło wysoko i rozżarzyło piasek. Dzisiejszy program nie przewidywał wyjścia na powierzchnię, chociaż w kombinezonie i masce tlenowej można to było zrobić.

Teraz powinienem podać program układowi samosterującemu. Ale najczęściej eksperymentatorzy sami prowadzili maszynę. Mimo wszystko było to jakieś zajęcie, jakaś praca, a układ samosterujący przekazywał korekty, jeśli maszyna schodziła trochę z kursu.

Jeszcze w hangarze wydało mi się, że dzisiejsza marszruta nie zgadza się z zaprogramowaną. Było to dopuszczalne. Eksperymentator miał prawo improwizować. Dzisiaj jednak działa się tutaj coś innego.

Przecież Kriestianczykow na wieczornej zmianie zamiast po okręgu szedł po prostej wracając tą samą drogą. Wolnow na zmianie nocnej wykonał spiralę zstępującą.

Ale to jeszcze nie wszystko... Wolnow od razu wyszedł ze swojego sektora. Gąsienicami łazika miesił piasek już zbadanego odcinka. Chwileczkę! Przecież punkt schodzenia spirali zbiegał się z tym miejscem, w którym u Kriestianczykova najpierw wzrosło, a w drodze powrotnej zmalało tętno. Ale przecież ani jeden, ani drugi nie zauważyli nic niezwykłego... No więc tak, u Kriestianczykova puls uległ przyspieszeniu... I co z tego? Głupstwo... Ale po co popędził tam Wolnow? Przecież nawet nie wiedział, że w tym punkcie coś zaszło z Kriestianczykowem.

Tak... Ale przecież ja już coś wiem. Oczywiście komputer wszystko przetworzy i poda wyniki. Ale wszystko to stanie się dopiero za osiem godzin.

Zaplanowany sektor i tak może poczekać. Ale ten dziwny punkt...

Poradzić się mogłem tylko Strokina, eksperymentatora z drugiego łazika, znajdującego się jakieś dwieście kilometrów ode mnie. Włączyłem nadajnik.

— Kuriłow do Strokina. Zamierzam zbadać wczorajszy kwadrat Kriestianczykova.

— Strokin do Kuriłowa. O co chodzi?

— Nie wiem. Ale Wolnowa ze zmiany nocnej nie wiadomo dlaczego tam poniosło, mimo że nie zauważył nic ciekawego. A co u ciebie?

— Jestem w kwadracie zgodnie z programem. Łączność stała.

— Dobra. Ale będziesz musiał cokolwiek opowiadać. Zbyt mało mamy informacji o „podopiecznej”, aby o niej rozmawiać.

— Będę śpiewał. To znaczy nucił. Wiesz, Aleksy, kiedy jestem tutaj, cały czas przychodzą mi do głowy melodie jazzowe. Wykonuję, oczywiście w myśli, wszystkie partie: trąbki, banjo, saksofonu, nawet perkusji. Wzbogacam aranża-



cję, tworzę wariacje. Samemu mi się nawet podoba. A tam, u siebie, w mieście, w instytucie, coś takiego do głowy mi nawet nie przyjdzie.

— To dlatego, że tu odczuwasz głód wrażeń. Brakuje odczuć. Piasek. Wciąż ten sam piasek bez końca. A więc, Walery, jestem w kwadracie Kriestianczykowa.

Strokin w odpowiedzi coś zanucił.

Uruchomiłem maszynę i z maksymalną prędkością skierowałem ją do punktu, w którym Kriestianczykowi miał te wahania pulsu. Ja robiłem to świadomie, ale co pociągnęło tam Wolnowa?

Łazik jechał lekko, bez wysiłku, jak zwykle. Tak, ale teren był całkowicie równy. Piasek. Tylko piasek! W określonych przez program odstępach czasu kompleks badawczy łazika automatycznie przeprowadzał różnorodne pomiary. Ale wszystko to, byłem pewien, na próżno, tylko po to, by cokolwiek robić, żeby wykonywać program, słowem — dla uspokojenia sumienia.

Przecież siódmy model jest pusty. Tylko taką oto prościutką planetkę potrafił wymodelować mózg elektronowy naszego instytutu. Zabrakło komputerowi fantazji, czy co? Mocy mu nie starcza? Oczywiście, kiedyś można będzie modelować skomplikowane światy. Kiedyś będzie można... A na razie wypada ugniatać gąsienicami sypki piach. I tak będzie, dopóki dla wszystkich nie stanie się jasne, że nie ma czego szukać na „podopiecznej” i zamkną ją po prostu, jak to już bywało nieraz. Potem wymodelują inną, zapewne też pustą. Z początku będzie trochę ciekawości, wszyscy będą na coś czekać, mieć nadzieję.

Ale nagle złapałem się na takim oto uczuciu: zrobiło mi się żal siódmego modelu, który do tej pory nawet nie miał nazwy. Żal, że z powodu nieprzydatności, gdzieś tam w magazynie pechowych projektów naukowych, w postaci programu na szpuli z taśmą magnetyczną, będzie pokrywał się kurzem. Żal... No dobrze! Wkrótce „podopieczna” nikomu nie będzie potrzebna. Badaczom, to znaczy operatorom, eksperymentatorom. Czyżby nie można jednak było zastosować jej do jakichkolwiek innych celów? Oddać uczonym, fizykom, chemikom lub biologom. Niech tworzą tutaj swoje centrum naukowe. Ależ oczywiście! Na przykład fizykom jądrowym. Zbudują tu jakiś oszałamiający synchrofazotron i będą spokojnie siedzieć i cieszyć się. A różne przedsiębiorstwa przemysłowe ze szkodliwymi odpadami? Przecież je również można umieścić na takich właśnie wymodelowanych planetkach. I w ogóle wszystko, czego ludzkość nie potrzebuje. Można nawet wycieczki urządzać. Czegóż zresztą nie można by zrobić...

Oczywiście na razie wszystko zależy od energii i możliwości mózgu elektronowego. Przecież z punktu widzenia zużycia energii wprowadzenie na wymode-

lowaną planetkę mojego łożnika wcale nie jest takie łatwe. Tutaj właśnie zużywa on taką samą ilość energii, jak na Ziemi. Mnóstwo energii pożera przejście z Ziemi na model. Ale i ten problem ludzkość kiedyś rozwiąże. Gorzej z fantazją mózgu elektronowego.

Gorzej. A co to za czasowo-przestrzenne paradoksy w trzecim modelu? Przecież to chyba nie jest błąd w modelowaniu, tylko właśnie skomplikowany model z założonymi w programie paradoksami! Będą tam pewnie badać nie samą „podopieczną”, ale zbudują jakiś instytut do spraw Czasu i Przestrzeni.

Czwarty miesiąc pracuję jako eksperymentator, a dopiero teraz przyszła mi do głowy myśl, że możliwości „podopiecznych” są o wiele większe, niż mi się to wydawało wcześniej. Ale ktoś z pewnością wiedział o tym od samego początku.

Mało brakowało, a zaśpiewałbym, powstrzymałem się jednak. Lepiej niech już Strokin nuci.

A przecież w jednej chwili praca stała się ciekawa. Oj, ty, piękna! Piękna! Oczywiście, że „Piękna”! A tu — jakaś „podopieczna”! Można umrzeć z nudów! „Piękna”!

#### 4.

W piaskach nic się nie zmieniło. Bo i co mogło się tu zmienić! Ostre światło z nieba i żółte morze od krańca do krańca.

I oto byłem już mniej więcej w tym samym miejscu, w którym zeszła się spirala Wolnowa, i w którym raz przyśpieszał, raz zwalniał puls Kriestianczykowa. Współrzędne określić mogłem z dokładnością do stu metrów, nie większą. Nic interesującego tutaj nie zauważyłem. Ale wrażenie czegoś tajemniczego, znaczącego i budzącego trwogę narastało we mnie. Nie miałem już wątpliwości, że coś tu spotkam. Przecież nie bez powodu Kriestianczykow przeciął ów punkt dwa razy, a Wolnowa pchało tu po zstępującej spirali, ja zaś pędziłem wprost, chociaż powinienem teraz znajdować się w zupełnie innym kwadracie.

Piasek i słońce. Byłem jednak pewien. Co z tego, że na razie nie zobaczyłem, nie usłyszałem jeszcze niczego, ale to jest gdzieś tutaj. Łazik zaczął przemierzać kwadrat. W ciągu dwudziestu minut objechałem go wzdłuż i wszerz.

I nic...

Wobec tego zmieniłem taktykę. Jeśli ono mnie przyciąga, niech samo wskaże drogę. Zamknąłem oczy zdając się tylko na wyczucie. Koło sterowe w moich

rękach kręciło się to w lewo, to w prawo. Łazik jechał powoli, jakby po omacku, na oślep.

I nagle, nawet sobie tego nie uświadamiając, gwałtownie nacisnąłem na hamulce. Otworzyłem oczy... Wprost przede mną, w odległości około dwudziestu metrów wznosiła się jakaś dziwna konstrukcja. A przecie jeszcze minutę temu nie było jej tutaj. Nie rozumiałem tej budowli, nie widziałem w niej ni celu, ni sensu. A jednocześnie był to oczywisty wytwór intelektu, nie przyrody.

Wewnętrznie byłem przygotowany na coś nieoczekiwanego. A mimo to... A mimo to dałem się zaskoczyć. Lecz mózg pracował spokojnie, tylko tętno wzrosło i krew napłynęła do twarzy. Czułem to.

Zgodnie z instrukcją należało sfilmować wszystko, co zasługuje na uwagę. W instytucie porównają później kadry taśmy filmowej z modelem komputera. W stu przypadkach na sto obrazy powinny się zgodzić. Ale to ich sprawa... Uruchomiłem ustawioną na dachu łazika kamerę. Teraz należało się upewnić, że to coś nie jest niebezpieczne dla człowieka. Byłem o tym przekonany, ale nie potrafiłem powiedzieć dlaczego. Mało tego, że ono nie było dla mnie niebezpieczne, ono wzywało pomocy? Tak mi się wydało. Przypiąłem maskę tlenową, wśliznąłem się do śluzy i po minucie znalazłem się na piasku.

Co to? Czyżby komputer w naszym instytucie wymodelował jakąś konstrukcję? Specjalnie, żeby mnie — zadziwić? Albo wymyślono nowe badania? Albo w komputerze coś się zepsuło, zacięło i diabli wiedzą, co będzie teraz modelował? Zgasi słońce lub rozewrze przede mną odmęty oceanu. Ależ nie. Do takiego modelowania nie jest zdolny. A jeśli to przekłamanie... Jeśli nawet przekłamanie (choć coś takiego trudno podejrzewać), to przecie powinno pojawić się coś bezsensownego, cudacznego. I chociaż chwilę przedtem nie widziałem w dziwnej konstrukcji żadnego sensu, nagle wydało mi się, że mimo wszystko jest tworem logicznym.

Podobna była do bochna chleba. Do tej samej „bułki”, którą Wolnow ujrzał w koszmarnym śnie!.. Ale nie we śnie ją widział! Nie we śnie! Wszystko to działo się na jawie.

Ruszyłem, z trudem wyciągając nogi z piasku. Natrafiłem na zasypany do połowy ślad gąsienicy. Nie ma co, porządnie przemieszałem tutaj piasek swoim łazikiem.

I wtedy dotarło do mojej świadomości, że od kilku już minut nie słyszę mruczenia Strokina. Co więcej, nawet mu nie przekazałem, że natrafiłem na coś dziwnego. Ale co tam, dwie minuty jeszcze poczeka. Rzucę tylko okiem na wznoszącą się przede mną konstrukcję i wrócę do łazika.

A przede mną rzeczywiście wznosiła się prawie siedmio-, ośmiometrowa budowla. Wyglądała jak pewnego rodzaju półsfera z metalowych żeber, z występami i zagłębieniami. Podeszedłem bliżej i dotknąłem konstrukcji ręką. Powierzchnia była bardziej chłodna, niż można się było spodziewać przy takiej spiekocie. Zacząłem chodzić po okolicy, starannie omijając występy. Nie chciałem na razie ryzykować i nie zaglądałem nawet do wnętrza zagadkowych zagłębień. Powróciłem do miejsca, z którego zacząłem swój obchód. Ślady moich stóp były jeszcze wyraźnie widoczne.

Nie rozumiem... Co to jest?

Wszedłem do maszyny, wezwałem Strokina. Kolega ze zmiany nie odpowiedział. Milczał także automatyczny radio-nadajnik jego łazika. W zasadzie Strokina mógł po prostu zasnąć, co oczywiście było bardzo mało prawdopodobne. Ale dopóki maszyna znajdowała się na „Pięknej” powinien cały czas czuwać. Było wystarczająco dużo powodów do niepokoju. Przynajmniej jednego byłem winien: zanim wyszedłem z łazika, nie poinformowałem Strokina o dziwnej konstrukcji, nie przekazałem swoich planów. A wszystko przez to, że praca na modelu była jakaś taka pospolita. Zakończy się zmiana i od razu do domu. Na prawdziwej planecie nigdy bym tak nie postąpił.

Na „Pięknej” łączność między łazikami nigdy dotąd nie została przerwana, nigdy też nie zdarzały się zakłócenia w odbiorze radiowym. Możliwe, że to właśnie uspiło w pewien sposób moją czujność. Spokój i monotonia, piasek i słońce.

Czyżby Strokiniowi coś się przydarzyło? Ale co tu może się zdarzyć? Na dodatek ta konstrukcja! A dziwne trasy Kriestianczykowa i Wolnowa? Znaczy, że może!

Jeszcze się wahałem, chociaż w takiej sytuacji algorytm mojego zachowania był jednoznaczny. Niech sobie „Piękna” nawet na głowie staje, ale życie człowieka jest najważniejsze.

Aby nie objeżdżać tajemniczej konstrukcji, wrzuciłem wsteczny bieg i przejechałem pięćdziesiąt metrów.

Wciąż tak samo mruczał Strokina, aż do horyzontu nie było widać nic dziwnego. Ślad łazika urywał się jakieś pięć, siedem metrów przede mną. To wszystko spostrzegłem w ułamku sekundy.

— Kuriłow do Strokina! Kuriłow do Strokina! Słyszysz mnie? Odbiór! Odbiór!

— Strokina do Kuriłowa! Słyszę cię bardzo dobrze. Co się stało? Dlaczego tak krzyczysz?

— Wzywałem cię, ale nie odpowiadałeś. Przed minutą.

— Nikt mnie nie wzywał.

— Nadajnik radiowy twojego łazika też nie odpowiadał.

— A teraz?

— Teraz wszystko w porządku. Odpowiada. Ale teraz ty także mnie słyszysz! Dziwna sprawa...

— Jakąś piękność ujrzałeś w piaskach?

— Piękność? Tak, tak, właśnie „Piękną”! Była tutaj jakaś dziwna konstrukcja...

— Co znaczy: była?

— Była. A teraz nie ma. Obszedłem ją nawet dokoła, dotknąłem rękami. Około ośmiu metrów wysokości i piętnastu a może dwudziestu średnicy, jeśli nie brać pod uwagę wystających części.

— A więc ona ma już nawet wystające części?

— Ma, ma wszystko, co potrzeba. Chodzi tylko o to, że zniknęła. Z początku chciałem, żebyś udał się do instytutu i wezwał tu jeszcze kogoś. Ale nie ma już nic do pokazania. Co robić?

— Jesteś pewien, że była naprawdę?

— Myślisz, że to halucynacja? Nawet jeśli tak jest, to na „Pięknej” jest coś zagadkowego. Nigdy przedtem nie miałem halucynacji. A co w twoim kwadracie?

— Mój kwadrat jest pusty, jak wszystkie pozostałe na naszej „podopiecznej”. A „Piękna” to taka nazwa, imię? Dawno wymyśliłeś?

— Zupełnie niedawno. Ale nie o to teraz chodzi. Przecież Kriestianczykowi i Wolnowi czuli w tym punkcie coś dziwnego, niezrozumiałego. Ślad! Ślad! Dopiero co przejechałem na wstecznym biegu pięćdziesiąt metrów, a ślad łazika urywa się tuż przede mną.

— Uważam, że powinniśmy się spotkać — powiedział Strokin.

— Chyba tak. Ale najpierw mały eksperyment. Będę posuwał się do przodu i przez cały czas coś mówił, a ty słuchaj uważnie. Zrozumiałeś? Zaczynamy!... A „podopieczna” naprawdę jest piękna. Kiedy wrócimy do Instytutu oficjalnie zaproponuję, aby nazwać ją „Piękna”! Słuchaj! Znów ta sama konstrukcja! Strokin! Stro... Kuriłow do Strokina! Odbiór! Odbiór! Kuriłow do Strokina! Odbiór!

Nikt jednak nie odpowiadał.

Teraz już świadomie nie zawracałem łazika. W tym ruchu, to do przodu, to do tyłu coś było... A konstrukcja wciąż stała. I wszystko było tak samo, jak kilka

minut temu. Albo... albo nie. Tak, z całą pewnością wszystko było tak samo. Tylko nie wszystko wtedy zauważyłem, bo byłem pewien, że to właśnie konstrukcja, która nagle przede mną wyrosła jest dziwaczna. Teraz już bardziej uważałem. Po pierwsze łączność ze Strokinem znów została przerwana, Po drugie... A może mi się tylko wydaje? Za oknami maszyny nie było już takiego skwaru jak zawsze... Po trzecie, ślad mojego łazika, który przeszedłem piechotą biegł prostopadle do ruchu maszyny. Po czwarte, to był ślad po jednej gaśienicy.

Najpierw trzeba jednak nawiązać łączność ze Strokinem.

— Wrzuciłem wsteczny bieg i prawie natychmiast usłyszałem:

— ...riłowa! Odbiór! Odbiór!

— Kuriłow do Strokina! Słyszę dobrze. Kiedy zerwała się łączność?

— Na słowach: „I oficjalnie proponuję nazwę „Piękna”!

— Tak jest. Następną fraza brzmiała: „Słuchaj! Znów ta sama konstrukcja!”

Co robimy? Wygląda na to, że nie chodzi tutaj o zły przepływ fal radiowych. Po prostu gdzieś giną. Wątpię tylko, czy nasze centrum obliczeniowe potrafiłoby to wymodelować. A jakakolwiek awaria maszyny zostałaby zauważona i usunięta już dawno.

— Są dwa wyjścia: albo obaj niezwłocznie wracamy do instytutu, żeby wszystko opowiedzieć i niech kierownictwo podejmuje decyzję, albo spróbujmy dowiedzieć się czegokolwiek o tej twojej konstrukcji — ale we dwójkę. Nawiasem mówiąc, już choćby to, że na „podopiecznej”, tj. „Pięknej” łączność radio- wa ulega przerwaniu nie jest bez znaczenia. I jeśli nie są to wybryki centrum obliczeniowego, pracy starczy dla całego instytutu.

— Jestem pewien, że centrum obliczeniowe nie ma nic do tego. Czekam na ciebie w kwadracie Kriestianczykowa. Podałem współrzędne miejsca, w którym się obecnie znajduję. — Wymyślę dla ciebie jakiś znak. Albo... albo po prostu zostawię na tym samym miejscu łazik, a sam pójde piechotą.

— Myślisz, że można się tam dostać piechotą?

— Dlaczego nie? Zaraz spróbuję. Kieruj się nadajnikiem radiowym. Mniej więcej po dwóch minutach wywołam cię.

Wyszedłem z łazika i podążyłem śladami maszyny. Moją twarz chroniła wyłącznie maska tlenowa, a przeguby rąk w ogóle były odkryte. Czułem panujący tutaj straszliwy upał. Koleina po moim łaziku urywała się nagle, dosłownie jakby ucięta nożem. Chwilę stałem, a potem zrobiłem krok naprzód. Przede mną wznosiła się konstrukcja. Powietrze niewątpliwie zrobiło się chłodniejsze. I jeszcze coś dziwnego — horyzont jak gdyby się zwęził. Mogło to być spowo-

dowane również tym, że w łaziku znajdowałem się jakieś półtora metra wyżej. W równym miejscu, co też miało znaczenie.

Kilka minut zajął mi powrót do maszyny, wezwanie Strokin, poinformowanie go, co zamierzam robić dalej. Przekonałem się, że Strokin z maksymalną prędkością zbliża się do mojego kwadratu i wróciłem znowu do dziwnej budowli.

## 5.

Na łączność ze Strokinem powinienem wejść za pół godziny.

Ze trzy razy obszedłem jeszcze tajemniczą konstrukcję, śmieiej już zaglądając w nisze i opukując rękami wystające części, o ile wcześniej spostrzegłem jedynie, że to zbudowane było z metalu,, to teraz zacząłem nawet rozróżniać jego kolory. Przeważał malinowy z mnóstwem odcieni, przechodzących w żółć i fiolet. Doskonałość formy konstrukcji podsunęła mi myśl, że jest to jakieś skończone, samodzielne, specjalne urządzenie, nie posiadające żadnych związków funkcjonalnych z otaczającym światem. To znaczy przyszło mi na myśl, że jest to jakiś aparat latający, najpewniej kosmiczny. Jedna z nisz okazała się na tyle głęboka, że nie przenikało już do niej światło. Przekonanie, że nic mi tutaj nie grozi, powstało we mnie już dawno. Teraz wzmogło się jeszcze, wydawało się nawet, że zostało zasugerowane, że pochodzi z zewnątrz; nie przytłaczało, ale jakby przywoływało. Jak gdyby ktoś zapraszał mnie i prosił o pomoc.

Dłużej nie mogłem i nie chciałem sprzeciwiać się temu wezwaniu.

Nisza kończyła się włazem, przez który mogłem przepelznąć. Ruszyłem naprzód i po jakichś pięciu metrach znalazłem się w pomieszczeniu jasnym, dostatecznie przestronnym, okrągłym, z jakimiś statywami wzdłuż obwodu, z dwoma fotelami, czy raczej czymś mgliście przypominającym fotele, z pulpitem sterowniczym. W każdym razie coś mieniło się tutaj wszystkimi kolorami tęczy i było podobne do migotania lampek na schemacie mnemotechnicznym jakiegoś skomplikowanego urządzenia. W jednym z foteli spoczywała jakaś istota i patrzyła na mnie nieruchomymi oczyma. Wydało mi się, że nie żyje lub straciła przytomność. Wezwanie o pomoc, bez słów, ale żarliwe, pochodziło niewątpliwie od niej.

Coś poruszyło się w mojej głowie i wróciło na swoje miejsce. Spokojnie... Spokojnie... Spokojnie...

Czyjekolwiek byłyby to sztuczki, przede mną leżał człowiek. Zresztą nie zastanawiałem się — człowiek to, czy nie! Po prostu istota rozumna. Podeszedłem i położyłem rękę na wysokim czole. Rysy twarzy także były wyraźnie ludzkie. Oczy, usta, uszy, nos. Ręce, nogi, tułów. Zdawało się, że była to wierna kopia człowieka, choć ludzkimi wydawały się tylko oczy. Co robić? Co mu jest? Jak mogę mu pomóc? Mało brakowało, a wziąłbym go na ręce i zaniósł do łazika, żeby natychmiast przetransportować do instytutu. Ale w porę się opamiętałem. Po pierwsze — atmosfera. Właz do tego pomieszczenia, kajuty czy kabiny sterowniczej był otwarty. Całkiem możliwe, że istota oddychała właśnie takim powietrzem, jakie było na planecie. Ale ono jest przecież bardzo mało podobne do naszego. Może się zdarzyć, że jeden haust ziemskiego powietrza — i nie będzie kogo ratować. Po drugie, jeszcze jeden fotel. Nie wiedziałem, czy jest tutaj drugi członek załogi. Jeśli zaś jest, to żyje czy nie? Ślad jednogąsienicowy łazika nasywał myśl, że powinna być druga istota. Zrobiłbym teraz wszystko, co potrzeba, nie wiedziałem tylko właściwie co. Obejrzeć statek? Teraz byłem pewien, że jest to statek kosmiczny. Ale jak mu mimo wszystko pomóc? Rzuciłem się w jedną stronę, w drugą, omal nie strąciłem karafki z wodą, stojącej na statywie... i zatrzymałem się.

Dobrze. Statki kosmiczne, przedstawiciele innych cywilizacji, bardzo podobni do nas, komputer wciąż wygrywający barwne gamy — wszystko to możliwe. Przynajmniej dla mnie. Przecież nigdy nie spotkałem obcych przybyszów, jak zresztą inni ludzie na Ziemi... Ale... ale ta pospolita, zwyczajna, zbyt już ludzka karafka z wodą. Szklana karafka, podobna do tej, która stała w hallu naszego instytutu. Brakowało tylko numeru inwentarzowego!

— Pić — powiedziała istota.

Jasne. Jeśli jest karafka z wodą, dlaczego nie miałyby powiedzieć najczystszym językiem rosyjskim: „Daj no, mój drogi, napić się wody!”

Spokojnie wziąłem karafkę do rąk, woda nawet zabulgotała w niej tak jakoś swojsko i podniosłem ją do ust człowieka.

Teraz już na pewno: człowieka! Ten jednak nie otworzył ust. Musiałem włożyć dużo wysiłku, żeby rozsunąć ściśnięte zuchwy i wlać do ust trochę wody. Człowiek był nieprzytomny. Jak wobec tego mógł poprosić o wodę?

Postawiłem karafkę na miejsce i rozejrzałem się raz jeszcze. Żadnego innego wyjścia stąd nie było; Do tego pomieszczenia można było dostać się tylko w jeden jedyny sposób: przez ten sam włącz, który nawet trudno nazwać wejściem.

— Dziękuję — powiedział człowiek. — Pomóż jeszcze...

— Jak? Jak ci pomóc?



Tak jak przedtem, oczy człowieka były otwarte. A mimo to leżał nieprzytomny. W każdym razie nie ruszał się. I mówił nie otwierając ust. W porządku. Przeżyjemy. Telepatia! Przekazywanie myśli bezpośrednio z mózgu do mózgu. Nawet w tym, co najbardziej tajemnicze jest pewien porządek, który uspokaja, a w każdym razie sprawia, że niepojęte staje się do przyjęcia. Zaraz powie, pomyślałem, że zepsuła się dysza lub reflektor fotonowy silnika i poprosi o pomoc. Oczekiwałem nawet odpowiedzi na swoje nie wypowiedziane głośno myśli. Ale odpowiedzi nie było. Człowiek nie powiedział nic więcej.

— Ilu was tu jest? — zapytałem. — Dwóch? Więcej? Co to za urządzenie? Statek kosmiczny? Wiecie chociaż, że znajdujecie się na Ziemi?

Mogłem zadawać te pytania w nieskończoność. Sam potrzebowałem pomocy. Nie wiedziałem, co robić.

Ale przecież gdzieś tu niedaleko jest już łazik Strokin. W tym przypadku pomoc mógł mi wyłącznie on.

## 6.

Do swojego łazika wróciłem na czas. Maszyna Strokin właśnie się zbliżała. Zatrzymała się. Jeszcze chwila i Walery zjawił się przede mną. Miał na sobie taki sam kombinezon i maskę tlenową jak ja.

— No? — spytał niecierpliwie. — Co się dzieje?

— Przypuszczam, że jest to statek kosmiczny — odpowiedziałem. — Wewnątrz znajduje się człowiek. Nawet poprosił mnie o wodę, chociaż jest nieprzytomny.

— Czy ty wiesz, co mówisz? — zdumiał się Strokin. — Komputer naszego instytutu stworzył matematyczny model tej planety. I nagle najspokojniej na świecie na matematycznym modelu ląduje statek kosmiczny przybyszów z obcych planet!

— Nie wiem, czy lądował najspokojniej na świecie czy nie, ale istota znajdująca się wewnątrz niego potrzebuje pomocy. Tu kończy się ślad mojego łazika. Możesz zrobić krok naprzód i sam wszystko sprawdzić.

Strokin zrobił krok. Po pięciu minutach wrócił.

— Okazuje się, że masz rację. Tylko, że ich statek znajduje się nie na „podoicznej”, to jest nie na „Pięknej”.

— Co to znaczy?

Zamiast odpowiedzi Strokin zaproponował:

— Wprowadźmy tam jeden łązik i niech on określi kilka parametrów planety, a my zajmiemy się tą człekokształtną istotą.

— Człowiekiem — poprawilem.

Propozycja Strokiną była dobra. Tak też zrobiliśmy. Moja maszyna zgodnie ze standardowym programem zajęła się badaniem planety, która, jak mi się teraz wydawało, rzeczywiście wyraźnie odróżniała się od „Pięknej”. Ale jak mogliśmy pomóc temu człowiekowi? Walery okazał się bardziej bystry ode mnie. Zabrał ze sobą awaryjną apteczkę.

— Czyżbyś zamierzał leczyć go ziemskimi lekarstwami? — zapytałem.

— Nie, nie zamierzam. Ale warto spróbować ustalić, co się z nim stało.

— Jak to zrobisz? Przecież nic o nim nie wiemy.

— To wymyśl coś innego.

— Trzeba natychmiast zawieźć go do naszego instytutu. A tam niech już oni się sami martwią.

Długo jeszcze rozwodziłem się na temat możliwości naukowych naszego instytutu i innych organizacji naukowych miasta, w tym również medycznych.

Strokin słuchał mnie jednym uchem, to przykładając dłoń do czoła człowieka, to osłuchując go. Oczywiście, próbował określić, czy bije serce tej istoty.

— Szkoda — powiedział w końcu.

— Nie ma żadnej nadziei?

— Szkoda, że nie możemy przetransportować go do naszego instytutu.

— Ale dlaczego? — krzyknąłem i nagle zrozumiałem wszystko.

Nie! Przecież? to wszystko istnieje tylko w naszym mózgu. Przecież to tylko model, stworzony przez centrum obliczeniowe naszego instytutu badawczego. Nic nie zdołamy stąd wywieźć, tak samo jak i przywieźć tutaj. I żadnych szkodliwych odpadów produkcji przemysłowej także się nie przerzuci. I nie zostaną stworzone niezwykle synchronofazotrony.

— Wracaj natychmiast. Aleksieju — powiedział Strokin — Opowiedz tam wszystko szczegółowo. Potrzebny jest tutaj doświadczony lekarz. Wierzę, że znajdą takiego, i że zgodzi się odwiedzić nasz siódmy model.

Nie miałem ochoty zostawiać Strokiną samego. Ale innego wyjścia chyba rzeczywiście nie było.

— Pospiesz się, Aleksy — powiedział Strokin.

— Wszystko zrozumiałem. Zrobię. Weź tylko pod uwagę, że mimo wszystko powiedział do mnie kilka słów.

— Dobrze, wezmę to pod uwagę. A ty nie zapomnij poinformować, że wszystko to dzieje się nie na naszym modelu. Gdzie, nie wiem — ale na pewno

nie na naszym modelu.

Pędziłem swoim łazikiem do punktu wyjścia z modelu matematycznego. Parametry planety, na której pozostał Strokin, rzeczywiście wyraźnie różniły się od naszej „podopiecznej”. Miała mniejsze rozmiary i inny skład atmosfery, który prawie nadawał się do oddychania dla człowieka. Zawierała tylko trochę mniej tlenu, niż ziemską.

## 7.

Okazało się, że czekano już na mój powrót. Do hangaru zbiegł się prawie cały instytut, przynajmniej wszyscy potrzebni mi teraz ludzie.

Centrum obliczeniowe przeanalizowało dziwactwa w zachowaniu Kriestianczykowa i Wolnowa. I mimo, że nie została wydana żadna opinia, cały instytut już czekał na coś niezwykłego.

Pierwsze, co postarali się zrobić programiści, to znaleźć błąd w modelu naszej „podopiecznej”. Nie było ani błędu, ani awarii. Natychmiast zaczęto organizować ekspedycję ratunkową, w której skład włączono dwóch lekarzy. Zaproponowano mi odpoczynek, ale czułem się przewodnikiem, pionierem gwiazdnych szlaków i dlatego odmówiłem. Oczywiście, że oni, z kolei, nie mieli sumienia odsunąć mnie od dalszych prac.

Zostałem przerzucony na model jako pierwszy. Wyszedłem z łazika, który sam powrócił do instytutu. Po minucie przywiózł lekarza. Wkrótce potem pojawiły się jeszcze trzy maszyny. To po raz pierwszy zaczęli pracować ratownicy. Zdejmowano maszyny nawet z modelu samego Markielowa.

Po godzinie ekspedycja przybyła na miejsce, w którym stała maszyna Stroki-  
na. Kilku ludzi zostało obok niej, reszta poszła wzdłuż koleiny, która zawiodła nas właśnie do tego innego świata.

Znaleźliśmy Strokina usadowionego w drugim fotelu. Siedział zupełnie bez ruchu. Z początku myślałem, że i on także znajduje się w głębokim omdleniu. Ale eksperymentator poruszył się nagle i otworzył oczy. Twarz miał bardzo zmęczoną. Wstał z wielkim trudem.

— Możecie się nie spieszyć — powiedział. — Kontakt jest pewny. Ten człowiek modeluje nie tylko otaczający go świat, ale również samego siebie. Nie wiedział, że dla nas tak ważne jest wrażenie ruchu, życia. Wkrótce wstanie i

uściśnie nam ręce. A ci, którzy pragną z nim porozmawiać powinni usiąść w tym oto fotelu. Rozmowa odbędzie się w najczystszyim języku rosyjskim, ponieważ przekazywanie informacji odbywa się bezpośrednio z mózgu do mózgu. Proszę, kto ma ochotę?

Chcieli wszyscy, ale pierwszeństwo dano mnie. Bądź co bądź właśnie ja znalazłem dziwną budowlę. Usiadłem w fotelu i rozluźniłem się.

— Powtarzam raz jeszcze — powiedział człowiek. — Dziękuję ci za pomoc!

— Ależ nie ratowałem cię — zdziwiłem się — Nawet nie wiedziałem, co należy robić, kiedy potrzebowałeś tej pomocy?

— Kontakt został ustanowiony i to najważniejsze. Mój statek rzeczywiście miał awarię. Jego współrzędne nie mają dla ciebie znaczenia. Według miar kosmicznych z pewnością odnoszą się do innej galaktyki. Na wypadek podobnych zdarzeń posiadamy urządzenia do modelowania planet, na których po dokonaniu lądowania można przeprowadzić naprawę, a jeśli planety są zamieszkałe, to również wejść w kontakt z ich mieszkańcami.

— Ale przecież to wszystko jest fikcją — krzyknąłem. — Naprawdę modele nie istnieją. Są tylko w naszej wyobraźni!

— Oczywiście — zgodził się Człowiek. — Nasz kontakt także istnieje wyłącznie w naszej wyobraźni, a raczej w naszej świadomości, choć bez wyobraźni obejść się tutaj oczywiście nie można. Mój statek miał awarię. Zacząłem modelować różne światy, ale wszystkie niezbyt się dla mnie nadawały. Chodzi jeszcze o to, że uszkodzony jest również komputer. Ale prawie wszystkie cywilizacje przechodzą przy modelowaniu taki właśnie etap piaskowych planet. To pewna prawidłowość. A może ludzie myślą, że na świecie nie ma nic prostszego od piasku? Ponieważ modele nie egzystują w zwykłym czasie i przestrzeni, prawdopodobieństwo spotkania istot rozumnych na jednym z nich jest bardzo duże. Tak oto spotkałem was.

— Ale jak możemy ci pomóc?

— Myślami, ideami, czynem.

— Czekaj, między naszymi modelami można nawiązać łączność tylko w jednym jedynym punkcie, który znalazłem przypadkowo.

— Przecież sam nie wierzysz, że to przypadek. W zasadzie, jeśli tak chcecie, można nasze modele nałożyć na siebie całkowicie.

— To byłoby ciekawe. Mówiłeś, że statek i komputer uległy częściowej awarii. A jeśli maszyna by się całkiem zepsuła?

— Pozostałaby moja świadomość i wyobraźnia. Mimo wszystko można zbudować model.

- A jeżeli zarówno świadomość, jak i wyobraźnia...
- No cóż, nie jesteśmy nieśmiertelni.
- Ilu was jest na statku?
- Jestem sam.
- Kto wobec tego pozostawił ślad jednogąsienicowego łożnika?
- Nic o tym nie wiem.

Wstałem z fotela. Prawdopodobnie rozmawialiśmy na głos. Nic nie szkodzi. Każda taka rozmowa uzupełni nieco naszą wiedzę o nim. I choć trochę będziemy mogli mu pomóc. Wierzę w to.

## 8.

W ten sposób nasza „podopieczna” stała się sławna. I całkiem oficjalnie nazywa się „Piękna”.

Obydwa modele na zasadzie wzajemnej zgody zostały połączone w przestrzeni. Badacze i programiści mają pracy po uszy. Tym bardziej że nie została rozwiązana tajemnica koleiny łożnika. Wygląda na to, że w siódmym modelu był ktoś trzeci.

Chociaż na nasz model rzucono główne siły instytutu, zdarza się, że nie mam czasu wrócić po zmianie do domu. A kiedy jednak mi się to udaje, staję najpierw na tarasie widokowym i patrzę na pola i lasy za rzeką, na siwą mgiełkę nad horyzontem. A potem przepełnionym autobusem jadę do domu i tam zajmuję się najzwyklejszymi sprawami, powszednimi i niezmiennymi. I żona mówi mi często, że brak mi wyobraźni.

Nie protestuję. Możliwe, że ma rację. Zgadzam się.

A następnego dnia znów czeka na mnie „Piękna” ze swymi tajemnicami...

## Po co człowiek żył?

### 1.

Władimir Czesnokow zaglądał to w jedne, to w drugie drzwi, nie wiedząc, do kogo ma się zwrócić, i nie mogąc się zdecydować, żeby kogoś o to zapytać. Pracownicy gazety „Zorze Poranne” żywo kręcili się po korytarzu, nie zwracając nie niego uwagi — mało to obcych przychodzi do redakcji. Do obiadu jego postać tak się już wszystkim opatrzyła, że sekretarz odpowiedzialny rzucił w biegu:

— Potrzebny mi cięty tytuł do artykułu o obozach pionierskich, no?

— Mam wiersz — odpowiedział Czesnokow.

— Tylko żeby był niestandardowy i trafiający w sedno — dorzucił sekretarz, zatrzymując się. — No więc?

— Wiersz... proszę... — z wewnętrznej kieszeni marynarki Czesnokow ostrożnie wyjął kartkę papieru i zaczął ją rozkładać.

— Aha — sekretarz zmarszczył się z niezadowoleniem. — Wiersze, wiersze! Teraz już mało kto pisze prozą — powiedział i machnął ręką gdzieś w stronę końca korytarza.

Czesnokow dreptał w miejscu jeszcze jakiś czas i właśnie zamierzał plunąć na wszystko i pójść sobie, gdy na korytarzu znów pojawił się sekretarz.

— No i co z tym pańskim wierszem? Co powiedział Pionow?

— Nic.

— On zawsze tak. Niech się pan nie zniechęca.

— Wcale się z nim nie widziałem.

— Prawidłowo. On teraz jest na delegacji. Cała poezja jest na delegacji. A długi ten wiersz?

Czesnokow nie zdążył odpowiedzieć, gdy sekretarz odpowiedzialny ujął go pod rękę, podprowadził pod drzwi z tabliczką „Redaktor Naczelny” i wepchnąwszy go do pokoju, krzyknął:

— Timofiej Fiedorowiczu, to mój znajomy, Borys!

Czesnokow stał na środku pokoju, a jego zmieszanie doszło do zenitu. Timofiej Fiedorowicz, mężczyzna mniej wiecie i czterdziestoletni, już cierpiący na

zadyszkę, który dawno, dawno temu zapomniał, czym interesują się młodzi, siedział za stołem i pisał podanie o przeniesienie na inną posadę. Od dawna bowiem czuł, że przestał rozumieć młodych pracowników swojej gazety, którzy nosili modne bródki oraz jaskrawe golfy, i to nawet w największy upał. A i oni — wiedział o tym — nie zawsze go rozumieli.

— No, o co chodzi, Borysie?

— Wiersz... Jestem Władimir.

— Znakomicie. Proszę pokazać.

Czesnokow drżącą ręką podsunął mu kartkę papieru. Redaktor na kilka sekund pogрузzył się w czytaniu, a potem zapytał:

— Co pan chciał przez to powiedzieć?

— ?

— No, jaka jest idea, główna myśl tego wiersza?

— Ulicą szedł młody człowiek — zaczął Czesnokow, starając się mówić swobodnie i naturalnie. — Zobaczył dziewczynę i zrobiło mu się przyjemnie.

— A co było potem?

— Nie wiem... Po prostu zrobiło mu się przyjemnie.

— A więc nie pobrali się?

— Nie. On jej nigdy więcej nie spotkał.

— Skąd pan wie?

— Widziałem to na własne oczy.

— No dobrze. Wprost wspaniale. I co by pan chciał z tym zrobić? Opublikować w naszej gazecie?

— Po prostu przyszedłem. Komuś przecież trzeba pokazać.

— A pan co, zamierza pan zająć się tym na serio? Poświęcić całe życie? Czy tylko tak, po prostu?

— Chciałbym na serio — odrzekł odważnie Czesnokow.

— Zuch! — redaktor wyszedł zza biurka i poklepał początkującego poetę po ramieniu. — Gdyby pan to napisał ot tak, po prostu, to za jakieś dwa, trzy tygodnie wydrukowalibyśmy. Ale skoro pan to traktuje serio, to trzeba będzie jeszcze popracować. Na serio jest zawsze trudniej niż ot tak, po prostu.

W dwadzieścia minut później Czesnokow wyszedł z redakcji radosny i uśmiechnięty. Wiersza mu oczywiście nie przyjęto, jednakże ile pożytecznych rad usłyszał, a ile interesujących tematów podpowiedział mu redaktor! W przyszłości zaś, jeśli jego wiersze okażą się świeże i oryginalne, to i wydrukują. Słowo honoru — wydrukują!

Czesnokow dobiegł do swego mieszkania na piątym piętrze, z hałasem otworzył drzwi, pocałował żonę Anieczkę, rzucił się na tapczan i zawołał:

— Praca i jeszcze raz praca! — po czym zaczął jej wszystko dokładnie opowiadać.

Anieczka przysiadła na skraju tapczanu, otworzyła szeroko swoje niebieskie oczy i wydawała ochy i achy, przyciskając piąstki do piersi w szczególnie dramatycznych miejscach opowieści. Tak to uważnie, nie przerywając, wysłuchiwała opowiadania Wołodienki. A gdy już skończył, powiedziała:

— Wołodka, przecież ty w duszy i tak jesteś poetą. Ja to wiem.

Władimir zmieszał się, zaczął zaprzeczać, lecz Ania przerwała mu:

— Czy naprawdę zostaniesz prawdziwym, powszechnie uznawanym poetą?

Czesnokow westchnął i twardo powiedział:

— Wszystko zależy tylko od nas samych.

Anieczka potwierdzająco skinęła głową.

## 2.

Czesnokow pracował jako starszy inżynier w fabryce sprzętu radiowego, Anieczka zaś zatrudniona była przy wyrobie tortów w zakładach cukierniczych. Oboje kochali wiersze i znali się na poezji. Oboje w ogóle kochali literaturę i sporą część pieniędzy wydawali na zakup książek, co wzbudzało zdumienie, a niekiedy nawet śmiech sąsiada z piętra, Beniamina Kondratiuka, którego cały budżet podporządkowany był jednemu tylko celowi — zakupowi skutera, motocykla, motocykla z przyczepą, zaporozca, moskwicza itd.

Czesnokow na trzy miesiące zwolniony został z mycia podłóg w mieszkaniu. Jak pisać, to pisać.

Przychodzili z pracy niemal jednocześnie, odgrzewali wczorajszy barszcz lub zupę z kluskami i przegryzali coś naprędce. A potem Władimir kładł na stole arkusz czystego papieru, długopis i zaczynał chodzić po pokoju tam i z powrotem. Anieczka natomiast zabierała się do prac domowych, które nigdy nie mają końca, choćby się nie wiem jak o to starać.

Początek każdego takiego wieczoru mijał Czesnokowowi po próżnicy. Nie był w stanie niczego napisać. Do głowy cisnęły mu się przeróżne bzdury, które co prawda znakomicie się rymowały, lecz nie było w nich ani krzty uczucia, prawdy, wzlotu fantazji — były płaskie, rzemieślnicze, jak robione na zamówienie przedmioty codziennego użytku.

— Wowka, przestań się męczyć — mawiała wtedy Anieczka, odrywając się od swojej pracy i wycierając mokre ręce w fartuch. Obejmowała go za szyję



swoimi małymi silnymi rękami i spoglądała mu w oczy. A jej oczy były jego maleńkim, lecz interesującym i serdecznym światem. Maleńkim wszechświatem.

— No, puść mnie — mówiła.

— Poczekaj, jeszcze nie wszystko wyczytałem.

— A cóż tam można wyczytać?

— Wszystko. Tam są wszystkie moje wiersze.

Przytuliła mu się do piersi i słuchała bicia jego serca, zachwyconego i oszalałego.

A potem siadali na tapczanie lub po prostu na podłodze i ona pytała go o coś, a on odpowiadał. Albo on pytał, a ona odpowiadała. Wspominali — „a pamiętasz?”, marzyli — „ale będzie fajnie”, kłócili się — „nie masz racji, Wołodka”, rozwiązywali tysiące problemów i stwarzali tysiące nowych. W głowie Czesnokowa rodziła się muzyka i wiersze. Wiersze zawsze wiązały mu się z muzyką. Milkła wtedy, czując, że dzieje się z nim coś niezwykłego. Być może właśnie ów stan niezwykłości kochała w nim najbardziej. Stawał się wtedy właśnie taki, jaki był w dniu ich poznania. I chciała, żeby zawsze był taki — bliski, drogi i dziwny.

— Przeczytaj — prosiła cichutko.

Wtedy zaczynał mówić. A ona przenosiła się w dziwny, niezwykły, lecz zarazem zadziwiająco znajomy świat.

Byli tam ich przyjaciele i znajomi, stare syberyjskie miasteczko, morski wiatr, rozsiane światełka gwiazd, młodziutkie drzewka i krzyki dzieciaków za oknem. Wszystko było takie, jakie przywykła widywać każdego dnia i tylko jakiś zwrot w jego nastroju sprawiał, że nagle wszystko to stawało się świeże i zadziwiająco nieoczekiwane. Świat ukazywał się w jakimś zupełnie nowym świetle. Być może było to natchnienie. A może talent. W jego świecie ludzie śmiali się i płakali, cieszyli i martwili, kochali się i nienawidzili. Wszystko jednak było tam szlachetne, dziwne i nieoczekiwane. I jeśli nawet do jego wierszy wdzierał się niekiedy okrzyk bólu i rozpaczy na widok ułomności stosunku człowieka do człowieka, to brzmiał on jak dysonans. Bardzo dziwny dysonans, bez którego cała muzyka poezji przekształca się w gładki banał.

Niepotrzebne pióro i papier wały się na stole.

— Zdaje się, że zaczyna się kompletna bzdura — mówił, szli więc na spacer do Lasku Uniwersyteckiego lub do Parku Pionierów, jeśli pogoda była ładna, lub też otworzywszy drzwi na balkon, słuchali szumu deszczu. I milczeli.

Ileż to można sobie powiedzieć takim milczeniem!

Czasami sam zapisywał wiersze, czasami robiła to Ania.

Zdarzało się, że coś się w nim „zaklinowywało” i pisanie wierszy mu nie szło. Wychodzili wtedy do najbliższego sklepu, kupowali wielką butelkę wina i szli do kogoś lub też zapraszali kogoś do siebie.

### 3.

Sąsiad z piętra kupił sobie skuter. Czesnokow pomagał mu załadować go na samochód, wprowadzić do garażu i wraz z żoną został zaproszony na „oblewanie” zakupu.

Zebrało się około ośmiu osób, sami zagorzali motocykliści i automobiliści. Rozmowa oczywiście kręciła się wokół tematów motoryzacyjnych. Wszyscy gratulowali Kondratiukowi, wznosili toasty za koła, za kierownicę, za części zamienne. Ze wszystkich stron sypały się dobre rady. Benjamin Kondratiuk promieniał. Jego żona niepostrzeżenie snuła się z kuchni do pokoju roznosząc szklanki i talerze.

Czesnokow z początku czuł się bardzo obco, lecz potem stopniowo zaczął się oswajać. Kondratiuk raz po raz biegał do garażu, aby popatrzeć, czy ktoś nie gwizdnął mu skuterem. Ale skuterem nikt nie gwizdnął. Kondratiuk pokazywał wszystkim kluczyk do stacyjki i skwapliwie zanurzał go w szklance z wódką.

— A dlaczego i wy nie mielibyście kupić skuterem — zwrócił się do Czesnokowa.

— Rzeczywiście, dlaczego — podniosły się głosy. — To coś wspaniałego. Do lasu, na targ po kartofle. Wszędzie szybko.

— Jakoś nie myśleliśmy o tym — powiedział Czesnokow.

— I nie stać nas na to — dodała Anieczka.

— Aha, nie stać was! Na książki, na bzdury to was stać! A na skuter nie!

— Książki to nie bzdura — powiedział Czesnokow.

— No a po co wam tyle książek?

— A po co tobie skuter?

— A choćby po to, żeby pojechać do lasu. Nie będę musiał tłoczyć się w autobusie. Chcę, to jadę. W każdej chwili.

— Tak samo jest z książkami. Chcę, to biorę z półki i czytam.

— No więc przeczytasz raz i wystarczy. A można też pożyczyć z biblioteki.

— Można także jeździć taksówką. Po co skuter?

Kondratiuk speszył się nieco.

— Skuter opłaca się mieć. Będę na nim jeździł. A u was cała ta makulatura stoi bez pożytku. Po co?

— To nie makulatura. To ludzie, przyjaciele. Wierni i na całe życie.

— To kłamstwo! Wy chcecie, żeby uważano was za intelektualistów! Żeby jak ktoś przyjdzie do was do domu, to pierwsze żeby zobaczył półki z książkami. Że niby mądry ludzie tu mieszkają. Kredens z naczyniami, znaczy się, do kąta, a na widocznym miejscu książki... Wiedźcie wszyscy, że jesteśmy lepsi od sąsiada! Kupił skuter, ale książek nie kupuje! Pismaki za darmo biorą honoraria! Ziemię by im kazać kopać!

— To już przesadziłeś — zaczęto uspokajać Kondratiuka.

— Wielka mi rzecz — krzyczał gospodarz. — Ja też zafunduję sobie szafę z książkami.

— Ale się zatokował — powiedział Czesnokow.

— Najpierw kupię motocykl, a potem ustawię sobie pełną szafę książek, niech wszyscy wiedzą, że ze mnie też nie dureń.

— Chodźmy do domu, Wołodia — powiedziała Ania.

— Nie pójdę! — wrzasnął Czesnokow, uderzając pięścią w stół. — A ja nie dam ci kupować książek! Nie pozwolę! W nich są ludzie, myśli. I oni mają teraz iść do twojej szafy, do grobu? Toż oni tam pousychają, powariują, poumierają. Nie pozwolę!

Anieczka ciągnęła Czesnokowa za rękaw. Kondratiuka trzymano za marynarkę, a on ciągle rwał się do rękoczynów.

Na drugi dzień Czesnokow obudził się z okropnym niesmakiem w ustach. Chwała Bogu, że przynajmniej głowa go nie bolała. Anieczka powiedziała tylko:

— Jak ty mogłeś wdać się z nim w tę rozmowę?

— A czy to ja zacząłem? — tłumaczył się Czesnokow.

Na schodach spotkał Kondratiuka. Było mu jakoś głupio z powodu wczorajszego wieczoru, spytał więc:

— Eee... Beniamin, no i jak tam twój skuter?

— Dziękuję, w porządku — odrzekł Kondratiuk. On także czuł się niezbyt pewnie po wczorajszej kłótni. — Słuchaj, Władimir, może dałbyś mi coś do czytania. Coś chwytającego za serce.

— Nic takiego nie mam, zresztą wątpię, czy w ogóle coś takiego znajdziesz — odpowiedział Czesnokow, lecz Komdratiuk nie zrozumiał ironii.

— Rozumiesz, coś takiego współczesnego. Coś, co w tym roku kandyduje do nagrody państwowej.

Przypalili papierosy od jednej zapalki i wyszli razem z bramy.

Pracowali w jednej fabryce, na jednym oddziale.

Przez jakiś tydzień Czesnokow prosił Anieczkę, aby nie odważyła mu się nawet wspomnieć o wierszach i o literaturze w ogóle.

Potem mu przeszło.

#### 4.

W trzy miesiące później gotowych było około trzydziestu wierszy. Czesnokow dał je do przepisania maszynistce pracującej w domu. Okropnie się przy tym denerwował i tak się wstydził, że podał nawet inne nazwisko. A gdy wreszcie wszystko już było przepisane, odetchnął z ulgą. W któryś piątek po pracy włożył śnieżnobiałą koszulę, czarny garnitur, zawiązał nylonowy krawat, pocałował Anieczkę w usta i skierował się do redakcji.

Nie namyślając się wiele, poszedł wprost do gabinetu redaktora naczelnego. Naczelny był jednak nie w humorze. W żaden sposób nie chciano go zwolnić z pracy w gazecie młodzieżowej. O jedynej wizycie Czesnokowa oczywiście zapomniał, a teraz rozdrażnionym i nieprzyjaznym tonem poprosił go, aby się wyniósł. Czesnokow, niczego nie pojmując — wszak kazano mu przyjść za trzy miesiące — wyskoczył na korytarz, a zebrawszy myśli, zdecydował się machnąć ręką na wszystko i iść do domu. Naczelnemu, który w rzeczywistości był dobrym i porządnym — człowiekiem, zrobiło się wstyd, że tak ni stąd, ni zowąd nakrzyczał na obcego człowieka, i w Mika sekund później on także był na korytarzu. Czesnokow jeszcze nie odszedł. Naczelny odetchnął z ulgą.

— A właściwie o co chodzi, młody człowieku?

Czesnokow przypomniał mu pokrótce swoją pierwszą wizytę i zmieszany, wyciągnął plik kartek. Naczelny zaprowadził go do działu poezji, do Pionowa. Przez chwilę porozmawiali przyjaźnie i Czesnokow zostawił swoje wiersze. Pionow rzucił na nie okiem:

— No, coś w tym jest... — powiedział, po czym zapisał sobie adres i telefon Czesnokowa, obiecując zadzwonić w przyszłym tygodniu.

Minęły cztery dni i Pionow rzeczywiście zadzwonił. Prosił, aby Czesnokow bezzwłocznie przyszedł do redakcji. Sprawa jest pilna i bardzo ważna.

Czesnokow zwolnił się z pracy i popędził do redakcji. „Gdyby zdecydowali się odrzucić, to nie mieliby mnie po co wzywać — myślał. — A więc pewnie wydrukują”.

Z portierni fabryki wyskoczył radosny i omal że nie śpiewał na całe gardło, jednakże w miarę zbliżania się do redakcji, coraz bardziej spuszczał z tonu, a nawet zaczął się denerwować.

Pionow przyjął Czesnokowa dość życzliwie, posadził go w fotelu, zaproponował papierosa i przez kilka minut przyglądał mu się w milczeniu, udając, że pogrążony jest w papierach leżących na stole.

Milczał także Czesnokow.

— Przeczytałem pańskie wiersze — odezwał się wreszcie Pionow. — I w niczym nie przesadzę, jeśli powiem panu, że są świetne.

Czesnokowowi nie wiadomo dlaczego serce zamarło.

— Sam jestem poetą — ciągnął Pionow. — Wkrótce w wydawnictwie zachodniosyberyjskim ukaże się mój zbiorek. Wiem, co mówię. Napisał pan to z talentem. A kiedy pan je pisał?

— Od czerwca do sierpnia — odpowiedział Czesnokow, czując w duszy narastający chłód. Coś szczególnego w głosie Pionowa powiedziało mu, że z wierszami kiepska sprawa. Nie wydrukują. W żadnym razie nie wydrukują. — Trzy miesiące. Skończyłem pisać mniej więcej dwa tygodnie temu.

— A gdyby to się okazało potrzebne, to jak zatytułowałby pan cały cykl?

W niewielkim pokoju wisiały kłęby dymu. Ktoś zaczął dawać znaki, próbując wyciągnąć Pionowa na korytarz, on jednak krzyknął tylko:

— Proszę zamknąć drzwi! Nie widzicie, że jestem zajęty?

— Nazwałbym go „Zdziwienie” — odparł Czesnokow.

— Dziwne — szepnął Pionow. — Bardzo dziwne...

— A co się stało? — zapytał Czesnokow.

— Czy może pokazywał pan komuś swoje wiersze? — nie odpowiadając na pytanie zagadnął go Pionow. — Przyjaciołom? Znajomym?

— Nie, nikomu. Nawet nie przyszło mi to do głowy.

— Dziwne. I nigdzie ich pan wcześniej nie słyszał ani u nikogo nie widział?... Zresztą powiem panu wszystko: Jak już mówiłem, pańskie wiersze wzruszyły mnie. Zrobiłem z nich wybór. Mamy taką rubrykę „Młode głosy”. Pochwalił je także Tinnofiej Fiedorowicz. Tymczasem przyszedł do nas kiedyś Sieriegin. Zna go pan? To nasz syberyjski poeta.

— Znam — kiwnął głową Czesnokow. — Czytałem go.

— Często wpada tu do nas. Czyta wszystko, co przygotowujemy do druku. Czasem poprawia. Przeczytał także pańskie wiersze i powiedział... że to jego wiersze. Ot co.

— Jak to jego? — bezgłośnie spytał Czesnokow.

— Spodziewam się go tu lada moment. Zaprosiłem go. Sam pan rozumie. Redakcja musi to zbadać. Nie możemy się stawiać w głupim położeniu.

— To moje wiersze — wyszeptał Czesnokow.

— Poeta z niego ot, taki sobie, miernota — ciągnął dalej Pionow, jak gdyby nie słysząc słów Czesnokowa. — Jakimś cudem udało mu się jednak wydać cztery książeczki: wszystko niewiarygodna szarżyzna. I tu nagle taki fajerwerk myśli... Posłał już rękopis do wydawnictwa. I przyjęli. A tytuł jest taki sam: „Zdziwienie”. Rozumie pan, co za heca?

Pionow wstał zza biurka i zaczął spacerować po pokoju, uderzając kulakiem w otwartą dłoń i podśpiewując coś w roztargnieniu.

— Jeśli dobrze zrozumiałem — złamanym głosem odezwał się nagle Czesnokow — posądza się mnie o kradzież...

— Ale co też pan! — zdenerwował się Pionow. — Nikogo o nic nie posądzam. Po prostu redakcja musi to zbadać. A poza tym... Sieriegin to już uznany poeta. Latem, jak sam mówi, miał przyływ natchnienia.

— To moje wiersze — powiedział z mocą Czesnokow.

W tej chwili drzwi się otworzyły i do pokoju swobodnie, niemal jak do własnego mieszkania wszedł mężczyzna w średnim wieku, z teczką pod pachą.

— Serwus, Gisza — przywitał Pionowa poufale. — Siergiej Sieriegin — wyciągnął rękę do Czesnokowa.

Ten podniósł się niezdarnie, jedną ręką trzymając się oparcia fotela.

— Czesnokow.

— Ach, tak. Cie-ka-we!

Przez następne piętnaście minut Czesnokow milczał. Mówił Sieriegin. Rzucił na stół stertę kartek zapisanych bądź to ołówkiem, bądź to na maszynie, po czym zaczął się rozwodzić, jak to po półrocznej przerwie spłynęło na niego natchnienie, jaka to opanowała go radość poetyckich odkryć oraz przeświadczenie, że to, co pisze, stanie się prawdziwym kamieniem milowym w poezji.

— Proszę, wszystko tu jest: piekielna praca, bezsenne noce, tony papieru. Na każdej kartce znajduje się data. Można prześledzić, jak rodziły się te wiersze. Na szczęście nie niszczę brudnopisów. Oto dowód, że wszystko to jest moje. Wydawnictwo już je prawie przyjęło. Wkrótce umowa... W tych dniach mam też zostać przyjęty do Związku Pisarzy. A pan co, ma pan brudnopisy z datami?

— Brudnopisy są u Anieczki — odparł Czesnokow.

— U Anieczkina? — zaniepokoił się Sieriegin. — Nie znam takiego.

— U Anieczki! — krzyknął Czesnokow. — U mojej żony! W głowie! Rozumie pan?

— Tak, tak. Rozumiem — ucieszył się Sieriegin. — To znaczy, że brudnopisów pan nie ma? Cóż więc skłoniło pana...

— W każdym razie nie kamień milowy...

— Jaki znowu kamień milowy?

— Prawdziwy kamień milowy w poezji. Przecież sam pan tak powiedział. Ja pisałem dlatego, że nie mogłem nie pisać.

Do pokoju wszedł naczelny i skromnie usadowił się na taborecie.

— A zatem co robić? — z nieskrywaną rozpaczą zapytał Pionow.

— W każdym razie niczego w gazecie nie zamieszczać — podpowiedział Sieriegin.

— No, to jasne — mruknął Pionow. — Ale co dalej?

— To plagiat! Ja tego tak nie zostawię! Podam do sądu!

— Czy pan także zamierza dochodzić swoich praw? — Pionow zwrócił się do Czesnokowa.

— A więc procesować się, o to panu chodzi? — upewnił się Czesnokow. — Wątpię. Przecież nie mam brudnopisów.

„Ech, biedaczysko! — pomyślał naczelny. — Nie o brudnopisy tu chodzi, a o człowieka”.

— Oświadczam z całą odpowiedzialnością!... — nie wiadomo do kogo zwracając się krzyczał Sieriegin.

Czesnokow wstał niezdarne, wymamrotał „do widzenia” i skierował się ku wyjściu.

— Wychodzi pan? — zawołał za nim Pionow. — Niech pan jeszcze coś przyniesie! Może być po jednym wierszu.

— Słupem milowym oznaczyłem ten odcinek poezji i nikomu nie pozwolę!... — wciąż jeszcze krzyczał Sieriegin.

„Ohoho — pomyślał redaktor naczelny. — Nie o poezję ci, bratku, chodzi, ale o swoje miejsce tutaj, na naszej matce-Ziemi. Żeby ci się na niej żyło dostatniej i wygodniej. I nie popuścisz. Włóczyeniem po sądach zamęczysz”.

— Niech pan przyjdzie, Władimirze Pietrowiczu! — jeszcze raz zawołał Pionow.

Czesnokow ostrożnie zamknął drzwi i zgarbiony wyszedł na ulicę.

## 5.

Mżył deszcz. Wrzesień. Wilgoć. Parszywy nastrój.

Czesnokow powłóczył się trochę po Uniwersyteckim Lasku, usiłując nie myśleć o niczym. Wkrótce niebo przejaśniło się. We wrześniu deszcz nie pada jeszcze całymi tygodniami.

Kiedy otworzył drzwi mieszkania, Anieczka była już w domu. I choć robił, co mógł, żeby wydać jej się spokojnym, natychmiast zauważyła, że stało się coś niedobrego. Spojrzała nań błagalnie, ale on pokręcił przecząco głową, zrezygnowała więc z wszelkich pytań. W chwilę później sam podszedł do niej, pogłaskał jej włosy i ująwszy ją za podbródek, uniósł jej nieco głowę, po czym uśmiechając się smutno, opowiedział o wszystkim. Ani razu nie przerwała mu pytaniem, tylko jej oczy to rozszerzały się, to zwężały.

— No ale przecież ty chyba nie myślisz, że on w jakiś sposób przywłaszczył sobie twoje wiersze? — spytała, kiedy skończył, a jej głos był jakby ciut ciut przestraszony.

— Oczywiście, że nie, Anieczko. To po prostu absurdalny zbieg okoliczności. Przykro...

I wtedy zaczęła płakać, a on nie prosił, aby się uspokoiła; wiedział, że nie trzeba tego robić.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Okazało się, że to ich sąsiad, Kondratiuk.

— Potrzebuję rozmienić rubelka.

— Zajdź — powiedział Czesnokow.

Kondratiuk wszedł do pokoju, ujrzał zapłakaną twarz Ani i zapytał:

— Co się tu u was dzieje? Pogrzeb czy co?

Czesnokow nie umiał kłamać, w dwóch słowach opowiedział więc, co się stało.

— Oho, to znaczy, że chcesz się wykierować na poetę!

— Na nikogo się nie chcę wykierować — odparł Czesnokow.

— Nie bądź taki skromny, nie bądź taki skromny. Wal, jeśli tylko masz możliwość. Tam dobrze płacą. Dlatego właśnie wszyscy się tam pchają.

— Nie wszyscy.

— Wszyscy, wszyscy. A tymczasem nowych pomysłów mało. No więc ściągają jeden drugiemu: ten wiersze, a tamten nawet powieść. I tobie też gwizdnęli. Procesuj się, oto moja rada. Być może coś ci wpadnie. A najlepiej to kup sobie skuter. Dwa kółka, bracie, zawsze się oplacają. Ja już malin, porzeczek i innej tam drobnicy za blisko dwieście rubli nazwoziłem.

— I co z tym robisz? Sprzedajesz czy co?

— Nie-e! Za dużo z tym kłopotu. Niechby tak mnie koledzy zobaczyli na targu ze szklanką w ręce, wyśmialiby. A ja lubię, żeby wszystko było cicho i



spokojnie. Żona na zimę smaży. Umówiliśmy się z bratem: on daje cukier, a ja jagody. Mówię ci, dwa kółka to jest coś. Weź w zimie na raty. W ciągu lata koszty ci się zwrócą. Zobaczysz.

— Beniaminie, zdaje mi się, że ktoś ci chce gwizdnąć skuter. Słyszysz, ktoś zapuszcza motor.

Kondratiuk wyciągnął szyję i zaczął nadśłuchiwać, a potem rzucił się do drzwi, zapominając rozmiąć rubla.

— Jesteś głodny, Wołodia? — spytała Ania.

— Jak wilk — odparł Czesnokow. — Sto lat nie jadłem — dodał i roześmiał się.

Ania spojrzała na niego spod oka i też się roześmiała.

— No to siadaj.

Zadźwięczały talerze. Znowu odezwał się dzwonek u drzwi i znowu był to Kondratiuk.

— Wszystko w porządku — powiedział, szczerząc zęby w uśmiechu. — Mnie tam nie mogą niczego gwizdnąć. Ja mam, bracie, takie zaimki!

Nagle spojrzał zdziwiony, wzruszył ramionami i zapytał:

— A wy co, wesele teraz macie czy imieniny? Czemu się śmiejecie?

— Jeść mi się chce, stary — powiedział Czesnokow. — Rozumiesz, bracie, tak mi się chce jeść, że już nie mogę wytrzymać.

— Ahaa — przeciągnął Kondratiuk z niedowierzaniem. — W takim razie rozumiem. No, dobra, a co będzie z moim rubelkiem?

Kondratiuk wyszedł zadowolony — rubla rozmiął, ze skuterem wszystko w porządku, a więc czego tu jeszcze chcieć?

— Wołodia — powiedziała Ania wieczorem, kiedy szli spać — ja przecież wiem, że ty jeszcze wiele napiszesz.

— Wiele, bardzo wiele.

A jednak po tym wydarzeniu Czesnokow jakoś oklapł. Mimo wszystko czuł się okropnie. I nawet nie o to mu chodziło, że wkrótce miał się ukazać jego zbiorek pod cudzym nazwiskiem, a już z pewnością nie o to, że ktoś inny weźmie za niego honorarium. Czesnokow czuł, że Sieriegin po prostu nie mógł napisać takich wierszy. Co innego pisać wiersze po to, aby w oczach ukochanej kobiety ujrzeć wyraz radosnego zdumienia, a co innego po to, by stać się kamieniem milowym w poezji.

Zbieg okoliczności? Oczywiście. Przecież Sieriegin ich nie ukradł! Ale dlaczego to musiał być właśnie on? Czesnokowowi byłoby lżej, gdyby to był ktoś

inny. Pionow, albo choćby sam redaktor naczelny gazety. Ach, prawda, naczelny nie pisuje wierszy.

Czesnokow zabrał się do prac domowych. Trzeba było odnowić mieszkanie. Pracował z jakąś dziwną pasją. Z hałasem zeszkrobywał z sufitu ledwie trzymający się tynk, wyrywał „z mięsem” gwoździe z rozeschniętej podłogi, w ciągu wieczoru wypijał trzy litry kwasu i wyśpiewywał na całe gardło arie z popularnych operetek.

— Wowka — mówiła Ania — no, zastanówże się, przecież ty naprawdę wcale nie jesteś taki. Co ty za pozę przybierasz?

— Jestem taki, jestem siaki — recytatywem ciągnął Czesnokow. — Jestem jakiś taki.

— Nieprawda. Teraz jesteś rozgoryczony. Ale na kogo? Po co?

Czesnokow, nie odpowiadając, jednym uderzeniem młotka wbił gwóźdź w deskę aż po samą główkę.

Któregoś dnia, fałszując rozpaczliwie, zaśpiewał: „Czy książę jest zdrow? Dlaczego wpadł w zadumę?”.

Ania ze łzami w oczach wpadła do pokoju i krzyknęła:

— Tchorz! Zdradziłeś się! Ty myślisz, że to nie żaden zbieg okoliczności, tylko że on ci wiersze ukradł! I dlatego się wściekasz!

— Nie, wcale tak nie myślę. A w ogóle to rzeczywiście czuję się parszywie i jest mi przykro. Wkrótce mi przejdzie i wszystko pójdzie w niepamięć. Chciałabyś — nowe wiersze? Ciepłe, prosto z pieca! No powiedz, chciałabyś?

— Chciałabym — powiedziała Ania i brudnymi rękami wytarła oczy.

Było tego zaledwie osiem zwrotek surowo wyciosanych z twardego kamienia, lecz Ania zrozumiała, że Wowce ulżyło, że odżył.

A w dwa tygodnie później spotkał te wiersze w „Litieraturnej gaziecie”. Pod wierszami widniało nazwisko jakiegoś poety nie znanego Czesnokowowi.

Czesnokow nawet się nie zdziwił, ani też nie grał roli człowieka pokrzywdzonego i z trudem poddającego się zrządzonemu losu. Przestał zapisywać swoje wiersze, nie starał się też ich zapamiętać, lecz po prostu w długie zimowe wieczory improwizował przed jedyną swoją słuchaczką — Anieczką. Nienadzwyczajny był z niego recytator. Ze sceny, być może, nawet nie chciano by go słuchać. A szkoda. Bo wystarczyło mu tylko zaufać i zrozumieć, że świat rodzący się w jego wierszach to świat prawdziwy, niezależnie od całej swej fantastyczności.

A Anieczka ufała mu i rozumiała go.

Gdyby tak przypadkiem obecny był na tych wieczornych czytaniach Kondratiuk, zapewne zdziwiłby się i powiedział:

— Ależ bucha z ciebie, Czesnokow! Po prostu tryskasz wierszami. Zapisuj je tylko i zamieniaj na walutę. Skuter ku...

Lecz Kondratiuk nigdy nie słyszał wierszy Czesnokowa — to się nie opłacało, czyli — nie miało sensu. Zresztą w jego wiersze Czesnokowa rozsypałyby się w bezbronnych słów, nieśmiały, niezdatnych, śmiesznych.

Anieczka potajemnie zapisywała zwrotki, które zdołała zapamiętać a pamięć miała znakomitą. Paczka kartek puchła z miesiąca na miesiąc. Czesnokow wiedział, że żona usiłuje „zachować dla potomności” jego utwory, lecz nie zamierzał jej tego zabraniać. Nigdy też nie prosił, aby mu je przeczytała. Zresztą po co miał czytać brudnopisy? Wszystkie swoje wiersze mógł spotkać w gazetach, w czasopismach, w zbiorach. Prawda, że zawsze widniały pod nimi cudze nazwiska. Ale cóż z tego?

Kilka razy do Czesnokowa do pracy dzwonił Pionow prosząc, aby przyniósł coś najnowszego. Czesnokow jednak zawsze znalazł sobie pretekst, żeby odmówić. Za pierwszym razem powiedział, że rzucił pisanie, ale Pionow nie uwierzył mu:

— Teraz to już nie zależy od ciebie: rzucić czy nie rzucić. One same będą rodzić się w twojej głowie, i ty już nic na to nie poradzisz.

Następnym razem Czesnokow oznajmił, że nie ma nic dobrego, a przy kolejnym telefonie — że nie ma czasu. I była to prawda, gdyż grupa, w której pracował Władimir, właśnie wykańczała projekt. Ostatnim razem Czesnokow powiedział tylko jedno zdanie:

— Sytuacja bez zmian — i odwiesił słuchawkę.

Pionow zadzwonił jeszcze raz, prosząc o pozwolenie przyjscia do Czesnokowa do domu. Czesnokow nie miał powodu odmawiać, wyznaczył więc termin, tymczasem jednak zupełnie niespodziewanie wyjechał na delegację.

Lecz Pionow mimo to przyszedł. W domu była Anieczka. Pionow przedstawił się, a dowiedziawszy się, że Czesnokow wyjechał, ucieszył się nawet.

Jakiś czas rozmawiali o poezji i dogadali się, że podobają im się ci sami poeci. Jak gdyby przypadkiem Pionow zapytał, czy Czesnokow nadal pisze wiersze. Anieczka w milczeniu pokazała mu paczkę kartek i opowiedziała, jak to zapisuje je w tajemnicy przed Władimirem.

— Wszystkie były już w gazetach lub czasopismach — dodała. — To po prostu coś okropnego.

— No tak, no tak — powiedział Pionow. — A czy pozwoli pani, abym to przejrzał?

Anieczka pozwoliła. Pionow szybko przekartkował stronicę wypełnioną różnym pismem.

— Ja także to już czytałem — powiedział w końcu.

— No i widzi pan — powiedziała Anieczka ze smutkiem. — Cała tragedia polega na tym, że on już nie może nie pisać, nawet gdyby chciał. Milczy za dnia, to nocą we śnie się wygada.

— Tak, tak! A czy pani mogłaby mi dać te wiersze na kilka dni?

— Proszę, niech pan je weźmie. Tylko nie chciałabym, żeby Wołodia się dowiedział.

— I niesłusznie. Trzeba mu to pokazać. Ja sam mu to pokażę, a pani niech już nie zaprzecza, że je pani zapisywała. Być może dla niego tak będzie lepiej.

Ania poczęstowała Pionowa herbatą z miodem, a on postawił jej na kuchence gazowej kocioł z praniem. Nie powinna była już tego robić sama — Ania spodziewała się dziecka. Przed wyjściem Pionow zaniepokoił się — jakże ona sama zdejmie kocioł, i póty się nie uspokoił, póki nie umówił się z sąsiadem, że jej pomoże. Sąsiadem tym był oczywiście Kondratiuk. Ogromnie ucieszył się z poznania przedstawiciela prasy. Ależ tak, wie, wie, że Czesnokow para się literaturą. Nie, nie czytał, lecz ma nadzieję, że kiedyś jeszcze przeczyta. Ot, gdyby to było lato, odwiózłby towarzysza przedstawiciela prasy do domu na skuterze.

Prawdziwie dusza człowiek z tego Kondratiuka.

## 6.

Kiedy Czesnokow wrócił z delegacji, Anieczka opowiedziała mu wszystko.

— Bzdura — powiedział Czesnokow. — Zapisywanie nie ma sensu. Wolę, żebyś słuchała moich wierszy tylko ty sama. Bądź dumna choćby z tego, że możesz poznać je wcześniej niż ktokolwiek inny.

Lecz Pionowa najwyraźniej ogromnie zainteresowała ta historia. Niebawem znów przyszedł do Czesnokowów i przywłókł z sobą podstarzałego redaktora naczelnego młodzieżowej gazety Timofieja Fiedorowicza. Usłyszawszy gwar głosów, przybiegł także Beniamin Kondratiuk. Pionow nie chciał wygłaszać swojej opinii — zresztą zupełnie fantastycznej — przy obcych, lecz Kondratiuk przedstawił się redaktorowi jako najlepszy przyjaciel rodziny Czesnokowów, a na dodatek sąsiad. I Pionow musiał się poddać.

Przez długi czas rozmowa kręciła się wokół zasadniczego tematu, omijając sedno sprawy. Redaktor zmuszony był tymczasem przyznać, że „panonia” na drogach Syberii to barachło w porównaniu z „uralem”. Czesnokow zaś w ogóle niespecjalnie rad był z tej wizyty.

Wreszcie Timofiej Fiedorowicz odsunął filiżankę i powiedział:

— Dość! Dziękuję! Więcej nie mogę!

Pionow także odetchnął z ulgą, sięgnął po swą okazałą teczkę, otworzył ją i dobył z niej grubą paczkę kartek, wycinków gazetowych i niewielkich książeczek. Kondratiuk pośpiesznie zgarnął naczynia na brzeg stołu, a Anieczka wyniosła je do kuchni. Wszyscy rozsiedli się wokół stołu, poważni i skupieni, jak na ważnym posiedzeniu.

— Władimirze — zaczął Pionow. — Być może to, co teraz usłyszysz, będzie dla ciebie trochę niemiłe.

Czesnokow machnął ręką: „Nieważne, poroszę mówić”.

— Ten wypadek z Siergiejem Sierieginem wciąż jakoś nie dawał mi spokoju — ciągnął Pionow. — Dokładnie przejrzałem wszystko, co napisał i wcześniej, i później. Już wtedy w redakcji mówiłem, że ostatni zbiorek Sieriegina w porównaniu z tym, co dotąd napisał, to jak niebo i ziemia. To rzeczywiście zjawisko w poezji. Ten zbiorek w ogóle różni się od wszelkich innych wierszy. Nikt tak dotąd nie pisał. Proszę sobie przypomnieć Majakowskiego. Przecież ani przed nim, ani po nim nikt tak nie pisał.

— Pisali, Grigorij, pisali. Tylko że nic z tego nie wychodziło — wtrącił naczelny.

— No właśnie. Nic sensownego z tego nie wychodziło. A Majakowskiemu wyszło.

— No i co? — przejmującym szeptem spytał Kondratiuk.

— To, że beztalencie i prymitywnie są do siebie podobni, a talent niepodobny jest do nikogo.

— Talent — wyszeptał Kondratiuk, martwiejąc w obliczu owej strasznej tajemnicy.

— Wydany przez Sieriegina zbiorek zatytułowany „Zdziwienie” to prawdziwy Grin w poezji. Zanim jeszcze ujrzał światło dzienne, już o nim mówiono. Potrafiłby pan odróżnić opowiadania Aleksandra Grina od opowiadań innych autorów? — zapytał Pionow, zwracając się do Kondratiuka.

Kondratiuk zmieszał się. Jakoś nie było kiedy przeczytać Grina — to skuter, to sezon grzybowy, to jagodowy. A i zimą nie ma chwili wytchnienia.

— No tak, rozumiem — westchnął Pionow. — Nie w tym rzecz. Oto trzy wiersze z „Junosti”, numer 11, z ubiegłego roku — Pionow pogrzebał w stercie papierów, odnalazł czasopismo i uderzył w nie ręką. — Czytał pan?

Czesnokow sięgnął po papierosy.

— Rozumiem — powiedział Pionow. — Przykro. Widziałem te wiersze w brudnopisach, zapisane przez pańską żonę Anię. Styl, sposób myślenia, zdolność widzenia świata nie tak samo, lecz odrobinę inaczej niż wszyscy... Zdziwienie, wszystko to, to właśnie zdziwienie! Świat po cichutku oducza nas dziwić się. Czym można dziś zadziwić człowieka? Lotem na Marsa? Afryką? Wąziutką smużką zorzy o wschodzie słońca? Albo może muzyką, dziecięcym uśmiechem? Czym?

— No właśnie. I to jest w porządku! — z entuzjazmem wygłosił Kondratiuk.

— Nie, nie w porządku. Wszystko to nas jeszcze zadziwia, lecz jakoś ociąża-  
le, jednostronnie. Zadziwia nas zwyczajnie. Wyobrażacie sobie: zwyczajne  
zdziwienie? Zwyczajne zdziwienie! Czyż zdziwienie może być zwyczajne?  
Przecież po to ono jest zdziwieniem, żeby było niezwykłe.

Czesnokow siedział z takim wyrazem twarzy, jakby go to zupełnie nie ob-  
chodziło.

— A w tych wierszach wszystko jest inaczej niż u innych poetów.

— Bo on naprawdę jest inny niż wszyscy — powiedziała Anieczka i zmie-  
szała się. — I w życiu, i w wierszach.

„Boże — pomyślał naczelnny — jakaż to szczęśliwa kobieta!”

— Tymczasem wiersze podpisane są cudzymi nazwiskami. Zebrałem je  
wszystkie. Proszę, niech pan popatrzy... To twoje wiersze, Władimirze!

— Tak — powiedział cicho Czesnokow. — Wiem, czytałem je wszystkie.

— Najpierw zebrałam je razem, a dopiero potem przyszedłem do pana w na-  
dziei, że zobaczę tu choćby brudnopisy. I nie pomyliłem się. Są wszystkie.

— Nie wszystkie — powiedział Czesnokow. — Ostatnich nie czytałem na-  
wet Anieczce.

— To te?

— Tak.

— Nie wiem, czy pan wie, że ostatnio samorzutnie utworzyło się stowarzy-  
szenie poetów, którzy napisali „pańskie” wiersze. Jakoś tam się wzajemnie od-  
szukali, podnajdywali. Jest ich około dziesięciu osób. Na swojego przewodni-  
czącego wybrali Sieriegina.

— Wszystko to wiem — powoli i ze spokojem odrzekł Czesnokow. — Lecz  
w niczym nie mogę wam być pomocny.

— Mam pewien pomysł — powiedział Pionow. — Zupełnie fantastyczny. Możliwe, że w rzeczywistości to nie pan pisze — Pionow machinalnie przeszedł na „pan”. — Możliwe, że w rzeczywistości wiersze piszą inni. A pański mózg tak dokładnie i precyzyjnie nastawiony jest na określony nastrój, że momentalnie je sobie przyswaja. I w żaden sposób nie da się udowodnić, że one rodzą się najpierw u pana.

Anieczka zagryzła wargi.

— Telepatia — wykrztusił Kondratiuk, oblewając się zimnym potem.

— Tak, tak. Nie! W czym tu telepatia? Nie o to chodzi.

— No, cóż. Dziękuję panu za starania. Więc jednak jestem współtwórcą.

— Rzecz w tym — po raz pierwszy chyba w ciągu całej wizyty odezwał się naczelny młodzieżowej gazety — że wszystko to bzdura.

— A więc nie ma tu żadnej telepatii — odetchnął z ulgą Kondratiuk. — Słyszałem o niej.

— Dlaczego u wszystkich tych poetów — naczelny koniuszkami palców dotknął sterty kartek — właśnie te wiersze stanowią wyjątek w twórczości?

— Tak, tak — poparł go Pionow. — Napisze jeden, dwa, trzy wiersze lub też jak Sieriegin cały zbiorek, lecz ani przedtem, ani potem niczego podobnego już nie pisze. Za to pisze ktoś inny. I znowu jest to u niego wyjątek. A u ciebie to jest reguła. Niczego tu nie można pomylić. Tak, być może to oni jakimś cudem, bezpośrednio z mózgu do mózgu przyswajają sobie twoje wiersze? I te wiersze są rzeczywiście twoje?! Rozumiesz, to twoje wiersze?! — Pionow zadowolony odchylił się ma oparcie krzesła i obrzucił wszystkich tryumfującym spojrzeniem.

— Lecz w żaden sposób nie można tego udowodnić — powiedział Timofiej Fiedorowicz. — Niestety.

— A po co udowadniać? — zapytał Czesnokow.

— Nie, można udowodnić — zaprzeczył Pionow. — Z trudem, ale można. Teoretycznie można, gdyby wiedzieć, w czyjej głowie wiersze zrodzą się najpierw. Powinna być jakaś różnica w czasie. Załóżmy, że tamtemu komuś, temu drugiemu, skończy się wieczorem atrament lub papier. Nie ma czym zapisać. A rankiem zwali mu się na głowę tyle spraw, że ani zipnie. Oto twoja różnica w czasie. Bo ty właśnie zdążyłeś zapisać. Przy czym różnica zawsze powinna być na twoją korzyść.

— Wynika stąd, że przez cały czas powinienem trzymać w pogotowiu pióro i atrament — uśmiechnął się Czesnokow.

— To rzeczywiście śmieszne — powiedziała Ania.

— Trzeba postawić ma nogi społeczeństwo — poradził Kondratiuk. — Społeczeństwo wszystko może.

— W tym przypadku przydałoby się postawić całe społeczeństwo ma głowie — westchnął Timofiej Fiedorowicz.

— W takim razie należy napisać do miesięcznika „Tiechnika-Mołodioży” — odpowiedział znowu Kondratiuk. — Nie o takich tam rzeczach piszą.

— Nie, nie — oderwał się naczelny. — Tu nawet różnica w czasie nie pomoże. Cóż znaczy dzień lub dwa? A jeśli trafi się taki człowiek, jak Sieriegin? Niezależnie od wszystkiego jest ambitny i ma dobrze postawiony głos, a jaki z niego erudyta w zakresie ochrony praw autorskich! Spróbować oczywiście można. Właśnie zdecydowaliśmy się wydrukować kilka pańskich wierszy, i niech się dzieje, co chce. W każdym razie bliżsi będziemy jakiegoś wyjaśnienia.

— Tak, tak, Władimirze, dział poezji masz za sobą.

— A więc jednak dali się namówić — ucieszył się Kondratiuk. Cała ta historia wzruszyła go, a nawet pojawiło się w nim pragnienie przyjścia sąsiadowi z pomocą. Dlaczego ma walczyć na próżno! Jakże tak?

— „Namawianie” nie ma z tym nic wspólnego — odciął się redaktor. — Po prostu tak właśnie postanowiliśmy.

— Nie będę się sprzeciwiał — powiedział zmęczonym głosem Czesnokow. Był wyraźnie rozstrojony.

Zona niepostrzeżenie ujęła go za rękę i pogłaskała ją — ostrożnie, ledwie-  
ledwie.

— Szczerze wierzymy, że to pańskie wiersze. I powinny być wydrukowane pod pańskim nazwiskiem — powiedział twardo Timofiej Fiedorowicz.

— Teraz to ja nie jestem tego pewny.

Goście rozeszli się późno. Kondratiuk nie posiadał się ze zdziwienia. Szczęście samo pcha się człowiekowi do rąk, a ten mu staje okoniem. W to, że z Czesnokowa tęgi pisarz, Kondratiuk nie wątpił. Nie na darmo przecież przychodzą do niego tacy ludzie. Na odchodnym Pionow zaklął się na wszystkie świętości, że napisze artykuł. Nie wie jeszcze kiedy, ale napisze. A Timofiej Fiedorowicz jak zwykle nie powiedział nic, tylko pomyślał o Czesnokowach: „Przeżywają przecież trudny okres. Dlaczego więc w ich mieszkaniu panuje uczucie szczęścia?”.



Czesnokow nie dał nic do gazety. Lecz Pionow mimo to napisał rzeczowy artykuł, w którym szczegółowo (przedstawił wszystkie fakty dotyczące zagadkowego zjawiska i losów nie znanego nikomu, (Utalentowanego poety. Artykuł wysłany został do „Litieraturnoj Rosii”. A w kilka miesięcy później przyszła odpowiedź, w której informowano go, że gazeta niezwykle rzadko drukuje fantastykę naukową i w Chwili obecnej nie widzi możliwości publikacji opowiadania. Pionow wzburzył się ogromnie, napisał do gazety ostry list, lecz odpowiedzi nie otrzymał. Mimo to wciąż miał nadzieję, że przyjdzie czas, kiedy udowodni swoje racje i przywróci prawa Czesnokowowi.

Dwa, trzy razy do roku odwiedzał Czesnokowów, lecz coraz rzadziej prosił Władimira, aby dał mu coś do gazety. A potem przeniesiono go do Moskwy i zaczął pracować w jednej z centralnych gazet.

Czesnokowowi urodził się syn, a potem i córka. Kłopotów z maluchami było sporo. Do tego czasu uzbierałoby mu się — gdyby zebrać je razem — ze dwadzieścia tomików wierszy. Swoje pierwsze opowiadanie Czesnokow napisał, gdy starszy syn, wtedy jeszcze jedynak, skończył trzy miesiące. Od tej pory coraz rzadziej pisał wiersze, za to coraz bardziej ciągnęło go do prozy. Z początku były to niewielkie opowiadania, smutne, lecz pełne subtelного humoru. Potem coraz większe i poważniejsze. Po jakimś czasie odważył się napisać powieść. I znowu wszystkie te utwory spotykał w czasopismach i zbiorach pod cudzymi nazwiskami. Spontanicznie powstałe stowarzyszenie poetów „Zdziwienie” stopniowo rozpadło się, ponieważ coraz rzadziej ukazywały się drukiem wiersze o odpowiednim stylu i treści.

Któż zatem pisał owe wiersze i opowiadania? Pionow nadal nie mógł niczego udowodnić. Był przeświadczony, że wszystko to należy do Czesnokowa, potrzebne były jednak ścisłe dowody. A sam Czesnokow? Oczywiście, przykro mu było, gdy uświadamiał sobie, że ktoś natychmiast przejmuje jego utwory i bez cienia wątpliwości wydaje je jako własne. Lecz byłoby mu jeszcze trudniej, gdyby się okazało, że to właśnie on, Czesnokow, posiada po prostu zdolność natychmiastowego przejmowania wierszy i opowiadań harmonizujących iż jego nastrojem, lecz napisanych przez innych autorów. Wiele o tym myślał, zwłaszcza po owej pamiętnej rozmowie z Pionowem i Timofiejem Fiedoirowiczem. Czy doszedł do jakiegoś wniosku? Owszem, doszedł — i nabrał niezbitej pewności, że to właśnie on pisze. Lecz nie dawało mu to jeszcze podstaw, aby posyłać swe rękopisy do wydawnictw czy redakcji.

Czas toczył się zwykłą koleją. Czesnokow został tymczasem kierownikiem niewielkiego laboratorium, Kondratiuk zaś naczelnikiem dużego oddziału. A że

żaden z nich nie zwykł był traktować swej roboty byle jak, nierzadko przeto służbowe problemy przychodziło im rozwiązywać poza godzinami pracy.

Kondratiuk nabrał do Czesnokowa jakiegoś dziwnego szacunku. Wspina się człowiek na pionową ścianę, traci siły, pada i znów się wspina. A po co? Przecież na szczycie góry tak czy owak nic nie ma — ani złóż złota, ani czarodziejskiego kwiatu, nawet panoramy gór i dolin nie da się stamtąd zobaczyć, gdyż wierzchołek góry okrywa wieczna mgła. A mimo to człowiek nie przerywa wspinaczki. I właśnie ten niezrozumiały upór mimo woli wywołuje szacunek i strach. A gdyby tak był to on, Kondratiuk? Dobrze, że to nie on!

Beniamin Kondratiuk objął nawet coś w rodzaju patronatu nad Czesnokowami. W letnie niedzielne dni proponował swój samochód, żeby wyjechać na łono przyrody, zapraszał na daczę.

Niekiedy Czesnokowowie przyjmowali zaproszenia. Kondratiuk był wtedy szczerze rad. Jeśli ludziom jest przyjemnie, to znaczy, że samochód i dacza opłacają się. Pieniądze nie zostały wydane na próżno.

Częściej jednak Czesnokowowie odmawiali. Wędrowali w piątkę po drogach i ścieżkach podmiejskich lasów Ustmańska. Starszy syn mógł już nieść nieduży plecak, zaś młodsze dzieci zazwyczaj jechały na niezbyt szerokich ojcowskich ramionach, dopóki nie ukazał się przed nimi odludny brzeg strumienia lub rzeczki. Nie oddalając się zbyt od miasta, potrafili zobaczyć bardzo wiele. Dziwny talent Czesnokowa pomagał im widzieć wszystko nie tak, jak zwykle. I dzięki temu na sercu robiło się jakoś dziwnie i chciało się ulecieć do góry, i płakać, że latać się nie potrafi.

Czesnokow, być może, i rzuciłby pisanie, gdyby choć raz zobaczył, że Anieczka, słuchając go ukradkiem ziewa z nudów. Lecz nic takiego się nie zdarzyło. Wszystko ją interesowało. I tak samo jak dziesięć lat temu ze ściśniętym sercem słuchała o tym, jaki to dziwny i zdumiewający, radosny i smutny, szczęśliwy i gorzki świat ich otacza. Zawsze był inny. A czyż można się nudzić, kiedy wokół siebie wciąż widzi się coś innego, coś nowego. Człowiek ziewa z nudów wtedy, gdy wszystko już od dawien dawna wie i niczego nowego w przyszłości się nie spodziewa.

Ale on pisał, ponieważ i dla niego, i dla jego żony Anieczki, teraz już Anny, było to interesujące.

Pewnego razu Czesnokow dowiedział niezbicie, że to właśnie on pisze. Już wcześniej Pionow zwrócił uwagę na to, że owe niezwykle wiersze w twórczości niektórych poetów trafiają się od czasu do czasu, podczas gdy u Czesnokowa stanowią regułę. Trzeba było tylko udowodnić, u kogo pojawiają się wcześniej.

Czesnokow zaczął pisać nową powieść z życia inżynierów. Pomyślana była w formie trzech opowiadań — od postaci trzech głównych bohaterów. Powieść pisało się łatwo. Czesnokow w ogóle miał łatwość pisania. Właśnie zakończył pierwszą część i zabrał się do drugiej. I znów jak zwykle, przeglądając w bibliotece nowości, w jednym z czasopism Władimir natknął się na pierwszą część owej powieści. Podobna sytuacja zdarzyła mu się już tyle razy, że i teraz nie zdziwiło to ani jego, ani Anny.

W tym roku wiosna przyszła wcześniej. Za dnia śnieg topniał, w nocy zaś chwytał mróz. Czesnokow szedł do pracy, kiedy pośliznął się, upadł i złamał rękę. No cóż, zdarza się taki pech! Musiał iść do szpitala, lecz nadgarstek długo nie chciał się zrastać. Na dobitkę wykryto u niego uszkodzenie kręgosłupa. Krótko mówiąc — Czesnokow przeleżał w szpitalu blisko trzy miesiące. Pisać nie mógł, za to czytać — ile dusza zapragnie. W ten to właśnie sposób ponownie wpadło mu w ręce czasopismo z pierwszą częścią jego powieści; zauważył przy tym notatkę od redakcji, że w następnym numerze wydrukowana zostanie część druga. To go zainteresowało. Przecież nie zdążył napisać drugiej części! Odszukał następny numer, lecz jak się okazało, dalszego ciągu w nim nie było. W trzecim numerze także niczego nie znalazł. Za to pojawiła się notka, że z przyczyn od redakcji niezależnych publikacja powieści zostaje odłożona na czas nieokreślony.

I wtedy Czesnokow wysłał do autora telegram, w którym doradzał mu albo rozwiązać umowę z wydawnictwem, albo też zmienić terminy publikacji, ponieważ on, Czesnokow, w chwili obecnej nie może zająć się powieścią.

Autor otrzymał telegram i już chciał odpowiedzieć Czesnokowowi jakąś gryzącą złośliwością, ale się rozmyślił. Mało to każdy pisarz ma nieżyczliwych! Nie można przecież ze wszystkimi korespondować. A jego powieść rzeczywiście utknęła. Ani słowa. Pchały mu się do głowy przeróżne bzdury, tylko nie to, co potrzebne. Kilka razy zachodził do fabryki, żeby popatrzeć, jak pracują inżynierowie. On sam nigdy inżynierem nie był. Ale i tak nie mu nie wychodziło. Sprzykrzyły mu się także telefony z redakcji — skąd ma wziąć ciąg dalszy, skoro natchnienie znikło!

Tymczasem Czesnokow nieoczekiwanie dla samego siebie napisał do autora list, w którym prosił o podanie dat rozpoczęcia i zakończenia drugiej i trzeciej części. Do tego czasu zdążył już wyjść ze szpitala i w ciągu dwóch tygodni zakończył pisanie drugiej części.

Na autora powieści także spłynęło nagle natchnienie, i to w dodatku takie, że drugą część zdołał ukończyć równo w dwa tygodnie. Z tej wielkiej radości wy-

stosował do Czesnokowa obszerny list o tym kiedy i jak napisał druga część powieści. Życzliwym czytelnikom trzeba wszakże niekiedy odpowiadać.

Teraz Czesnokow miał już całkowitą pewność, że to jednak on sam pisze. Przyszła mu nawet ochota zażartować sobie z autora powieści i wcale nie pisać trzeciej części. Po chwilowym zastanowieniu zdecydował jednak, że nie ma sensu znęcać się nad człowiekiem, który przecież nie jest niczemu winien.

Sądząc po krytykach, recenzjach i notatkach prasowych Czesnokow był utalentowanym pisarzem. Przed Kondratiukiem, jako przed starym przyjacielem rodziny, Czesnokowowie nie mieli tajemnic. Kondratiuk też niezwykle się uradował, kiedy dowiedział się, że sąsiad udowodnił swoje pierwszeństwo. Teraz, gdy wreszcie zaczną go drukować pod jego prawdziwym nazwiskiem, Czesnokow pójdzie w górę, i nie zwyczajnie ot tak, bo to interesujące, ale dlatego, że tam coś błyszczy — ni to żar-ptak, ni to jeszcze coś innego. Materialny dobrobyt zdobyty uczciwą pracą Kondratiuk cenił sobie ponad wszystko.

Czesnokow nie miał żadnych powiązań z kręgami literackimi, nie miał też czasu, żeby obijać redakcyjne progi. Niekiedy spotykał się z Timofiejem Fiedorowiczem, który wciąż jeszcze był redaktorem naczelnym młodzieżowej gazety i po dawnemu starał się przekonać swych zwierzchników, że powinni go przenieść do innej pracy. Lecz spotkania te były przypadkowe i krótkie.

A Czesnokow pisał dalej i chyba nawet z jeszcze większą żarliwością niż kiedyś. Nie zamieszczają jego nazwiska na okładce powieści? Do diabła z nimi! I nigdy nie zamieszczą? Z tym się już pogodził. Najważniejsze — że jego opowiadania i powieści podobają się, że ludzie znajdują w nich to, czego na próżno szukali w utworach innych autorów. I jeszcze to, że jego powieści są jakby trochę cudowne, niezwykle, wciąż jeszcze przebija w nich zdumienie. Czesnokow bowiem nie przestawał dziwić się światu i ludziom.

## 8.

Postępowanie Czesnokowa zaczęło wreszcie denerwować Kondratiuka. Nie kradnij, nie oszukuj, żyj uczciwie. Wszystko to w porządku. Kondratiuk przez całe swoje życie nie popełnił ani jednego nieuczciwego postępuku. Nie kradł, nie oszukiwał. Własnymi rękami, własnym wysiłkiem dorobił się i samochodu, i daczy, i spółdzielczego mieszkania dla jednego z synów. Kiedy trzeba było, harował także w dni wolne i podczas urlopu. Nawet jako naczelnik wydziału wciąż jeszcze dorabiał „zleconymi”, brał pracę do domu. Ale wszystko to przecież

przynosiło mu korzyść, opłacało się, było niezbędne. I gdyby tak ktoś spróbował go pozbawić świątecznego ubrania, wyłamać ogrodzenie wokół daczy, czy nie rzuciłby się krzywdzicielowi do gardła i nie bił go bez opamiętania?! Moje! Nie dotykaj! Zapracuj sam!

A Czesnokow dobrowolnie wyrzekął się wszystkiego — i Czarnego Morza, i jachtów, i zagranicznych wycieczek, i pieniędzy, i sławy. Dla kogo? Dla tego, kto się nawinie. Czesnokowowi było to obojętne. A przecież to wszystko, wszystko należało się właśnie jemu, Czesnokowowi. Według ustawy, według prawa.

Kondratiuk czuł, że jego spokojny, zwyczajny i rozumiały świat rozpada się. Obaj jego synowie na całe wieczory przepadali u Czesnokowów. I nie było dla nich większego autorytetu niż wujek Wołodia. To nie w porządku! Jego żona, cicha skromna kobieta, która nigdy nie potrafiła wypowiedzieć ma głos swojego zdania, nagle, ni stąd ni zowąd coraz częściej zaczęła zaglądać do sąsiadów, przestała wbijać wzrok w podłogę i patrzyła mu prosto w oczy, chociaż tak jak dotąd, nigdy mu się nie sprzeciwiała. A i on sam, Kondratiuk, bywał teraz częstym gościem u Czesnokowów. Tam zawsze panował gwar. Ludzie, nie wiadomo dlaczego, lubili przychodzić do tego niewielkiego standardowego mieszkania, ciasno zastawionego książkami.

A rozmowy... Cóż to były za rozmowy! Każde słowo, biorąc oddzielnie, było dla Kondratiuka zrozumiałe. Lecz jaki był sens całych zdań?! Co to było? Po co? Dlaczego jego żona przewraca się w nocy z boku na bok i nie śpi, tylko leży z otwartymi, pełnymi łez oczami i uśmiecha się? Stara wiedźma. Ma już czterdziestkę z okładem i uśmiecha się. Dlaczego starszy syn odszedł z domu? Dlaczego jemu samemu zbrzydło już patrzeć na błyszczący lakierem samochód? Dlaczego dookoła widzi pustkę?

Wszystko dlatego, że Czesnokow pisze. Po co pisze?

— Po co ty piszesz?

— To ciekawe.

— Jaką masz z tego korzyść? — Czesnokow wziął z półki książkę w ozdobnej oprawie.

— Chcę, żeby takich książek czytano mniej.

— Czytałem ją. Interesująca.

— Kłamstwo także bywa interesujące.

A czas mijał. Dzieci wyrosły i porozeżdżały się. Anna, teraz już Anna Iwanowna, roztyła się, lecz wciąż śmiała się z tą samą zaraźliwą wesołością i wciąż

tak samo kochała swego Wołodę, teraz już Władimira Pietrowicza — chudego, przygarbionego i posiwiąłego.

I wciąż tak samo wesoło było w ich mieszkaniu. Nawet wtedy, gdy Czesnokow zostawał sam i Kondratiuk przychodził do niego na papierosa, nawet wtedy w atmosferze mieszkania było coś zadziwiającego. Kondratiukowi zdawało się, że widzi i Annę Iwanowna, i swoją żonę, dzieci Czesnokowów i swoje dzieci, i nieznajomych sobie ludzi. Wszyscy oni znakomicie się rozumieli, kłócili się i często nie potrafili dojść do wspólnego wniosku, nieważne — i tak tam pędzili. Lecz jak się tam znaleźli? Przecież naprawdę byli daleko stąd. Wszyscy znali się doskonale, i tylko jego, Kondratiuka, nikt nie zauważał. W milczeniu dopalał więc papierosa i wychodził, a potem wypijał szklankę wódki i szedł spać. A dookoła było cicho i pusto — jak w grobie.

## 9.

Czesnokow miał już sporo po czterdziestce, kiedy po raz ostatni spotkał Timofieja Fiedorowicza, który tymczasem przeszedł na emeryturę — oczywiście jako redaktor naczelny gazety młodzieżowej. W ciągu sześćdziesięciu pięciu lat życia w jego pamięci nagromadziło się wiele faktów i myśli. I Timofiej Fiedorowicz pisał książkę — bilans swego długiego żywota.

Najpierw porozmawiali o pogodzie. Potem Timofiej Fiedorowicz ponarzekał na nieustanne bóle w krzyżu, a Czesnokow pouskarżał się na bóle serca. Wspomnieli też o Pionowie, który tymczasem został redaktorem naczelnym poważnego czasopisma.

— Wszystko po staremu? — zapytał Timofiej Fiedorowicz.

— Tak — odparł Czesnokow. — Tylko pracuje mi się coraz trudniej. Jeśli zdążę, to napiszę jeszcze jedną książkę, i to wszystko.

— Ja także kończę swoje arcydzieło. A ta pańska powieść to co to jest? — zaciekawił się Timofiej Fiedorowicz.

— Chcę ją zatytułować „Po co człowiek żył?” — odrzekł Czesnokow.

Timofiej Fiedorowicz nagle potknął się na prostej drodze i zaczął ciężko odychać.

— A pan? — spytał Czesnokow.

— E tam, właściwie to bzdura. Same głupstwa.

— Co też pan mówi, Timofieju Fiedorowiczu? Pan nie jest zdolny do pisania głupstw. Znam pana dobrze.

— Tak, tak, oczywiście — mruknął Timofiej Fiedorowicz i zmienił temat.

Pospacerowali jeszcze trochę po Uniwersyteckim Lasku, porozmawiali i rozeszli się.

„Oto przyszła i moja kolej — pomyślał Timofiej Fiedorowicz. — Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko zniszczyć rękopis.”

On także pisał powieść pod tytułem „Po co człowiek żył?”.

Zadziwiający talent Czesnokowa nie ominął i jego.

Nigdy więcej się już nie spotkali.

Czesnokow umarł pod koniec jesieni w porze długotrwałych, uporczywych deszczów, kiedy ulice pokryte są grubą warstwą błota, trudną do przebycia. Umarł nagle, nie będąc dla nikogo ciężarem w chorobie i cierpieniu.

Czesnokow umarł.

Kondratiukowi nigdy nie przyszłoby do głowy, że Czesnokow ma tylu przyjaciół.

Przyleciały jego dzieci, a także dzieci Kondratiuka, które całymi latami nie pojawiały się w domu. Przyleciał Pionow, zawezwany przez Timofieja Fiedorowicza. Do mieszkania Czesnokowa ustawił się długi żałobny szereg. Pożegnanie ciągnęło się kilka godzin.

— O Boże — powtarzała Anieczka tonąc we łzach. — On wcale nie jest straszny. On wciąż jest taki sam. Wciąż jest taki sam.

Na twarzy Czesnokowa zastygł wyraz wiecznego zdziwienia. Zupełnie tak, jak gdyby chciał powiedzieć: „Śmierć... Jak się Okazuje, ty jesteś jakaś... dziwna...”

Kondratiuk stał u wezłowania trumny. Chwiał się ze zmęczenia i wypitej wódki. Oczy miał załzawione, a ręce drżały mu lekko. Jednak nie żałował Czesnokowa. Czuł do niego teraz ogromną nienawiść. To on, Czesnokow, sprawił, że całe jego życie stało się bezsensowne, to on obrócił wniwecz wszystkie jego nadludzkie wysiłki. On, który przeżywszy życie w tak bezsensowny sposób, zdołał przeciągnąć na swoją stronę tylu ludzi. Teraz płaczą! Także jego, Kondratiuka, dzieci — płaczą! Płacze także owa cicha, skromna kobieta, jego żona! A czy kiedy on, Kondratiuk, umrze, także będą — płakać? Może trochę, troszeczkę, dla zasady?

— Po co człowiek żył? — krzyknął Kondratiuk. — Jaki był z niego pożytek? No jaki?

Synowie w milczeniu wzięli go pod rękę i wyprowadzili.

— Po co człowiek żył? — nie przestawał krzyżeć Kondratiuk. — Wszyscy kłamiecie! Żył na próżno! Na próżno!

— Ty... gadzino! — krzyknęła jego żona, cicha, skromna kobieta. Zawsze była cicha i jej matka była cicha, i jej babka. — Jak śmiesz! Nigdy nie potrafisz tego zrozumieć!

Czy to naprawdę jego żona? Skąd zna takie słowa?

— Nienawidzę cię! Nienawidzę! — krzyczała cicha kobieta.

I dzieci nie ujęły się za ojcem.

Kondratiukowi ziemia usunęła się spod nóg. Być może po raz pierwszy w życiu pomyślał: „A po co on sam żyje? Jak żyje? Nie kradł, nie oszukiwał. Brał tylko to, co mu się zgodnie z prawem należało. Czy to za mało? Co jeszcze trzeba zrobić? Co?”.

Po powrocie z pogrzebu Kondratiuk rzucił się z mostu w lodowate wody Many. Wyłowiono go i ocucono. Kondratiuk miał żyć dalej.

Timofiej Fiedorowicz namówił Pionowa, aby zatrzymał się w Ustmańsku na kilka dni. Razem przejrzeni archiwum Czesnokowa. Ogromnie zdenerwowany, Timofiej Fiedorowicz zabrał się do czytania ostatniej powieści Czesnokowa, powieści, którą pisał także on sam. Spodziewał się absolutnego podobieństwa, tymczasem była to zupełnie inna powieść. Timofiej Fiedorowicz denerwował się niepotrzebnie.

Pionow zabrał z sobą rękopis powieści z mocnym postanowieniem, że opublikuje ją pod nazwiskiem Czesnokowa. Chciał wziąć także rękopis Timofieja Fiedorowicza. Cóż w tym nadzwyczajnego, że dwie różne powieści będą miały jednakowe tytuły.

— Nie, Grisza — powiedział jednak Timofiej Fiedorowicz. — Na pytanie „po co człowiek żył” można dać tylko jedną odpowiedź. Niech więc odpowie na nie sam Czesnokow.



## Kiosk z gazetami

Na dwadzieścia kroków nie było nic widać, taka wisiała mgła. Tylko lampy elektryczne i ślepane reflektory samochodów przeświecały niewyraźnie żółtymi plamami. Pół setki stopni poniżej zera! Z rzadka tylko skrzypienie kroków i przeraźliwe klaksony aut, i mróz, mróz... I w Ust-Mańsku, i na jego przedmieściach, i w promieniu tysięcy kilometrów.

Gnałem z hotelu do klubu zakładów elektromechanicznych, w którym o godzinie dwunastej rozpoczynała się konferencja. Nikt mnie nie wyprzedzał. Tak szybko rwałem do przodu, bo byłem tylko w lekkich butach i jesionce; para oddechu momentalnie zamarzała mi na twarzy, a nos utracił czucie tak kompletnie, że chciałoby się go schować pod pachę. I poza tym chciałoby się, żeby mróz nie był taki dojmujący, żeby można było popatrzeć na mój Ust-Mańsk, powłóczyć się po jego nowych dzielnicach, wpaść do kogoś z dawnych znajomych, wypić kieliszek wina i pójść do miejskiego parku, a później tak jak kiedyś, dawnymi czasy, pojeżdżać tam sobie zgórek, zgubić czapkę i znaleźć ją utyłaną śniegiem, i śmiać się, rechotać i rzucać się śnieżkami, i wygłupiać. Chciało mi się wszystkiego. Bo nie byłem w Ust-Mańsku dziesięć lat, a przedtem przeżyłem w nim dwadzieścia.

Miałem jeszcze do dyspozycji półtorej godziny wolnego czasu. Chciałem być pierwszy i rozgrzać się w środku. A palem stać i patrzeć, jak zmarznięci na sopeł lodu ludzie wraz z kłębami pary wtłaczają się do holu, postukują nogami i rozcierają jeden drugiemu policzki.

— Nigdy w tym kiosku człowiek nie kupi świeżej gazety! — z irytacją powiedział jakiś osobnik okutany od stóp do głów i omal nie zbił mnie z nóg. — Przepraszam.

Odkoczyłem w bok i zobaczyłem przed sobą kiosk gazetowy ze szkła i plastiku w koronkach skrzącego się szronu. Był cały rozświetlony i wyglądał jak z bajki. Ale jak tam może wysiedzieć sprzedająca gazety staruszka? Załóżmy, że w środku jest temperatura o dziesięć stopni wyższa, to i tak mamy minus czterdzieści. Brr! Jak ona tam może wysiedzieć? Może już zamarzła?

Postanowiłem kupić gazetę, żeby nie tracić na próżno czasu podczas niektórych referatów. Na moje nerwowe stukanie okienko kiosku od razu zostało od-

sunięte.

— Babciu! — zawołałem. — Pięć dzisiejszych gazet. Jedną lokalną.

— Nie jestem babcią. Jestem Katia, Katieńka — odpowiedział mi dziewczęcy głos.

— Katia, Katieńka? Wspaniale, Katia, Katieńka. Więc jak będzie z gazetami, Katiu, Katieńko? — słowo „Katieńka” wargi wymawiały z trudem, ale specjalnie powtórzyłem je kilkakrotnie.

— Ja nie miewam dzisiejszych gazet.

— To już słyszałem. Tylko na co mi wczorajsze? Już je czytałem.

— Wczorajszych też nie mam.

— To po co pani tutaj siedzi?

— Ja sprzedaję tylko jutrzejsze gazety — odparła dziewczyna i w okienku ukazała się jej główka w ciepłej wełnianej czapeczce. — O Boże! Przemroził pan sobie policzki! Trzeba rozetrzeć! Daleko pan idzie?

— Do klubu elektromechaników.

— To za daleko. — I po chwili zastanowienia: — Niech pan wejdzie do mnie. Tu jest ciepło.

— Ale czy można?

— Proszę wejść.

Szarpnąłem drzwi kiosku, ale widocznie za słabo, bo się nie otworzyły, i zacząłem podskakiwać waląc się po policzkach, łokciach i kolanach. A w palcach nóg nie miałem już po prostu czucia.

— Mocniej! — zawołała dziewczyna.

Szarpnąłem z całej siły i wcisnąłem się do wnętrza kiosku wraz z powstającymi momentalnie kłębamii pary — miejsca było tam za mało nawet dla jednej osoby — i zatrzymałem się niezdecydowany, niczym znak zapytania.

— Proszę usiąść. — Dziewczyna wskazała mi stos gazet.

Usiadłem i od razu przysunąłem nogi do dwóch piecyków elektrycznych. W kiosku było jasno, ciepło i sucho. Do tego bardzo czysto i przytulnie.

— Jak policzki szernieją, to dziewczyny nie będą kochać — powiedziała i roześmiała się. — Niech pan rozciera.

Ściągnąłem zębami rękawiczki i spróbowałem rozprostować palce. Nic z tego nie wyszło.

— Źle z panem — orzekła dziewczyna, zdjęła rękawice i ciepłymi dłońmi ostrożnie dotknęła moich policzków. Nie oponowałem. Zapytała: — Pan jest przyjezdny, czy należy pan do tych elegantów, którzy dla fasonu nie noszą zimą ciepłego ubrania, a później latami leżą w szpitalach?

— Jestem przyjezdny, Katiu, Katieńko. Lecę z hotelu na konferencję... Na temat rozchodzenia się fal radiowych.

— A... Czytałam o tym w gazecie. — Jeszcze kilka razy przesunęła swymi ciepłymi dłońmi po moich policzkach. — Teraz się rozgrzeją.

— Dziękuję, Katiu. — Podałem jej swoją jeszcze niezupełnie rozgrzaną prawicę. — Dmitrij Jegorow.

Ona również wyciągnęła rękę i przy tym tak jakoś wesoło się roześmiała, że i mnie zaraziła śmiechem.

— A więc to pana tak zjechali na tej konferencji?

Nie od razu dotarł do mnie sens wypowiedzianych przez nią słów.

— A ja się jeszcze zastanawiałam, którą gazetę zostawić. Ale we wszystkich jest jedno i to samo. A więc pan jest owym Dmitrijem Jegorowem, księżycowym fantastą.

— Wcale nie jestem księżycowym fantastą, Katiu. Wręcz przeciwnie, chodzę obiema nogami po ziemi. Czy uświadamia pani sobie, jak fale radiowe przenikają w głębę?

Pokręciła przecząco głową.

— No to powiem prościej. Poszukuję użytecznych kopalin i wody za pomocą fal radiowych rozchodzących się w glebie. Bez wież wiertniczych i próbek gruntu. I nie ma w tym żadnej fantazji. Ciekawi panią to? — zapytałem.

— Ciekawi — odparła — proszę mówić dalej. Przecież konferencja i tak zaczęła się o dwunastej.

Opowiedziałem jej, jak tego lata nasza ekspedycja pracowała na Bagnach Wasiugańskich w północnym rejonie okręgu tomskiego, jak żarły nas meszki i komary, jak nawalała aparatura i chłopcy porobili się źli i zamknięci w sobie, a Goszka, nasz kierownik, zaczął wyrzaskiwać piosenki. Radzono mu, żeby się zamknął, żeby szedł w diabły, podsuwano mu pięść do powąchania, a on ciągle śpiewał, wypluwał z gardła wążące wszędzie komary i nazywał nas „lanymi kluchami”. Tym ostatnim nie czuliśmy się dotknięci, natomiast jego śpiewów nikt nie był w stanie wytrzymać. Ktoś pierwszy, przez łzy, zaczął rechotać. A wtedy reszta też nie wytrzymała. I rehotali wszyscy trzymając się za brzuchy.

— Pośpiewać jeszcze? — pytał Goszka i dorzuczał: — Ale z was lane kluchy. Komary żarły nas nie mniej niż przedtem i aparatura w dalszym ciągu nawalała, ale w nas budziła się złość na samych siebie, na własną bezradność. I nie chcieliśmy być dalej „lanymi kluchami” i nie wyłaziliśmy z tajgi, mimo że trzy razy nas odwoływali... Tylko nasza aparatura do końca nie zadziałała jak należy. Co

zresztą mało kogo zdziwiło. Znana jest penetracja elektryczna, magnetyczna, radiacyjna i grawitacyjna. Ale nam marzyło się coś innego. Marzyło nam się, żeby widzieć przez ziemię na wskroś, jak przez przezroczyste szkło. Ekspedycja zakończyła się fiaskiem.

— A jednak było to fajne — podsumowałem. — I potrzebne.

Odniosłem wrażenie, że w jej spojrzeniu dostrzegłem cień zazdrości. No bo w końcu coś tam jednak robiłem, do czegoś dążyłem, padałem i podnosiłem się, i szedłem naprzód. A ona na pewno któryś już rok z rzędu siedzi w tym maleńkim kiosku, sprzedaje gazety i kartki pocztowe, odlicza resztę, widząc tylko wyciągające się do okienka ludzkie ręce, i nawet nie próbuje zmienić czegokolwiek w swoim losie. Rozprostowałem ramiona i powiedziałem:

— Katiu, Katieńko, jedźmy razem z ekspedycją!

— Ja jako kucharka? — zapytała całkiem serio.

— Dlaczego akurat kucharka? — zmieszałem się.

— No bo jako kto?

— No, na przykład...

— Dobra! Zgadzam się — powiedziała.

— Mówisz serio?

— Serio. I tak mnie pan ze sobą nie weźmie. Wiem, że to żarty. A zresztą sprzedawanie gazet też jest ciekawe.

— Nawet znacznie ciekawsze — odparowałem z sarkazmem, tak mi się przynajmniej wydawało. — I w ten sposób przesiedzisz tu całe życie.

Nie obraziła się, błysnęła ku mnie swymi wielkimi oczami, w których nie było już zazdrości, a był tylko śmiech i ironia.

— Nno, tak — powiedziałem.

Rozgrzałem się już całkowicie, ale nie chciało mi się stąd ruszać. Przez cały ten czas nikt ani razu nie zastukał w okienko. Pewnie nikt nie miał ochoty kupować gazet w taki mróz.

Ukradkiem przyglądałem się Kati. Była niewielkiego wzrostu, miała czarne, wysuwające się spod czapeczki włosy. I oczy też miała czarne, a policzki lekko nabrzmiałe, jakby je wydymała. Na nogach nosiła skórzane kozaczki na wysokich obcasach, a w kącie za krzesłem dostrzegłem walonki. Leciutkie zimowe paltko z niedużym kołnierzem było do połowy rozpięte, spod niego wysuwał się niebieski, puszysty szalik.

— A teraz znowu ruszył pan do boju? — ze smutkiem spytała Katia. — Chce pan dowieść swojej racji?

— Chcę — odparłem.

— Nie uda się panu. Znowu ogłoszą pana księżycowym fantastą.

— Ach, Katiu, Katiénko — powiedziałem z goryczą. — Czemu pani tak mówi? Przecież nie może pani wiedzieć tego na pewno. Jeszcze nie wiadomo, kto...

Nie dokończyłem, bo nagle wsunęła mi w rękę gazetę i powiedziała:

— Proszę przeczytać!

Migiem przeleciałem pierwszą stronę. Nic specjalnego. Wszystko tak jak być powinno. Bohaterowie wyrębu, dojarki, czyny, współzawodnictwo.

— Na trzeciej stronie — podpowiedziała Katia.

Rozpostarłem gazetę i przeczytałem: *W Ust-Mańsku odbywa się wszechzwiązkowa konferencja na temat przenikania fal radiowych.*

Kalia cichutko zachichotała w rękaw. Widocznie na moim obliczu nazbyt jawnie rysowało się zdumienie. *Dwudziestego czwartego grudnia o godzinie dwunastej w południe w Domu Kultury zakładów elektromechanicznych otwarto wszechzwiązkową...*

— Którego jest dzisiaj? — zapytałem ochryple, usiłując dociec z przerażeniem, gdzie mogłem zmarnować cały dzień.

— Dwudziesty czwarty — odpowiedziała Katia z całą powagą.

— Wobec tego dlaczego piszą o rozpoczęciu w czasie przeszłym? Przecież rozpocznie się dopiero za godzinę!

Odwróciłem stronę. Gazeta „Czerwony Sztandar”, dwudziesty piąty grudnia.

— Nic nie rozumiem. Więc który w końcu dzisiaj jest?

— Dwudziesty czwarty. A który miałby być?

— Wie pani co, Katiu. Ja bardzo przepraszam. Coś mi głowa wysiada. Pewnie mnie zawiąło.

— Nic pana nie zawiąło i z głową wszystko w porządku. To jest jutrzejsza gazeta! Zawsze sprzedają jutrzejsze. Tylko że słabo się rozchodzą. Wszyscy chcą mieć dzisiejsze. A mnie nie dowożą dzisiejszych.

— Ależ to niemożliwe!

Jednak notatka dotyczyła naszej konferencji. I mój referat nazwano czystym urojeniem.

— Dziwne — powiedziałem. — Teraz wiem, co mi się przydarzy w ciągu najbliższych godzin. A jeśli zapragnę zrobić wszystko inaczej, niż tutaj napisali? Dajmy na to, że nie pójdę na konferencję?

— To nic nie da — powiedziała Katia. — Nie ma pan do tego żadnych powodów. Przecież jest nie tylko pana referat.

— No tak, faktycznie. — Na moment wyobraziłem sobie rozjuszoną fizjo-

nomię Goszki i drgnąłem. — Możliwe, że nic się nie da zmienić. Najwyżej jakieś błahe szczegóły, których w gazecie tak czy owak nie podają. Nieźle się pani urządziła, Katiu. Sprzedawać jutrzejsze gazety to całkiem co innego niż dzisiejsze. To musi być rzeczywiście ciekawe.

— Więc nie zabierze mnie pan na ekspedycję? — zapytała drwiąco.

— Niech pani posłucha — zacząłem, nie odpowiadając na jej pytanie. — O której zamyka pani kiosk?

— O ósmej.

— Przyjdę po panią o wpół do ósmej, zgoda?

— Dobrze. Ale co będziemy robić? Pana nie można długo trzymać na dworze, boby pan zamarznął.

— Coś tam wymyślimy. No, leczę, Katiu, Katieńko. Postaram się zrobić wszystko, żeby mnie nazwali księżycowym fantastą. Chcę tego!

— Powodzenia! — kiwnęła mi. — A ja chcę na pana czekać.

Stałem w drzwiach jak wryty, nie wiedząc, co by tu powiedzieć. Znowu się ze mnie śmieje!

— No, niech pan leci. Całe ciepło uszło. Będę czekała.

Wybiegłem na pięćdziesięciostopniowy mróz i otoczony kłębem pary pognałem w górę aleją — obok domu akademickiego, koło pomnika Kirowa stojącego z podniesioną ręką, koło gmachów politechniki.

W przestronnym, ale nieforemnym holu Domu Kultury, z kandelabrami, żyrandolami i skórzanymi kanapami, był już tłum ludzi. Oddałem swoje czysto symboliczne palto do szatni, wbiegłem na pierwsze piętro i tam z balkonu począłem wypatrywać, czy w dole nie odnajdę w tłumie znajomej twarzy.

Miałem szczęście i w dziesięć minut później już rozmawiałem ze swoim dawnym kolegą z roku. I posypały się pytania: gdzie? kiedy? jako kto? żonaty? dzieci? ile? doktorat? Siemiona Fiedorowa? Jasne, że pamiętam! Mrozek, co? U nas teraz trzyma na okrągło.

Żadnych innych znajomych nie spotkałem, a mój kumpel ze studiów wkrótce mnie zostawił. Był jednym z organizatorów konferencji, rozumiałem go. Takie konferencje to jednak absorbująca rzecz.

Punkt dwunasta zadźwięczał dzwonek przewodniczącego. Słowo wstępne wygłosił sławny członek akademii. Następnie podano porządek obrad sekcji i podsekcji, komitetów i komisji. Konferencja potoczyła się zwykłym trybem.

Nie kupiłem gazet w kiosku Kati. Sam nie wiem czemu. Pewnie przez ten

pośpiech straciłem głowę. I teraz muszę wysłuchiwać tasiemcowych referatów przekrojowych.

W przerwie wszyscy rzucili się do bufetu na piwo i kanapki.

Później rozpoczęła się praca w sekcjach. W naszej sekcji, ku memu zdziwieniu, znalazło się czterdzieści osób. A ja sądziłem, że wszyscy radiofizycy przeczucili się na badania jonosfery, plazmy i takich tam różności, które się łączą z kosmonautyką.

Połowa referatów była z gatunku tych, które potrzebne są przyszłym doktorom do wylegitymowania się sześcioma publikacjami. Przecież każdy referat, choćby najżałośniejszy, liczy się jako publikacja. Nawet sami referujący odbębniali je byle zbyć i wreszcie z westchnieniem ulgi skromnie usiąść na miejsce. Pytań ani wystąpień na temat takich referatów na ogół nie bywa.

Później zaczęły się poważniejsze dysertacje. Niektóre były wręcz przebojowe. A już w szóstej godzinie przyszła kolej na mnie. Mówiłem spokojnie, z pewnością siebie, i słuchano mnie nie przerywając. Już mi się zdawało, że nie będzie jutrzejszego artykułu o „księżycowym fantaście”. Pytania padały prościutkie i powziąłem nadzieję, że uniosę stamtąd całą głowę, ale okazały się to tylko przedbiegi. I w pół godziny później nie pozostało na moim referacie suchej nitki. Najbardziej uwzięły się na mnie „mamuty” z politechniki w Ust-Mańsku. Trzeba pecha, że na salę wszedł akurat dziennikarz i kilkanaście razy błysnął fleszem.

Ale ja jakoś nie przejąłem się tym specjalnie.

Pewnie, że Goszka da mi wycisk. I pieniędzy na letnią ekspedycję przydziela trzy razy mniej niż trzeba. Ale zrobiłem wszystko, co w mojej mocy. Staralem się zmienić treść artykułu w jutrzejszej gazecie. Staralem się ze wszystkich sił. Nie udało się. I teraz wiedziałem, że w gazecie będzie wszystko tak, jak to już czytałem. A zatem dziewczyna ze szklanego kiosku naprawdę sprzedaje jutrzejsze gazety!

Przyszedłem po nią za dwadzieścia ósma. Wcześniej nie mogłem się wyrwać. Dwadzieścia minut, które pozostały do zamknięcia kiosku, wystarczyły mi, żeby się trochę ogrzać.

— No i jak? — spytała Katia, a oczy śmiały się jej filuternie.

— Wszystko się zgadza — odparłem. — Referat jest mrzonką fantasty. Ale jakie to wszystko dziwne. Skąd oni ci przywożą jutrzejsze gazety?

— Z drukarni — mówi ona.

— I wszyscy w Ust-Mańsku tak zwyczajnie traktują to, że sprzedajesz jutrzejsze gazety?

Zdawało mi się, że posmutniała.

— Przecież mało kto wie, że gazeta jest jutrzejsza. Wszyscy myślą, że to dzisiejsza.

— Poczekaj no. To znaczy, że dla ciebie ta gazeta jest jutrzejsza, a dla wszystkich innych jest zwyczajna, dzisiejsza?

— Dla ciebie też jest jutrzejsza — powiedziała Katia.

— Dla mnie też. No dobrze. A dla innych?

— A dla innych jest dzisiejsza.

— A czy często trafiają się ludzie, dla których jest jutrzejsza?

— Nie bardzo.

— No, ale jednak?

— Ty jesteś pierwszy — uśmiechnęła się i zmarszczyła nos. — Od razu pomyślałam sobie, że ty to dostrzeżesz.

Czas już było zamykać.

Katia zmieniła buty na walonki, zgasiła światło i zamknęła kiosk. Poszczęściło nam się i w minutę później złapaliśmy taksówkę. Spacer po ulicy w taki mróz był nie do pomyślenia, szczególnie dla mnie.

Zaprosiłem ją do swego kolegi ze studiów. Przystąpiła na to.

Mój kolega miał dwupokojowe mieszkanie. Jego żona akurat przyszła z pracy i zaraz zabrała się do przysmażania kartofli. Troje dzieciaków od lal sześciu do dziewięciu wszczęło z nami rozmowę o Tomku Sawyerze.

Tak już się przyjęło, że z okazji spotkania powinna stanąć na stole butelka wina. Butelkę oczywiście opróżniliśmy. Wyszliśmy koło jedenastej. Odprowadziłem Kalię do hotelu robotniczego i nawet wszedłem razem z nią na korytarz. Przegadaliśmy jeszcze z godzinkę, ale już nie ciągnąłem jej na swoją ekspedycję. Teraz ja sam bym przystał z radością na sprzedawanie jutrzejszych gazet.

Zawsze chciałem wiedzieć wszystko do końca, więc spytałem Kalię:

— No, ale w końcu jaki jest sens w tych twoich jutrzejszych gazetach, skoro nikt o tym nie wie?

— Ja wiem — odpowiedziała.

— Ale ty i tak nic nie możesz zrobić!

— Co ty tam wiesz — odpowiedziała mi zagadkowo. Jutrzejsze gazety przychodzą różne. Oczywiście nie wszystkim się różnią. Szczegółami. Pogoda trochę lepsza albo trochę gorsza, czyjaś choroba albo wyzdrowienie, czyjaś radość albo smutek. Gazety przychodzą trochę różne, a ja wybieram jedną konkretną. I



to jest dopiero właściwa gazeta.

Gwałtownie przygięła moją głowę, pocałowała w usta i uciekła, krzyknąwszy:

— Jutro o dziewiątej!

A ja dalej stałem na miejscu zmieszany i szczęśliwy.

Rano wstałem koło siódmej. Mój hotelowy współlokator jeszcze spał i jego koncertowe chrapanie rozchodziło się zapewne na cały świat. Przez okrągłą noc spać mi nie dawał, ale nad ranem mimo mego dziarskiego nastroju zabrakło mi już sił, żeby wysłuchiwać jego arii. Ubrałem się i poszedłem do bufetu zjeść serdelka na gorąco. Potem wróciłem do pokoju, zabrałem teczkę, palto i wyprowadziłem się na korytarz. Przesiedziałem tam chyba godzinę. Powinienem zjawić się w kiosku u Kati o dziewiątej, a na razie była dopiero ósma.

O wpół do dziewiątej nie wytrzymałem i na łeb na szyję poleciałem w mroźny poranek. Na dworze nie było ani trochę cieplej niż wczoraj, więc nauczony gorzkim doświadczeniem poruszałem się po ulicach wyłącznie biegiem.

Kiosk z gazetami lak jak wczoraj lśnił niczym obsypany diamentami. Zastukałem w okienko i zamiast powitania zakrzyknąłem:

— Katiu-Katieńko, zapraszam!

Nic mi nie odpowiedziała, z wnętrza doszedł mnie szelest zgniatanej gazety. Szarpnąłem drzwi za klamkę i władowałem się do środka.

Katia siedziała odwrócona do mnie całym ciałem, przyciskając do piersi stos gazet pachnących farbą drukarską.

— Na czas jestem? Nie spóźniłem się?

— Nie wiem, może — odpowiedziała ledwie słyszalnie.

To mnie trochę zdziwiło, zaniepokoiło. Była czymś zdenerwowana i jak gdyby nie chciała ze mną rozmawiać.

Zapytałem:

— Stało się coś?

— Stało — powiedziała. — Muszę wyjść.

Nic nie rozumiałem.

— Przepraszam, Dmitrij. O dziesiątej zapalił się, zapalił się dom dziecka na ulicy Wierszynina. Muszę ich uprzedzić.

Przelotnie spojrzałem na zegarek. Do tego czasu brakowało około godziny. A na ulicę Wierszynina, gdzie znajduje się dom dziecka, jest, jak pamiętałem, dziesięć minut piechotą.

— Nie ma tu gdzieś w pobliżu telefonu? Trzeba do nich po prostu zadzwonić.

— Telefon jest w Instytucie Elektroniki. Ale przez telefon mogą nie uwierzyć. Trzeba iść.

— Jeszcze zdążymy — uspokoiłem ją. — Dawno to przeczytałaś?

— W tej chwili, gdy zastukałeś w okienko.

— Lecimy — powiedziałem.

— Nie chodź ze mną. Ja muszę sama.

— Nie zwracaj głowy. Podali szczegóły?

— Podali — wyrzekła, ale jakoś tak z przymusem, jakby nie chciała odpowiadać, jakby mówiła nieprawdę.

— Dzieci wszystkie ocalały?

— Wszystkie... jedno omal się nie spaliło.

Wyskoczyłem z kiosku, za mną wyszła Katia, zamknęła kiosk i klucz wsunęła mi do kieszeni. Byłem trochę podekscytowany i nie odczuwałem mrozu tak dotkliwie, jak pięć minut wcześniej.

Złapała mnie za rękę i pobieглиśmy. Pierwsze sto kroków przebiegliśmy w milczeniu, potem odwróciła głowę i popatrzyła na mnie badawczo. Spróbowałem się uśmiechnąć, ale już zdążyły zamarznąć mi wargi.

— Pojechałabym z tobą nawet jako kucharka — powiedziała.

— No to jedziemy. Decyduj się! — słowa były buńczuczne, ale wypowiedziane na głos nie zabrzmiały zbyt heroicznie.

— Dobrze by było — odpowiedziała.

— Jedziemy! — zatrzymałem ją na chwilę. — Po co czekać lata? Pojedziemy za trzy dni, jak się skończy konferencja, co?

Zabawnie zmarszczyła nosek i kiwnęła głową, i znowu pociągnęła mnie na przód. Pobiegliśmy prospektem Kirowa. Koło kina „Październik” ścięliśmy róg i znaleźliśmy się na ulicy Wierszynina, na wprost domu dziecka. Budynek był nowy, piętrowy, z cegły, w oknach paliło się światło i nic nie zwiastowało bliskiego pożaru. Nawet przez chwilę wydawało mi się, że Katia zakpiła sobie ze mnie, że chce mnie tylko wypróbować. Ale ona tak stanowczo szarpnęła furtką niewielkiego, najwyżej metrowego ogrodzenia, że natychmiast rozwiały się wszystkie moje wątpliwości. Furtka od razu ustąpiła ze skrzypieniem, ale przy głównym wejściu nie powiodło nam się. Albo dzwonek nie działał, albo nikt go nie słyszał. I dopiero po dobrej chwili domyśliliśmy się, że główne wejście jest na pewno zawałone wszelakimi rupieciami i trzeba wchodzić od tyłu.

Drzwi od tyłu były otwarte, a światło naturalnie w imię oszczędności wyłą-

czone. Potrącając się i potykając o stopnie dobrnęliśmy do korytarza. Tam było widno. Naprzeciw można było domyślać się głównych drzwi, ledwie prześwietlających i to tylko górą, zza stosu najprzeróżniejszych przedmiotów. Na lewo mieściła się kuchnia. Dolatywały stamtąd przyjemne zapachy. Obok był pokój, coś w rodzaju jadalni i tam zasiadły już dzieciaki, z czuprynymi i wygolone, z warkoczykami i ostrzyżone na krótko. Dwie wychowawczynie z tacami chodziły wokół stołów. Na prawo była sypialnia. Co mogło znajdować się na piętrze, oczywiście nie miałem pojęcia.

Katia od razu ruszyła ku drzwiom, za którymi siedziały dzieci, i zwróciła się do pań, kiwając do nich ręką.

— Można poprosić na chwileczkę?

Wychowawczynie popatrzyły na nią ze zdumieniem, po czym jedna z nich postawiła tacę na kredensie i podeszła do drzwi.

— Dzień dobry — przywitała się Katia i poprosiła, by z nią wyjść na korytarz.

— Dzień dobry — powiedziała kobieta i przestąpiła próg.

— Proszę mnie nie pytać, skąd o tym wiem — zaczęła Katia. — Koło dziesiątej w tym budynku wybuchnie pożar.

— Ojej! — przycisnęła ręce do piersi tamta.

— Trzeba ubrać dzieci i porozumieć się z sąsiednimi domami, żeby je przyjęto.

— Ojej — powtórzyła kobieta i zawołała drugą. — Mario Pawłowna!

Dzieci z zainteresowaniem obserwowały tę scenę i już zaczęły hałasować i dokazywać.

— Mario Pawłowna, mamy pożar — zajęczała wychowawczynie.

— Co się stało? — ostro spytała Maria Pawłowna — Kim państwo są?

— Ja sprzedaję gazety, ten pan jest inżynierem. O dziesiątej wybuchnie u was pożar. Trzeba wyprowadzić dzieci.

— Wyprowadzać na taki mróz? — nie zmieniając tonu zaproponowała Maria Pawłowna.

— Ale przecież pożar — zaszepiała pierwsza wychowawczynie.

— Trzeba działać — postanowiłem wtrącić się do rozmowy. — Mają tu państwo telefon?

— Mamy — odparła Maria Pawłowna i wskazała ręką. Telefon znajdował się za moimi plecami.

— On zadzwoni do straży pożarnej, a panie niech ubierają dzieci — Katia mówiła spokojnie nie podnosząc głosu. Starła się mówić z przekonaniem, żeby

jej uwierzono.

Pierwsza wychowawczyni powtarzając swoje „ojej” pobiegła na piętro. Z kuchni wynurzyła się kucharka i przyłączyła się do nas. Z dworu wszedł dozorca okulany w szal niemal do samego czoła i stuknął o podłogę drewnianą szuflą, która była dzisiaj na ulicy zupełnie niepotrzebna.

Wykręciłem numer i kiedy zgłoszono się na drugim końcu drutu, powiedziałem do słuchawki:

— Proszę wysłać wóz strażacki do domu dziecka na ulicy Wierszynina.

— Dawno się pali? — zapytano mnie rzeczowo, a do niewidocznego dla mnie kolegi krzyknęto: — Wezwij siódmą. A co się pali? — to już odnosiło się do mnie.

— Na razie nic, ale o dziesiątej się zapali.

— Znowu żartownisie — z niezadowoleniem powiedział głos i słuchawka została odłożona.

Wykręciłem numer po raz drugi, ale rozmowa także nie przyniosła rezultatu. Nie dawano mi wiary.

Z piętra zeszły trzy kobiety. Jedna z nich była kierowniczką domu dziecka.

— Urządzenia przeciwpożarowe mamy w porządku — oznajmiła nam. — Państwo są z kontroli bhp?

Mimo że Katia tłumaczyła wszystko po kolei, kierowniczka zaciągnęła nas do ściany i zmusiła do przeczytania „Planu ewakuacji dzieci na wypadek pożaru”. „Plan” prezentował się wręcz znakomicie i szkoda wielka, że był nie do zrealizowania w tym budynku w żadnych okolicznościach.

— A czy są tutaj przynajmniej gaśnice? — zapytałem spoglądając na zegarek. Dochodziła już dziesiąta.

— Są — odparła kierowniczka. — To znaczy były. O, tutaj wisiały — i wskazała na trzy ciemniejsze niż reszta ściany miejsca. — Jedna się urwała i o mało nie zabiła Tanieczki Sołncewej. Trzeba je było powynosić do składziku.

Czas płynął. Należało zacząć działać.

— Dlaczego gaśnice nie wiszą na swoich miejscach! — wrzasnąłem. Kierowniczkę od razu strach obleciał. Kto ich wie, może są rzeczywiście z komisji kontrolnej.

— Anikieicz! — krzyknęła. — Dawaj no tu migiem gaśnice!

Dozorca wypadł na dwór i za moment wrócił, bo okazało się, że nie ma kluczy. Panie zaczęły dochodzić gorączkowo, kto też może mieć klucze. Anikieicz odnalazł je u siebie i ponownie pognął na dwór.

— Ubierać dzieci — rozkazała Katia.

Posłuchano jej i nie posłuchano. Dzieci przeprowadzono od stołu na korytarz. Ale nie było w tych poczynaniach przekonania, jak gdyby wszyscy czekali, że fałszywy alarm zostanie odwołany.

Dzieci było mniej więcej pięćdziesięcioro. I jak się zorientowałem, na piętrze znajdowało się ponadto sto dwadzieścioro. Zacząłem rozwalać graciarnię przed głównego wejścia. Sanki wrzucałem prosto do sypialni, beczułki z resztkami przekwaszonej kapusty wtaczałem do kuchni. Ktoś tam usiłował mi pomagać, ale krzyknąłem, żeby szybciej ubierać dzieci i od razu wyprowadzać na dwór.

Katia jeszcze raz zadzwoniła do straży pożarnej i jej chyba uwierzono. Rozrzuciłem połowę gratów i teraz pozostawało tylko przedrzeć się do drzwi, żeby całą resztę wywalić wprost na ulicę. Leciały jakieś grabie, łopaty, stare chodniki i wiadra bez dna. Kucharka zalała kuchnię wodą. Usiłowaliśmy wyłączyć piecyki elektryczne, ale gniazdka rozmieszczone były w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach, tak że często nie można było dosięgnąć do wtyczek. Jedna z wychowawczyń pobiegła do pobliskiego kina umówić się, żeby wpuszczono tam dzieci do holu. Kierowniczka wciąż nam jeszcze nie wierzyła. Już ona by nam dała za swoje, gdyby te nasze chaotyczne, trzeba to przyznać, przygotowania okazały się zbędne!

Otworzyły się drzwi bocznego wejścia i na korytarz wtoczył się dozorca z dwiema gaśnicami w rękach. Kichnął kilkakrotnie i usiłował coś powiedzieć. Wreszcie udało mu się.

— Palimy się — zawołał dorzucając kilka mocnych słów i rąbnął gaśnicą w podłogę.

Ale niewiele było pożytku z tych obskurnych gaśnic. A para, która razem z dozorcą wdarła się na korytarz, nie zniknęła. Nie była to para. To był dym. Gryzł mnie w oczy. Dozorca rzucił się wraz ze mną do odwalania drzwi. Kiedy przejście było wreszcie wolne, drewniana ścianka już płonęła.

Po dwudziestu minutach przyjechała straż pożarna. Dzieci do tego czasu zostały przeniesione do pomieszczeń kinowych. Komisja zabrała się do ustalania przyczyn pożaru. Wychowawczynie jeszcze nie całkiem przyszły do siebie po ostatnich przejściach. A ja pędziłem karetką pogotowia trzymając w swojej ręce zimną i mokrą dłoń Kati. Katia usiłowała podtrzymać walącą się drewnianą ściankę między dwoma pokojami, żeby dać czas na wyprowadzenie ostatnich dzieci. Wyprowadzono je wyjściem ewakuacyjnym po żelaznej drabince z pierwszego piętra na podwórko. Wyprowadzono je wszystkie, a ona nie zdążyła odskoczyć i płonące drewniane przepierzenie przygniotło ją do podłogi. Minutę wcześniej podała mi na ręce półubraną dziewczynkę i krzyknęła, żebym pod-

szedł pod okno do strony ulicy, może tamtędy trzeba będzie podawać dzieci.

Ja nie doznałem nawet lekkich oparzeń. A na jej twarz nie pozwolono mi spojrzeć! Zakryta była czymś białym.

Siedziałem w holu kliniki, załamany i rozbity. Powiedzieli mi, że zrobią wszystko, co w ich mocy. Zdawałem sobie sprawę, w jakich okolicznościach używa się tego sformułowania.

Ze trzy razy radzono mi, żebym sobie poszedł, bo w niczym nie mogę pomóc i tylko irytuję lekarzy swymi pytaniami. Kiedy wyganiali mnie po raz czwarty, a ja ciągle znajdowałem preteksty, żeby zostać, jeden z młodych lekarzy powiedział nagle:

— Jak chce pomóc, to niech spróbuje. Jutro będzie o tym komunikat w gazetach, dzisiaj wieczorem podadzą informację przez radio, ale może być już za późno. Gdzie pan mieszka?

Pokręciłem głową:

— Jestem przyjezdny.

— Szkoda. To znaczy, że nie ma pan tu znajomych?

— Mam, ale niewielu.

— Konieczny będzie przeszczep skóry. Potrzebni są ochotnicy. Około pięćdziesięciu osób. Może więcej.

— Ja to załatwię! — zawołałem i wypadłem na ulicę.

Konferencja była w toku.

Starczyło mi przytomności umysłu na tyle, żeby nie wzniecać paniki, tylko odszukać mego kolegę ze studiów. Wysłuchał mnie w milczeniu i powiedział:

— Coś takiego. Wczoraj była taka wesoła. — I dodał: — Dobrze zrobiłeś, że powiedziałeś to mnie. Wszystko się załatwi. Waszą sekcję pošlemy pierwszą.

Wszedłem razem z nim do sali, gdzie pracowali radiofizycy od gleby, i usiadłem na pierwszym z brzegu krześle. Mój kolega poszeptał o czymś z przewodniczącym sekcji, który odczekał, aż mówca zakończy swój referat, po czym oznajmił zgromadzonym:

— Proszę państwa! W mieście wydarzył się nieszczęśliwy wypadek. Potrzebna jest skóra do przeszczepu. Myślę, że zrobimy przerwę i razem pójdziemy do kliniki. To niedaleko. Tylko dwie przecznice stąd... Dziewczyna może umrzeć!

Do kliniki każda grupa pomaszerowała oddzielnie, w określonych odstępach czasu stawiała się cała konferencja.

Koło pierwszej w południe wpuszczono mnie jednak na salę, gdzie leżała Katia. Biała poduszka, białe prześcieradło na ciele i zwój bandaży zamiast twarzy. Tylko czarne krążki oczu z opalonymi rzęsami i ledwo zaznaczone usta. Przysiadłem na stołku koło łóżka. Katia patrzyła na mnie nieruchomo, nie mrugając. A ja nie wiedziałem, co jej teraz powiedzieć. Wszystkie słowa uwięzły mi w gardle. Pogłaskałbym ją tylko po policzku i po włosach, ale tego nie wolno mi było robić. Kiwnąłem jej głową i próbowałem uśmiechnąć się zuchowato. Nie wiem, co przeczytała w moim uśmiechu, ale wargi poruszyły się lekko i z ich ruchu zrozumiałem, co powiedziała.

— Jak policzki szernieją, to nie będziesz kochać.

— Będę, będę — powiedziałem. — Wywiozę cię z Ust-Mańska, Katiu. A w lecie pojedziemy na Bagna Wasiugańskie tuczyć na sobie komary.

Wyprowadzono mnie z sali. Kati znowu zrobiło się gorzej.

— Nic tu pan nie może pomóc — powiedzieli mi. — Niech pan idzie do hotelu. Proszę wstąpić do Kati do kiosku i zawiadomić, co się stało. Zresztą niech się pan zajmie czymkolwiek, robi coś. Może pan przyjść jutro rano.

Wyszedłem na ulicę i ruszyłem w powrotną drogę.

Znajdowałem się w stanie jakiegoś duchowego otępienia, żadna myśl nie przebiegała przez głowę. Nawet mrozu nie odczuwałem. Tak doszedłem do kiosku Kati i przypomniałem sobie, że klucz od niego leży w mojej kieszeni. Otworzyłem zamek, wszedłem do środka i włączyłem światło. Gazeta leżała otwarta na czwartej stronie. Od razu odszukałem niewielką notatkę w rubryce wypadków. Donoszono w niej, że wczoraj o godzinie dziesiątej rano z powodu uszkodzonej instalacji elektrycznej wybuchł pożar w domu dziecka na ulicy Wierszynina. Podczas ratowania dzieci zginęła Jekatierina Smirnowa. Kalia Smirnowa. Nie wiedziałem nawet, że ma takie nazwisko. Zwyczajnie, Katia-Katieńka.

W gazecie napisano nieprawdę! Przecież ona nie zginęła przy ratowaniu dzieci. Ona żyje!

Przypadkiem zawadziłem wzrokiem o zgniecioną stronę gazety, leżącej obok, i przypomniało mi się, że kiedy rano wstąpiłem po Katię do kiosku, zmięta gazetę, spojrzała na tę, która teraz leżała przede mną i dopiero wówczas powiedziała, że będzie pożar. Wiedziała, co z nią się stanie i mimo to poszła.

Rozprostowałem zgniecioną gazetę. Też była jutrzejsza. I notatka o pożarze też tam była. Tylko podano w niej, że zginął Dmitrij Jegorow.

W skroniach załomotało mi głucho. Teraz zrozumiałem całą swoją istotą, co

miała na myśli mówiąc, że codziennie rano wybiera gazety. Zawsze ma kilka różnych wariantów i właśnie dzisiaj wybrała własną śmierć tylko dlatego, że byłem jeszcze ja. To ja powinienem trzymać walącą się w ogniu ścianę, a ona posłała mnie na dwór z poleceniem, które mógł spełnić ktokolwiek. Ja powinienem leżeć przygnieciony płonącymi deskami.

Wyciągnąłem z paczki jeszcze jedną gazetę. Zginął Dmitrij Jegorow. Trzecią... To sarno. Zawzięcie szukałem lego, co chciałem odnaleźć. Tak się spieszyła. Tak się ucieszyła, że zostaną przy życiu.

Dzisiaj ja wybiorę jutrzejszą gazetę.

I znalazłem ten egzemplarz. Ten był właściwy. Przecież setki ludzi zrobiło wszystko, żeby żyła. Setki ludzi, nie wiedząc o tym, starały się, aby zmienić treść notatki.

Postanowiłem, że wybiorę i będę sprzedawać tę właśnie gazetę, żeby wszyscy wiedzieli, że Katia żyje, że odniosła jedynie straszliwe oparzenia, ale będzie żyła, z pewnością będzie żyła! Zacznę o tym przekonywać wszystkich ludzi, którzy zajrzą do kiosku.

Ale było za zimno i nikomu nie chciało się przystanąć koło kiosku. Wobec tego wyszedłem na chodnik z plikiem gazet i zacząłem rozdawać je przechodniom.

— Proszę was, przeczytajcie o Kati Smirnowej! Będzie żyła! Przeczytajcie! Katia będzie żyła! Zapagnijcie tego!

Z początku myślałem, że będą na mnie patrzeć jak na wariata. Ale nic podobnego się nie stało. Przechodnie brali gazety, zatrzymywali się, wypytywali mnie, współczuli, wyrażali nadzieję, że z pewnością przeżyje.

— Powinniście lego bardzo pragnąć — mówiłem. — To właśnie Katia przynosi wam duże i małe radości. Wy tego nie zauważacie, bo nie wiecie, że gdyby nie ona, nie byłoby i waszych radości. To dzięki niej jest ładna pogoda, więc idziecie sobie do lasu. I jest wam przyjemnie i wesoło. To ona zapobiega wypadkom na ulicach. To ona tak zrobiła, że dziewięćdziesiąt dziewcząt znalazło swoich chłopców. A bez niej mogliby się wcale nie spotkać. To prawda, że nie może ona wykonać planu nawet małej fabryki. Ale to nie ma znaczenia. To mogą zrobić inni. Czytajcie gazetę! Niech Katia żyje!

— Przecież to królowa Ust-Mańska — powiedział ktoś.

Uwierzono mi i teraz wiedziałem: Katia będzie żyć, bo wszyscy tego pragną. Wstąpiłem na pocztę główną i oddałem klucze od kiosku. Potem wpadłem na konferencję i „mamuty” z politechniki w Ust-Mańsku orzekły, że czasowo będę zatrudniony w ich laboratoriach, że w moich fantazjach coś jest, że posłano już



telegram do mego instytutu z prośbą o przedłużenie mojej delegacji. Rozumieli, że teraz nie mogę wyjeżdżać z tego miasta. Pozostanę tu, w Ust'Mańsku, aż im udowodnię, że można widzieć ziemię na wskroś, aż Katia wyzdrowieje, aż rozpoczną się przygotowania do ekspedycji, aż wreszcie razem z nią polecę na północ, na bagna, w chmary komarów, w deszczowe dni i pieśni.

Biegłem do kliniki. Na dwadzieścia kroków nie było nic widać, taka wisiała mgła. Pół setki stopni poniżej zera. Z rzadka skrzypienie kroków i przeraźliwe klaksony aut, i mróz, mróz...

I w Ust-Mańsku, i na jego przedmieściach, i w promieniu tysiąca kilometrów.

Biegłem do Kati, bo ona czekała na mnie.

## Bilet do dzieciństwa

— Poproszę bilet do dzieciństwa — powiedziałem w kasie i po pięciu minutach siedziałem już w wagoniku przedpotopowej konstrukcji, na twardej ławce, z niecierpliwością oczekując gwizdka parowozu.

Sąsiednie miejsce zajęła staruszka z koszykiem owoców i cukierków. Podniecenie, z jakim co chwila przetrząsała jego zawartość, mogło rozśmieszyć każdego... ale nie w tym pociągu. Można ją było zrozumieć. Przecież wybierała się do małej dziewczynki, w swoje dzieciństwo, zapewne dawno i na dobre zapomniane. Dzieci lubią słodczyce — jedynie to pamiętała ze wszystkiego, z czym się miała już niedługo spotkać.

Naprzeciw mnie mężczyzna o przyprószonych siwizną skroniach i staruszek. Tego mężczyznę znałem ze zdjęć w gazetach. Był to sławny pianista. Przed każdym koncertem udawał się w swoje dzieciństwo. Utrzymywano, że to właśnie nadaje jego koncertom niepowtarzalny urok, wersja ta jednak nie była zbyt przekonująca. Wielu muzyków odbywało podróże do dzieciństwa, ale jakoś mało było wśród nich geniuszy.

Staruszek oparł dłonie na masywnej lasce. W podarunku swojemu dzieciństwu wioził tylko mądre spojrzenie zmęczonych oczu.

Pociąg ruszył... Słupy telegraficzne migały za oknem, miarowo stukały koła, z rzadka rozlegał się gwizd parowozu. W sąsiednim przedziale ktoś domagał się od konduktora zimnego piwa i długo jeszcze zrzędził oburzony na kiepską obsługę.

Minęła smutna godzina zadumy. W dali, za zakrętem, można już było dostrzec peron.

— Stacja! Proszę wysiadać! — wołał konduktor. Wszyscy zaczęli się śpiesznie zbierać i stłoczyli się w przejściu.

— Suzdal! — stwierdziła ze zdumieniem moja sąsiadka.

To był Zagorsk. Dla mnie to był Zagorsk. A dla niej Suzdal. Dla staruszka — Pemza albo Syzrań. Wszyscy znaleźli się w miastach swojego dzieciństwa. Widziałem już mury ławry Trocko-Siergiejewskiej. Kto inny widział tajgę i burzliwy nurt Jeniseju albo spokojne zwierciadło Onegi.

Zagorsk... A ja nawet nie wiedziałem, czy to moje miasto. Nie pamiętałem swojego dzieciństwa.

Wagon szybko opustoszał. Staruszka dostrzegła w tłumie wstających małą pulchniutką dziewczynkę, pomachała do niej chusteczką i zapłakała. Pianista położył rękę na ramieniu chłopaczka i ruszyli w stronę wiaduktu bardzo poważni i skupieni. Na peronie było tłoczno i gwarno, stopniowo jednak wszyscy się rozchodzili.

Mnie nikt nie witał. Kilkakroć machałem ręką do różnych chłopców, ale nie zwracali na mnie uwagi. Trudno sobie wyobrazić, jakim się było w dzieciństwie, tym bardziej że nie zachowała się żadna moja fotografia z tego okresu. Powątpiewałem zresztą, czy kiedykolwiek istniała.

Po dziesięciu minutach nikogo już prawie nie było. Tylko na skraju peronu dziesięcioletni malec w trykotowej koszulce i za obszernych spodniach z przejściem trącał czubkiem obszarpanego buta patyk po lodach.

— Olek! — zawołałem.

Ale on, nie spojrzawszy nawet w moją stronę, zeskoczył z peronu, przeszedł przez tary kolejowe i zniknął za rogiem budynku...

Nie miało sensu poszukiwać go w mieście. Bez celu wałęsałem się więc po peronie godzinę, dopóki się nie doczekałem powrotnego pociągu.

Przez całą drogę do Ust-Mińska nie opuszczało mnie uczucie jakiejś niepowetowanej straty. Dlaczego on nie przyszedł? Dlaczego? Sąsiedzi z przedziału pograżyli się w swoich myślach, tylko jedna z kobiet przez całą drogę opowiadała o swoich figlach sprzed czterdziestu lat, ale jakoś nie mogła znaleźć uważnego słuchacza.

Nie zdążyłem jeszcze wyjść z pociągu na stacji w Ust-Mińsku, kiedy wezwano mnie do dyspozytora.

— Proszę nam wybaczyć — rzekł młody chłopak w mundurze kolejarza, gdy wszedłem do dyspozytorni. — Nasza wina, że zepsuliśmy panu nastrój. Coś się stało z systemem falowodów pola temporalnego. A może chronogram nie dotarł do adresata i dlatego nie przyszedł pana powitać.

— Może nie miał ochoty spotkać się ze mną — machnąłem ręką kierując się ku wyjściu.

— Następnym razem to się już nie powtórzy — zapewniono mnie. — Sprawdzimy wszystko. Może pan wyruszyć w dzieciństwo choćby jutro.

— Chyba przez najbliższy miesiąc nie będę miał wolnej chwili — odpowiedziałem i wyszedłem bez pożegnania.

Byłem zajęty pewnym ważnym eksperymentem i czasu rzeczywiście było mi brak. Ale mimo to nazajutrz znowu znalazłem się na dworcu, znowu jechałem sfatygowanym wagonem, znowu sterczałem na wyludniającym się peronie.

Na skraju peronu, podobnie jak poprzedniego dnia, ujrzałem chłopca.

— Olek! — wykrzyknąłem. — To ty! — czułem to i byłem o tym przeświadczony.

Chciał zeskoczyć z peronu, powstrzymał się jednak i stał nadal patrząc pod nogi. Podbiegłem do niego, chwyciłem za ramiona, uścisnąłem. Nagle przytulił się do mojej piersi. Na sekundę, nie dłużej. Potem odepchnął mnie i zerkając spode łba powiedział:

— Coś ty? — jego głos bardzo przypominał ton dorosłego mężczyzny. W ogóle jak na chłopca wyglądał zbyt poważnie.

— Olek! Więc jednak mnie poznałeś?

— No pewnie! Tylko nie jestem Olek. Nazywam się Roland... To znaczy Rollek.

— Ale przecież ja jestem Aleksander. A więc ty się nazywasz Olek.

Wzruszył ramionami.

Przy swoich pięćdziesięciu latach wyglądałem jeszcze na silnego mężczyznę. A on był niezgrabny i chudy.

— Słuchaj, Olek. Będę cię nazywał Aleksandrem, a nie Rolandem. — Znowu wzruszył ramionami, co mogło znaczyć „jak chcesz”. — Czegoś taki mizerny, do diabła?! Powinieneś się zająć sportem, bo inaczej długo nie pociągniesz.

Przez chwilę mi się wydawało, że jego oczy śmieją się ze opnie, i także się roześmiałem. Jakież głupstwo palnąłem! Stoję wszak przed nim żywy i zdrowy. Jakże więc może on długo nie pociągnąć? To brednia.

On też się roześmiał. Byłem tak uradowany jego pierwszym śmiechem, że zgoła nie zastanowiłem się, czy taka błahostka jak moja uwaga mogła spowodować tyle uciechy. Byłem jednak niezmiernie szczęśliwy. Doszliśmy aż do wiaduktu klepiąc się nawzajem po plecach i z powodu rozpierającego nas śmiechu nie usiłując nawet nic powiedzieć.

Plac przed dworcem był inny niż przywykłem go oglądać. Bywając w Zagorsku prawie za każdym razem wstępowałem do kawiarni „Astra”. Ale teraz nie było jeszcze o niej mowy. Z prawej rozleżał się zgiełk targowiska, którego nie zagłuszały nawet sygnały parowozów.

— No dobrze, Olku — odezwałem się. — W naszej sytuacji byle co nas rozśmiesza. Nieraz jeszcze wpakuję się w kabałę. Ale to wcale nie znaczy, że nie powinniśmy zjeść gdzieś razem solidnego obiadu.

— Nie chcę — odparł Olek. — Dostaliśmy już jeść.

„Cóż on sobie w rzeczywistości myśli? — zastanawiałem się. — Gdybym był głodny, to nigdy bym nie odmówił, skoro by propozycja pochodziła ad ta-

kiego człowieka jak ja sam. Aha! Jestem wszak dorosłym człowiekiem i wszystko rozumiem. Ale on?”

— Nie chcesz, to trudno. Powiedz no lepiej, jak spędzasz czas. Jakich masz przyjaciół?

— Tylko bez przesłuchań — odburknął i zrozumiałem, że moje pytania istotnie przypominają kwestionariusz, na który nie sposób odpowiedzieć szczerze.

Podeszliśmy do targowiska. Spytałem:

— Chcesz lody?

— Bardzo! — ucieszył się.

— Z orzechami czy śmietankowe?

— Ależ tak, z orzechami! Ale takich tu nie ma.

— Zobaczymy — odpowiedziałem zagadkowo, lecz rzeczywiście nie była ani jednych, ani drugich. Na wszelki wypadek zapytałem sprzedawczynię, choć lepiej było tego nie robić, bo od razu wrzasnęła: „Patrzcie, czego mu się zachciewa!” Olek pociągnął mnie za rękę.

— Chodźmy...

Mimo to kupiłem porcję zwykłych lodów. Olek wziął je bocząc się i jeszcze dwa razy musiałem mu powiedzieć: „Jedz, nad czym się zastanawiasz?”, zanim rozwinął opakowanie. I natychmiast, jak mi się zdaje, zapomniał o mnie. Od razu stało się jasne, jak pragnął tych lodów. Jak każdy normalny dziesięcioletni chłopiec, którego sny i pragnienia jeszcze poza to nie wykraczają. Pokapał lodami swoje szerokachne spodnie i zaraz wytarł je rękawem.

— A nauczyłeś się leczyć nieuleczalne choroby? — spytał znienacka.

Zmieszałem się.

— Skądże to możesz wiedzieć? Przecież zajmuję się tym dopiero od trzydziestu lat. A zacząłem przez czysty przypadek. Czyżbym myślał o tym już przed czterdziestu laty?

— Ale ja to ty — powiedział. — Ty z czasów dzieciństwa. Wiem o tobie więcej niż ty o mnie, ponieważ zawsze chciałem, żebyś był do mnie podobny, żebyś robił to, co sam chcę robić. Bardzo tego pragnę.

Dziwnie jakoś łączyła się w nim dziecięca naiwność z surowością dorosłego.

— Nie, Olku. Jeszcze się nie nauczyłem leczyć nieuleczalnych chorób. Sądzę jednak, że wkrótce stanie się to możliwe.

— Naprawdę? — ucieszył się.

— Naprawdę — pogłaskałem go po głowie. — Tylko mam bardzo mało czasu. Tobie bo dobrze. Jeszcze nie dostrzegasz, jak czas leci.

Rzucił na mnie bystre spojrzenie, nieco kpiące i zaskakujące, jak by wiedział coś bardzo dla mnie ważnego, ale nie uważał jeszcze za stosowne mi to powiedzieć. Wyblakłe portki wisiały na nim jak worek. Koszula w kratkę była wypłowiała. „Nie żyje ci się słodko” — pomyślałem.

— Ja także nie mam czasu — odezwał się wreszcie.

— Jak to? — spytałem ze śmiechem. — Cóż takiego robisz, że ci brak czasu?

— Chcę, żebyś był szczęśliwy...

— No cóż. Uważaj, że jestem. Ale czy ty wiesz, co to jest szczęście?

Nie odpowiedział na pytanie, jakby go w ogóle nie usłyszał.

— Chciałbym jeszcze, aby dzięki tobie inni ludzie byli szczęśliwi.

Czy dzięki mnie ludzie są szczęśliwi? Nie, tego nie mogłem twierdzić z przekonaniem.

— Jesteś bardzo poważny, Olku. Zbyt poważny jak na swój wiek. To niedobrze.

— To dobrze.

— Nie będziemy się sprzeczać. A dlaczego wczoraj do mnie nie podszedłeś?

— A dlaczego ty tego nie zrobiłeś? Ja także na ciebie czekałem.

— Wybacz.

Zdawała mi się że między nami wyrósł mur obcości, że oddaliliśmy się od siebie i że już nigdy nie zdołam zrozumieć tego dziesięcioletniego chłopca, może dlatego, że dorośli w ogóle nie rozumieją dzieci, a może dlatego, że on jest ode mnie mądrzejszy. To drugie przypuszczenie odrzuciłem natychmiast, jeszcze bowiem nie mieściło mi się w głowie, że z wiekiem głupieję. W każdym razie przed tym spotkaniem nie przychodziło mi to na myśl.

Długośmy się włóczyli po mieście. Dowiedziałem się, że on także nie pamięta ojca i matki, którzy prawdopodobnie zginęli podczas wojny, że mieszka w internacie. Jego małomówność i pewną skrytość kładłem na karb tego, że było to nasze pierwsze spotkanie. Trudno mówić dużo i tylko rzeczy wesołe, kiedy się po raz pierwszy zobaczyło samego siebie.

Później zrozumiałem, że chociaż mówił mniej niż ja, to jednak właśnie on nadawał kierunek naszej rozmowie. Egzaminował mnie niepostrzeżenie, bez natarczywości. I musiałem pogodzić się z tym, że w pewnych sprawach jest ode mnie bardziej zorientowany. Może przewyższał mnie swoim sposobem myślenia, zdolnością do ścisłego precyzowania tego, czego chce, swoim zdumiewającym skupieniem i ironią.

Umówiliśmy się, że się jeszcze spotkamy. Odjechałem wieczornym pociągiem. W ostatniej minucie, kiedy już stałem na pomoście wagonu, zaśmiał się wesoło, kilka razy podskoczył i zawołał:

— Fajny jesteś! Nie całkiem taki, jak przypuszczałem, ale fajny. Cześć!

Mur obcości znikł. I znowu on to zrobił. Wtedy, kiedy zechciał.

— Cześć, Olku! — krzyknąłem w odpowiedzi.

Pociąg ruszył. Jakże mi było lekko! Rozpierała mnie radość, niezrozumiała, dziwna, niezwykła radość.

A mimo to nie wiedziałem, nie mogłem nawet przypuszczać, jak było mi potrzebne to spotkanie. Zacząłem pracować tak, jak dawno już mi się nie udawało. Ogarnęło mnie jakieś niebywałe natchnienie. Teraz byłem przekonany, że eksperyment się uda. Stworzę to, o czym — jak się okazuje — marzyłem już w dzieciństwie.

Kilka miesięcy minęło jak z bicza trzask. Sporo większych i drobnych sukcesów, bezsenne noce, przelotne zwątpienia, zaciekle spory i pasjonujące dyskusje, spotkania i delegacje. Nasz instytut pracował nad bardzo trudnym i ważnym problemem. Opracowywaliśmy błyskawiczne metody zdalnego leczenia urazów bez interwencji chirurgicznej. Pokróćce można to przedstawić na przykładzie: Ktoś się rozbił zleciawszy z urwiska. Zanim zostanie dostarczony do najbliższego szpitala, już będzie za późno. Opracowywaliśmy metody i aparaty, które by pozwalały ten worek kości i cierpienie przekształcić ponownie w człowieka w taki sposób, żeby nawet nie zdążył poczuć bólu. Spadał z urwiska i natychmiast wstawał zupełnie zdrow i cały.

Chcieliśmy zmniejszyć liczbę bezsensownych wypadków śmiertelnych. Już się nam to udawało. Mogłem teraz powiedzieć: „Tak, ludzie będą szczęśliwsi dlatego, że istnieją”, powiedzieć to tylko Olkowi, czyli samemu sobie, i nikomu więcej.

Dopiero w pół roku później mogłem znaleźć czas i kupić bilet do dzieciństwa... Olek na stację nie przyszedł.

„Głupi wybryk dziecięcy — pomyślałem. — Obraził się, że tak długo nie przyjeżdżałem. A mógłbym mu wiele opowiedzieć o tym, o czym marzył”.

Przygnębiony wróciłem do Ust-Mańska. Na dworcu znowu mnie wezwano do dyspozytorni.

— Coś z chronogramem? — zapytałem z nadzieją.

— Nie. Chronogram wysłaliśmy. Nie o to chodzi... Nie miał pan dzieciństwa... To nieprawdopodobne, ale tak jest.

— Co za brednia! Przecież widziałem... rozmawiałem już z Olkiem.

— To nie był Olek, to znaczy nie był to pan w dzieciństwie. To był Roland Eustafjew.

— Roland Eustafjew? — Nie znałem nikogo takiego, lecz nazwisko nie było mi obce.

— Pan nie miał dzieciństwa.

— To dlaczego on wtedy przyszedł mnie powitać? Właśnie on, to znaczy ja.

— Pan nie miał dzieciństwa. To całkiem szczególny wypadek.

Podano mi szklankę wody. Widocznie wyglądałem żałośnie. Opadłem na fotel nie mając sił wyjść na ulicę. Nikt mnie więcej nie niepokoił ani o nic nie pytał. Ale co jeszcze było do powiedzenia? Wyjaśniono mi, że nie miałem dzieciństwa. Dlaczego i jak to się zdarzyło, nie wiadomo. I w niczym nie mogą mi pomóc.

Kiedy ktoś miał trudne dzieciństwo, mówi się, że go nie miał... Ja jednak nie miałem dzieciństwa w dosłownym znaczeniu, tak jak mi to powiedziano.

Przyszedłem nieco do siebie. W takim stopniu, aby się normalnie poruszać nie ściągając na siebie podejrzliwych spojrzeń przechodniów.

Po godzinie dotarłem do swojej pracowni. Było już dość późno i pracowały tam tylko dwie, trzy osoby. Usiadłem przy swoim stole i spróbowałem zebrać myśli. Po pewnym czasie pracownia opustoszała. Maże wychodzący coś nawet do mnie mówili, ale nic nie słyszałem... Tylko za ścianą rozlegał się terkot maszyny do pisania. To moja sekretarka przepisywała materiały naszych eksperymentów.

Siedziałem przy stole i przypominałem sobie. Wyłuskiwałem z pamięci fakty, porównywałem je i przywoływałem wspomnienia.

Przed trzydziestu laty bardzo długo chorowałem. Podczas choroby straciłem pamięć. Nie pamiętałem ani przyjaciół, ani znajomych, ani samego siebie sprzed choroby. To dziwne, ale w mojej pamięci wyraźnie zachowała się cała wiedza i doświadczenie początkującego, młodego naukowca. Zatarło się tylko to, co dotyczyło mnie osobiście. Jakbym się na nowo narodził. Odwiedzała mnie często młoda kobieta. Lena. Helena Eustafjew. Od wielu lat jest moją sekretarką. Pewnego wieczoru, mniej więcej w rok po mojej chorobie, nagle zapłakała przy swoim stoliku zastawionym telefonami i zawalonym urzędowymi papierami. Uniosłem jej mokrą od łez twarz.

— Jesteś inny, jesteś całkiem inny — powiedziała.

— Co znaczy „inny”? — spytałem bez sensu.

Wstała i wyszła. Jedyne raz w życiu wyszła z instytutu wcześniej niż ja.

— Nie pytaj. Nic nie było — rzuciła na odchodnym.



O nic więc jej nie pytałem. Nie... Po prostu bałem się usłyszeć od niej coś... Co? Nie wiem.

Teraz nakręciłem numer informacji i poprosiłem, by podyktowano mi wykaz osób, które pracowały w instytucie przed trzydziestu laty. Wówczas było to wielkie laboratorium. Monotonny głos wyliczał nazwiska... Abramow... Bobrow... Eustafjew... Roland Eustafjew?

Stop. On też tu pracował. Usiłowałem sobie przypomnieć. Nie. Nie pamiętam takiego.

Przeglądając akta personalne stwierdziłem, że Roland Eustafjew zmarł tego dnia, kiedy straciłem pamięć. Mnie po prostu nie było. Powstałem... zacząłem istnieć w dniu jego śmierci.

Kimże jestem? Cyborgiem? Cyborg z wyciętym wyrostkiem robaczkowym i często zakatarzony? Nie.

Jego świadomość, jego JA zostały wpisane w moje ciało? Nie.

Stworzył mnie i zmarł. Nic to chyba nie ma wspólnego z moim ciałem ani nawet z komórkami mojego mózgu. Stworzył mnie w jakimś bardziej złożonym, doskonalszym znaczeniu tego słowa. Stworzył mój sposób myślenia, mój intelekt. Powinienem więc być taki, jakiego mnie chciał widzieć.

A ten chłopiec? Przecież już wszystko przemyślał i dlatego tak dziwnie ze mną rozmawiał. Wiedział już, że jestem tym, którego stworzy w przyszłości, nie zdąży bowiem sam zrobić wszystkiego, co zamyśla.

Nie powinienem był istnieć. Nie byłem przewidziany w wykazie etatów natury. On mnie stworzył. Nie miałem dzieciństwa. On mi podarował okruch swojego dzieciństwa.

Jak dokonał tego niewiarygodnego odkrycia, niewiarygodnego nawet teraz? Nikt tego nie może wiedzieć... Nikt?

W sąsiednim pokoju zadzwonił telefon, Helena podniosła słuchawkę.

Ten dziesięcioletni chłopiec zrobił dla mnie wszystko nie żądając w zamian nic. Tylko jednej porcji lodów.

Raz tylko chciał się ze mną spotkać, aby sprawdzić, czy słusznie postąpi kiedyś w przyszłości.

Słyszę, jak Helena wstaje z krzesła i idzie ku drzwiom mojej pracowni.

Zaraz otworzy drzwi i o wszystko ją zapytam. Spytam ją, kim jestem.

I wszystko mi opowie.

Drzwi się otwierają...

**KONIEC**